MIESIĘCZNIK

Fantastyka

5 (44) MAJ 1986 CENA 80 ZŁ

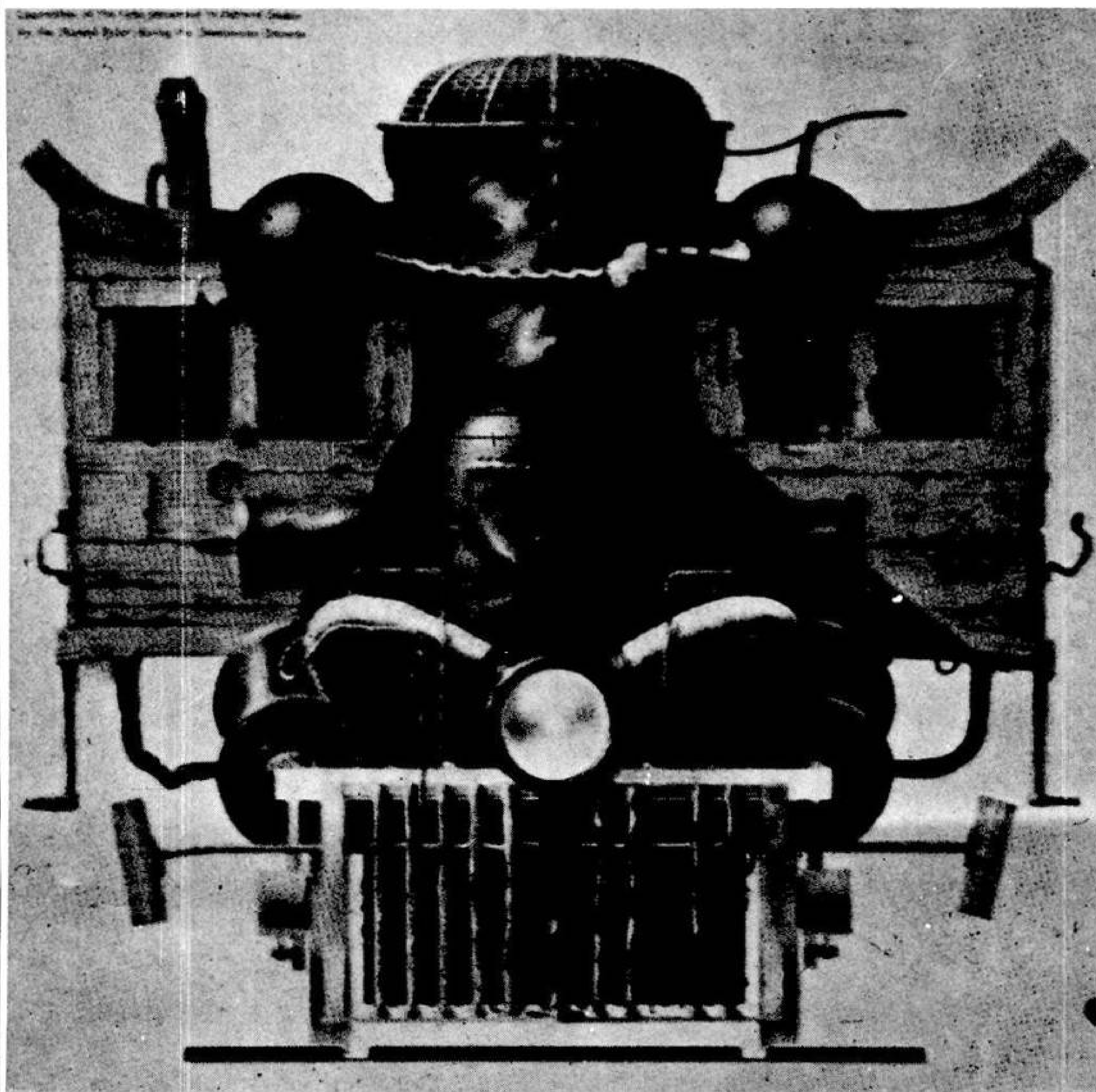
PL ISSN 0209-1631

NR INDEKSU 35839

JIM BURNS

Ondřej Neff

Największy szajbus w dziejach swangu



Jim Burns

Po dłuższej nieobecności – „Galeria" znów zagraniczna. Jim Burns jest jednym z ciekawszych brytyjskich ilustratorów.
Urodzony w 1948 r., ukończył Newport School of Art i nim dał się poznać licznymi rysunkami z życia robotów i dziwnych zwierząt, służył jako pilot w RAF. Jego twórczość graficzna jest zdecydowanie różna od dokonań innych gigantów: Rona Cobba, Tima White'a czy Christophera Fossa. Dominuje w malarstwie Burnsa nuta humoru, dystans do przedstawianego świata. Daleki od bliskich pornografii Vallejo i Corbena, ma dużo wspólnego z Maxem Ernstem, przynajmniej w malarskim, lekko taszystowskim traktowaniu powierzchni obrazu.
Przedstawione w „Galerii" prace pochodzą głównie z albumu „Planet Story" (Planetarna Historia). Album ten – w którym Harry Harrison jest autorem tekstu, zaś Burns ilustracji – jest formą wydawniczą nieznaną w Polsce. „Planetarna Historia" to nowelka, gdzie tekst pełni rolę równoważną ilustracji; obie sfery – wizualna i literacka – mogą występować niezależnie, co umiejscawia wydawnictwo na antypodach komiksu.
Burns zilustrował niesamowity pomysł literacki Harrisona: na planecie Sabinus ląduje ziemski statek z ekscentrycznym komandorem, zamierzającym tu realizować swoje niewinne hobby, mianowicie zabawy antycznymi kolejami. Ziemianie budują gigantyczną trasę kolejową, jazdy złotą (!) lokomotywą wywołują wiele zamieszania na planecie, która okazuje się zamieszkała przez rodzaj jaszczurów i jeszcze kogoś...
Pomysł okazał się trafiony: album doczekał się wielu wydań, prócz Wielkiej Brytanii ukazał się w USA, trafił również do RFN; myślę, że i Państwo się nie zawiodą. (zal)


Jim Burns

6

Skłonność do ryzyka i hazardu była i jest nieodłącznie związana z naturą ludzką. Zawsze znajdowali się ci, którzy dla sławy lub pieniędzy ryzykowali utratę zdrowia czy nawet życia, oraz ci, którzy tym się emocjonowali. W świecie przyszłości wykreowanym przez czeskiego pisarza Ondřeja Neffa (świetna karykatura subkultury młodzieżowej; brawurowy przekład Andrzeja S. Jagodzińskiego) miliony nastolatków pasjonują się swangiem – grą hazardową, w której sami widzowie starają się uśmiercić występującego tancerza-gladiatora.
Ondřej Neff: „Największy szajbus w dziejach swangu"

...3...2...1...

Pragnę dzisiaj napisać o zjawiskach w fantastyce polskiej, które mnie niepokoją, a także i o tych – niestety rzadszych – dostarczających odrobiny satysfakcji. Przede wszystkim uderzająco mało książek ukazuje się w handlu. Znacznie przedłużyły się cykle wydawnicze, dziś autorzy i czytelnicy czekają na nowości science fiction po kilka lat. Wywołuje to zrozumiały niepokój piszących. Na dobrą sprawę tracą oni kontakt z tym, co przed laty napisali, a co ma się dopiero kiedyś ukazać – niejako zapominają o swoim autorstwie. A to musi oznaczać także utratę łączności z czytelnikami. Właściwie coraz to nowi czytelnicy czyhają na coraz bardziej starzejących się autorów.

Powstaje wyraźny rozdźwięk między twórcą a odbiorcą. Czytelnicy zaś nie tylko tracą cierpliwość w swym nieustannym oczekiwaniu i poszukiwaniu literatury, którą lubią, ale zaczynają mieć pretensje nie jedynie do wydawców i drukarzy, lecz również do tych, którzy piszą. Trudno się w takich warunkach spotkać, zaś relacje między autorem i odbiorcą to niewątpliwie relacje między istotami poszukującymi miłości i przyjaźni – tak samo jak i w życiu codziennym. Relacje te muszą ucierpieć, gdy książki (a tym samym i ich twórcy) zginą w kilkuletnim zapomnieniu.

Jest jeszcze jedna sprawa ważna w odniesieniach autorsko-czytelniczych. Atmosfera, „osobliwa chwila", w jakiej rodzą się w tym samym czasie utwory literackie i gusty odbiorców, chwila ta ginie, rozmywa się. Zwróciła mi uwagę na to zjawisko pani Katarzyna Krzemuska, miłośniczka fantastyki, wiceszefowa Wydawnictwa Literackiego, wytrwale podtrzymującego (jak nikt inny) nurty lemowskiej science fiction (z jej wszelkimi wariacjami i dewiacjami). Powiedziała mi: *„Jakże inaczej piszą już dziś wasi młodzi autorzy w »Fantastyce« od tych, którzy jeszcze niedawno próbowali iść za Lemem czy Zajdlem. Są już nawet inni niż laureaci waszego pierwszego konkursu. Może nie gorsi, lecz bardzo różni od tamtych".*

Właśnie, trendy i gusty autorskie i czytelnicze zmieniają się. Nasze pismo, choć stara się utrzymać linię i poziom sprzed trzech i pół roku, z okresu swych narodzin, przybiera inny niż wówczas ton i inne niż dawniej rzeczy drukuje. Nie tylko krajowe, lecz i zagraniczne, bo i za granicą literatura fantastyczna – jak zresztą niemal wszystko, co nas otacza – ulega szybkim przemianom. Wiek komputerów i sputników się kończy, szybko zmieniają się układy i nastroje ludzkie. Wspomagają ten przyśpieszony bieg codzienności środki masowego przekazu. Błyskawiczna wymiana obrazów i refleksji nie może pozostać obojętna dla psychiki, dla sposobu życia, dla dziś i nakładającego się na to dziś z coraz większą siłą – jutra. Rodzą się nowe talenty, coraz bardziej dzielą się, indywidualizują i działają na własną rękę pisarze, którzy razem stawiali pierwsze kroki lub działali pod wpływem większych od siebie.

Jeśli więc uznamy za negatywne zjawisko – wynikające z sytuacji w wydawnictwach (na szczęście nie wszystkich) i w drukarniach – zakłócenia procesu pogoni twórcy za odbiorcą, a odbiorcy za wybranym twórcą, to z pewnością za pozytywy należałoby uznać prędki awans tych, którzy przecież dopiero niedawno startowali lub dopiero startują, a już się liczą. Do takich talentów niespodziewanych należy na przykład Włodzimierz Różycki ze swoją nadzwyczajną (wśród ogólnego w SF ponuractwa) *vis comica*. Któż nie wił się ze śmiechu, czytając „Weekend w mieście" w numerze styczniowym? Kto zaś spodziewał się odkrycia wśród pisarzy czeskich drapieżnego talentu Ondřeja Neffa, który nawiązując do nie najchwalebniejszych tradycji naszej kultury czy cywilizacji z kręgu *panem et circenses* – wyolbrzymia, nadaje tragicznych, ludzkich wymiarów grom elektronicznym, uprawianym na razie tylko w specjalnych pomieszczeniach, za pomocą specjalnych urządzeń. Różnie przecież można sobie wyobrazić rozwój sytuacji na naszej planecie. Proszę przeczytać dokładnie, nie zaś tylko z wypiekami na twarzy, „Największego szajbusa" Neffa.

Czyż manowce kultury masowej nie mogłyby się nagle i niespodziewanie przerodzić w główniejsze szlaki? Czyż nie można wietrzyć niebezpieczeństw, kiedy ogląda się, weźmy dla przykładu, ple-ple ze „Studia 1" naszej ukochanej telewizji? Science fiction nie po raz pierwszy służy piętnowaniu czy karykaturowaniu losowego ryzyka.

Dostajemy mniej lub bardziej rozpaczliwe listy, które nie tylko są głosem w dyskusji o profilu naszego pisma, profilu nieuchronnie i stopniowo odmienianym, czy tego chcemy czy nie, ale również wysuwają na czoło problem rozmijania się książki z czytelnikiem. W tym wypadku chodzi oczywiście o książkę fantastyczną. Do stałego arsenału zarzutów należy również szata graficzna wydawnictw. W wielu oficynach edytorskich sądzi się, że głód lektury można zaspokoić samą tylko treścią, choćby była ona byle jak, byle najtaniej, podana. Tymczasem jest to nieprawda, samozakłamanie, ułuda i majak. Nawet z naszych wkładek powieściowych Czytelnicy wykonują pracowicie, w miarę możliwości, trwałe i estetyczne książki. Fatalna polityka bylejakości wydawniczej nie ma najmniejszego pokrycia w rzeczywistych gustach i dążeniach ludzi.

Poza tym nie można zapominać, że dobrze wydane książki uczą szacunku zarówno dla samej książki, jak i dla jej wartości poznawczej, wewnętrznej. Toż tylko rzeczy wartościowe pakuje się elegancko, byle jakie zaś traktuje jak bądź. Niechlujnie wykańczane domy, zaniedbane, wyboiste ulice, brzydkie przedmioty codziennego użytku, potworki zabawkowe dla dzieci, ulegające prawie natychmiastowemu zniszczeniu źle wydane książki – uczą lekceważenia substancji, którą człowiek dla swej cywilizacji i kultury przeobraża w pracowniach artystycznych i fabrykach, kształcą kalectwo ekologiczne, wpajają przekonanie o bylejakości życia, zniechęcają. Myślę, że to sprawa bardzo ważna i nie wolno jej nigdy stracić z pola widzenia. Z tej dziś perspektywy spójrzmy więc na świat podczas naszego orbitowania.

10 - 9 - 8 - 7 - 6 - 5 - 4 - 3 - 2 - 1 - 0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK
Fantastyka

00-640 WARSZAWA, ul. Mokotowska 5/6
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki, nauki).

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy, tel. 25-35-36.
Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Oddano do składu 24 lutego 1986 r.
Druk i oprawa: P.Z. Graf. RSW Łódź. N. 130 000 egz. Zam. 604/86, P-35
NR INDEKSU 35839

PL ISSN 0209-1631.

Czytelnicy i „Fantastyka"

LĄDOWANIE XXXIX

Dzisiaj pragnę Państwu przedstawić bogactwo tematów, poruszanych przez naszych Czytelników. Spieszą do nas z opiniami i doniesieniami, w pełnym zaufaniu, że chociażby we fragmentach je opublikujemy i zajmiemy swoje stanowisko. Zaczynajmy, więc.

Zjawiska niesamowite

W miasteczku M. na południu Polski, na trzecim piętrze w czteropokojowym bloku (2 pokoje, kuchnia i łazienka) mieszka małżeństwo w średnim wieku wraz z dorastającymi dziećmi (...) Wszystkie zjawiska zaczęły się w pierwszych dniach listopada 1985 r. Domownicy przez około 5 tygodni, w godzinach popołudniowych, słyszeli uporczywe stukania (uderzenia) w drzwi wejściowe. W miarę upływu dni uderzenia te zaczęły przybierać na sile i częstotliwości. Dochodziło nawet do samoistnych ruchów klamki i otwarcia drzwi... Gwałtowne nasilenie wydarzeń nastąpiło w dniu 8.12.85 (wtedy zanikły uderzenia w drzwi) w godzinach wieczornych i zaczęło się od upadku dużego obrazu ze ściany w pokoju. Różne przedmioty – nawet 5-kilogramowa figura gipsowa – spadały z szafy, karnisz został wyrwany ze ściany wraz z hakami, doniczki z roślinami spadały z parapetów... Należy zauważyć, że prawie wszystkie przedmioty wykonane z materiałów tłukących się (o ile nie uległy zniszczeniu po pierwszym ruchu) były wielokrotnie przemieszczane aż do zniszczenia... W polskiej literaturze przytoczono 2 przykłady podobne. Pierwszy z Anglii z 1850 r., następny z USA w lutym 1959 r. W ostatnich latach podobne zjawiska występowały wokół 15-letniej Joasi z Sosnowca...

Z uwagi na brak zainteresowania nauki uprzejmie proszę o publikację w „Fantastyce", tym bardziej, że rodzina ta nie może otrzymać znikąd żadnej istotnej pomocy.

Lekarz med. ***Janusz Liwoch*** *z Myszkowa*

Naprawdę trudno nam wyrokować, na czym mogłaby polegać pomoc nasza w tej fantastycznej historii z codzienności. Myślę, panie doktorze, iż jest Pan osobą kompetentniejszą w tych sprawach od nas. Czekamy na dalszy rozwój wypadków.

Rozpieszczeni pisarze

Polscy pisarze SF są w dużej mierze rozpieszczani przez czytelników – wiadomo, że nawet najwyższy nakład rozejdzie się w mgnieniu oka. Zanika więc w tym gatunku działanie krytyki, której wynikiem jest w innych popularność danej książki czy pisarza. Będąc jeszcze ciągle pod wrażeniem eseju Marka Oramusa, śmiem twierdzić, że właśnie krytyka naszej rodzimej SF powinna się rozwijać, aby na półkach pojawiały się utwory... wnoszące nowe wartości literackie. (...) Przyznaję, że nie czytałem „Węża" pani Górskiej, lecz nie chodzi mi o sam spór, w jaki wdaje się Autorka z p. Parowskim, lecz o zasadę. Będę bronić jak lew każdej recenzji: krytyk jest zobowiązany do wyłapywania w utworze rzeczy najgorszych, by w przyszłości najlepsze mogły zabłysnąć jaśniej.

Joanna Czaplińska *ze Szczecina*

Chciałbym nawiązać do polemiki między panią Gabrielą Górską a panem Maciejem Parowskim. Otóż niech pisarze pod żadnym pozorem nie przejmują się tym, co piszą zawistni (czasami) krytycy. Bo i tak jednych i drugich pogodzi czytelnik, akceptując lub odrzucając książkę. Recenzja negatywna zresztą także prowokuje czytelnika do konfrontacji poglądów. Mądrze napisał p. Waldemar Łysiak, że gdyby każdy malarz przejmował się tym, co krytycy wypisują, nigdy byśmy nie widzieli dzieł i nawet powstać by nie mogły.

Bernard Kiślak *z Kielc*

W gruncie rzeczy każda dyskusja, każda polemika, choćby czasami najostrzejsza, działa na korzyść zarówno krytyków, autorów, jak i czytelników. Mnie się wydaje, że każdy z nas – jako czytelnik – poszukuje zawsze swej jedynej, wybranej, ukochanej książki. To tak, jak z miłością między ludźmi.

Ofiarom tragedii wahadłowca

Wyruszyłem człowiekiem, uleciałem duchem.
Co się stało ze statkiem moim?
Pamiętam, że rozpadł się na tysiąc drobin
I ten błysk pamiętam, a w niebo mój duch...

Rafał „Hornet"

To tylko fragment wiersza pana Rafała, świadczący o natychmiastowej reakcji Czytelników nie tylko na sprawy „Fantastyki" i fantastyczne.

Zbędna poezja itd.

Uważam, że poezja w „Fantastyce" jest zbędna i szkoda na nią miejsca, tak samo jak na „pożółkłe kartki". „Fantastyka" z listopada 1985 r. była kompletnym fiaskiem. (...) Dlaczego nie drukujecie opowiadań z gatunku fantasy i powieści fantasy. Powieści są super, szczególnie – Barbeta, Clarke'a, Zelazny'ego i Hogana. Brawa za Funky'ego. „Człowiek bez twarzy" był do kitu.

Roman Fiejdasz *ze Świnoujścia*

Moja przygoda z „Fantastyką" rozpoczęła się w 1985 r. i trwa. Czytam Wasze „cudowne dziecko" od deski do deski. Rzadko się zdarza, żebym nie był zadowolony. A w ogóle to nie rozumiem przeciwników poezji, „Galerii" czy komiksu. Chcę przy okazji prosić czytelników posiadających podwójne numery „Fantastyki", lub chętnych do odsprzedania swoich, o numery z 1985 r. – 3/30, 4/31, 6/33, 7/34, 8/35, 9/36.

Marian Mamczura*, Gen. Dąbka 153, 37-600 Lubaczów*

Mój wyjazd z kraju spowodował, że musiałem swoją kolekcję zostawić. Od numeru 10/83 dostaję już jednak ponownie „Fantastykę", tyle że w Australii. „Pożółkłe karki" uważam za stratę miejsca, gdyż drukowanie wyrwanych z kontekstu fragmentów starszych utworów nic nie daje. Wydaje się, że najlepszym rozwiązaniem jest numer 11/85 cały poświęcony dawnej fantastyce. Taki numer retro można śmiało wydawać raz do roku... Generalnie rzecz biorąc – świetny wybór opowiadań zagranicznych i powieści. Trochę gorzej ze stroną polską... aczkolwiek nie jest źle. „Lądowania" bardzo ważne – to MUSI pozostać. Naczelny mógłby w swoim „3...2...1" wypowiadać na temat materiałów zamieszczanych w danych numerach pisma – swoje własne opinie. Świetnym pomysłem była „Galeria". Podobały się prace Sorayamy, Kostii, Siudmaka, Łukaszewskiego. Musicie tylko dbać, aby drukarnia nie zniweczyła tego...

Lech Jakubik *z Melbourne*

Już od roku odbieram i czytam z wielkim zadowoleniem „Fantastykę". Zazdroszczę pod tym względem polskim czytelnikom, gdyż dotąd niestety podobnego miesięcznika na Ukrainie nie mamy. Dobry jest pomysł z działem „poezja i fantastyka", należy też aprobować publikację zapomnianych i półzapomnianych głośnych dzieł. Moim zdaniem nie warto drukować komiksu. Może jestem w błędzie. Zgadzam się z Czytelnikami, którzy uważają, że należy ograniczyć nieco grafikę z „Galerii", zwiększając natomiast liczbę ilustracji do publikowanych utworów. I nie zgadzam się z tymi, którzy uważają „naukę i SF" za zbędną rubrykę. Chciałoby się między innymi zobaczyć na łamach „Fantastyki" przekłady utworów autorów ukraińskich. Szczerze Wasz.

Jurij Stadniczenko *z Charkowa*

Jest „Fantastyka" jedynym pismem, czytanym przeze mnie od deski do deski. (...) Godna pochwały i podziwu jest Wasza wytrwałość w trzymaniu się raz obranej linii pisma. Proszę wydrukujcie mój adres w rubryce „komu, komu".

Andrzej Paczyński*, Puławskiego 7c/8, 66-400 GORZÓW WLKP.*

Przede wszystkim Was przepraszam, że piszę źle po polsku. Jestem bowiem Słowakiem, a od lutego 1985 r. gorliwym czytelnikiem Waszego znakomitego pisma (u nas takiego nie ma). W numerze 11/85 jest powieść Burroughsa „Pellucidar". Jest tam wzmianka w notatce, iż w numerach 10 i 11 z 1984 r. była opublikowana „Księżniczka Marsa". Bardzo bym chciał tę powieść mieć, lecz nie wiem jak tego dosięgnąć. Wiem, że to mało prawdopodobne, ale jestem fanatykiem i dlatego piszę ten list.

Miroslav Mindaš*, Osmolova 36, B 851, 842 25 BRATISLAVA, Czechosłowacja*

Nigdy nie będzie pokoju między zwolennikami i przeciwnikami różnych rubryk. To znaczy ten pokój zostanie uzyskany przez nasze działanie: utrzymanie linii pisma. Coraz więcej pisuje do nas Czytelników z zagranicy. I tym ostatnim i krajowym mało możemy pomóc: dostarczenie przez nas brakujących im egzemplarzy „Fantastyki" leży poza naszym zasięgiem. Nie my kolportujemy pismo, tylko „Ruch". Mamy nadzieję, że potrzebujących wspomoże solidarna brać fanowska. Prawda?

Redaktor

Ondřej Neff

STRUNA ŻYCIA

(Struna života)

Najpierw eksplodował drugi, potem piąty, a w odstępie kilku sekund pozostałe cztery zbiorniki paliwa dla promu kosmicznego, umieszczone w przedniej części ładowni Rakietoplanu Intrepid. Dowódca – Bernard Weintraub i drugi pilot – Leslie Gelb niemal natychmiast stracili przytomność i uniknęli cierpień. Los Alana Cowela, pracownika naukowego odpowiedzialnego za biochemiczny projekt doświadczalny „Astral", był gorszy. Przeżył wybuch, lecz płomienie przepaliły ścianę kabiny Intrepidu, więc daremnie skrywał twarz w glebie fasoli typu alfa, gama i „South Orange II".

W chwili wybuchu w ładowni przebywał Henryk Stokes, technik pokładowy, ubrany w średniociężki skafander, na który w slangu NASA mówiono – z niewiadomych przyczyn – „Gaston". Moduły Spacelabu, umieszczone w tylnej części ładowni, odrzuciły mieszankę żrących gazów, które uleciały w wolną przestrzeń kosmiczną nie wyrządzając krzywdy astronaucie. Rozerwały jednak laboratoryjny moduł, gdzie właśnie pracował brytyjski fizyk Richard Cohen. Ze szczeliny wytrysnął niebieskawy obłok sztucznej atmosfery. Cohen zakrył sobie twarz dłońmi, z bólem i przerażeniem przeżywając chwile, które słusznie uważał za ostatnie sekundy życia.

Astronauta w skafandrze znieruchomiał z mocno zaciśniętymi powiekami, aby nie oślepiły go płomienie szalejące z przodu ładowni. Blask pożaru był jednak tak silny, że mimo to rozbolały go oczy. Mętnie uświadomił sobie, co się mogło stać, ale nie był w stanie wykonać ruchu. Otworzył tylko usta, a z wyschniętego gardła wydobywał mu się głos brzmiący mniej więcej: a...aa...aaa...

Szaleństwo ognia skończyło się po około dziewięćdziesięciu sekundach. Stokesa ogarnęła ciemność, ale odczuł ją tak samo boleśnie, jak ten biały pożar.

Stokes był jednak astronautą ze starej szkoły, trenowanym w latach osiemdziesiątych w morderczych testach NASA. Ćwiczenia z przyzwyczajenia wzroku do zmian oświetlenia należały do uporczywie powtarzanych punktów programu. Już po dwunastu sekundach Stokes odróżniał zarysy, a po następnych trzech – kontury laboratoryjnego modułu. Był rozcięty, jakby go ktoś przejechał otwieraczem do konserw. W środku miotał się Anglik w białym overalu, poplamionym krwią.

Stokes odbił się od ściany za sobą i poszybował w kierunku modułu. Chwycił się ostrych krawędzi pęknięcia nie myśląc nawet o tym, że mógłby sobie rozerwać plastykowe rękawice skafandra. W pomarańczowym świetle lampek awaryjnych zobaczył plątaninę przyrządów i kabli, wśród których wił się w agonii Dick Cohen. Krew tryskała mu z nosa, uszu i spod paznokci. Walczył o odrobinę tlenu dla płuc.

Stokes przecisnął się do środka i zerwał ze ściany śnieżnobiały wór podobny do uśpionego białego nietoperza. Stalowa linka przymocowana do uchwytu wyciągnęła zawleczkę. Wór trochę się nadmuchał i nabrał kształtu znacznie przerośniętej muszli. Dick Cohen przestał się już ruszać. Stokes chwycił go za ramiona i wepchnął głową do otworu muszli. Czysty tlen obmywał teraz twarz Anglika, lecz dolna połowa ciała stale jeszcze narażona była na śmiercionośne działanie próżni. Astronauta złapał więc bezwładnego naukowca w pasie i wyciągnął przez szczelinę na zewnątrz. Tam kilkoma energicznymi ruchami wepchnął Cohena do środka, przycisnął mu kolana do brody i zacisnął plastykowe zamknięcie. Potem szybko pociągnął za czerwony uchwyt. W mgnieniu oka wypełniły się kanały zewnętrznej części powłoki. Biała maszkara przybrała kształt kuli o średnicy metr dwadzieścia. Wewnątrz, skulony jak płód w łonie matki, Dick Cohen powracał do życia. Był nadal nieprzytomny, lecz jego płuca już zaczęły pracować. Stokes zajrzał do środka przez okienko ze szkła organicznego, ale niczego nie mógł dostrzec. Bezradnie złapał uchwyt przymocowany do kuli – podobny do rączki walizki – i gorączkowo zastanawiał się, co dalej.

Nowy wybuch materiałów pędnych uzmysłowił mu, że grunt na pokładzie Intrepidu pali się dosłownie pod nogami. W tym momencie przypomniał sobie, że z tyłu ładowni znajduje się skuter kosmiczny – to przedziwne skrzyżowanie fotela i knajpianego wieszaka – zaopatrzony w rakiety przeznaczone do ruchu w wolnej przestrzeni. Przyciągnął kulę ratunkową do skutera, za pomocą stalowych zaczepów przymocował ją do sztywnego pancerza swego skafandra i zajął miejsce za sterami. Kilka błysków rakietowych motorków oddaliło Stokesa i jego dziwny bagaż od konającego rakietoplanu.

Wysoko nad nimi unosiła się ogromna, niebieskawa kula Ziemi, ozdobiona piaskiem Drogi Mlecznej jak błyszczącym zawojem. Intrepid świecił w kilku miejscach czerwonawym żarem, a nieregularne eksplozje wskazywały, że agonia statku jeszcze się nie skończyła. Stokes odczuł potworną samotność. Pomyślał, że w chwili gdy usiadł w skuterze, przyłączył się do jego urządzeń komunikacyjnych. W czasie pracy w wolnej przestrzeni skuter związany był z rakietoplanem za pomocą kabla komunikacyjnego. Również kula posiadała gniazdko do kabla, aby astronauta mógł się porozumiewać z człowiekiem zamkniętym w środku. Stokes odszukał konektor i wsunął go do gniazdka.

– Halo, Dick! Słyszysz mnie? To ja, Henry!

Usłyszał jednak tylko syczący oddech.

Nagle rozległ się obcy głos:

– Intrepid, Intrepid! Tu Skylab VII. Nareszcie was słyszymy. Co się stało? Odbiór!

– Skylab, tu Henry Stokes! Wybuchło paliwo dla tego waszego cholernego promu! Zdaje się, że tylko sam zostałem przy życiu. Mam tutaj w kuli ratunkowej Dicka Cohena, ale na razie się nie odezwał...

– Boli... Boli... – jęknął Dick Cohen. Stokes krzyknął z radością, a Skylab też złożył mu gratulacje.

– Zachowajcie spokój, chłopaki! – wołał Skylab. – Wysyłamy do was prom. A teraz słuchajcie uważnie. Wszystko tutaj obliczyliśmy... musicie wejść na wyższy poziom, bo prom tak nisko nie zejdzie. Według naszej EM wu trójki musicie wyjść na poziom czterysta pięćdziesiąt, a jeszcze lepiej – czterysta osiemdziesiąt. Prom będzie u was za około sto minut. Powinno wam do tego czasu wystarczyć tlenu. Skuter w porządku?

– Tak, w porządku – odpowiedział Stokes.

– Świetnie. A dla ciebie Dick, gratulacje. Przeżyłeś pobyt w próżni. Duża sprawa!

– Dzięki – odezwał się Stokes. – Lecimy wam naprzeciw. Macie coś jeszcze?

– Trzeba wam przynajmniej trzech minut pracy na pełnych obrotach! – stwierdził facet ze Skylaba. – Rozumiecie? Na trzy minuty gaz do dechy!

– Henry – szepnął Dick – jak jest z paliwem?

– W porządku, a jak ma być?

– Uzupełniliście? Leslie Gelb rano pracował na zewnątrz...

– Cholera... Nie uzupełnili, pomyślał Stokes. To było w programie dopiero po południu.

– Słyszymy was obydwu – powiedział Skylab. – Jak stoicie z paliwem?

Henry Stokes poczuł nagle ołowiany ciężar, zupełnie

niezwykły w przestrzeni kosmicznej. Straszne przeżycia minionych trzech minut dopiero teraz w pełni do niego dotarły i dosłownie pozbawiły go rozsądku. Zaczął krzyczeć:

– Obaj się nie uratujemy! Paliwa nie starczy dla dwóch!

– Tylko spokojnie – apelował Skylab. – Przeprowadzamy właśnie kalkulację...

– Pieprzę waszą kalkulację, chodzi mi o własną skórę!

– Henry, uspokój się... Wydostaliśmy się z najgorszego...

– O Boże, czego ty jeszcze chcesz ode mnie? Wyciągnąłem cię z tego wraka, a przecież mogłem cię tam zostawić. Rozumiesz? Mogłem cię zostawić... dla jednego jest dosyć paliwa...

Henry Stokes ciężko dyszał. W oczach pulsowała mu czerwona mgła, a żołądek chwytały skurcze – nie z powodu choroby kosmicznej, lecz śmiertelnego strachu. Całą siłą woli zmuszał się do spokoju. Muszę wszystko rozważyć na zimno, bez emocji... – myślał. Ujął mocniej uchwyt kuli ratunkowej. W okienku zobaczył białą twarz Dicka.

– Henry... Dick... Co się dzieje? – dopytywał się Skylab.

W tej chwili Dick Cohen zrozumiał i krzyknął:

– On chce... chce mnie wyrzucić w przestrzeń!

Henry Stokes wypchnął w tej chwili ręce przed siebie, a jednocześnie i nogi, żeby gwałtowny ruch nie pozbawił go równowagi. Biała kula poszybowała w kierunku płonącego wraka Intrepidu. W ostatnim momencie w okienku błysnęły oczy Dicka. Henry Stokes krzyczał coś bez sensu, miotał przekleństwa szaleńca, pluł słowami i całkiem przypadkowymi sylabami; krzyczał, co mu ślina przyniosła na język, żeby tylko zagłuszyć wyrzut sumienia.

– Halo, Intrepid, odezwij się! Tu Skylab VII, tu Skylab VII! Co się z wami dzieje?

Kula znikała w głębiach przestrzeni kosmicznej. Już była nie większa od piłki futbolowej. Henry przestał krzyczeć, bo stracił dech i rozbolało go gardło. Bał się następnych kilku sekund. Dick będzie przeklinać, narzekać, błagać. W słuchawkach panowała jednak cisza, tylko Skylab w regularnych odstępach ponawiał swoje wezwania. Dick pewnie zemdlał ze strachu albo nawet otworzył właz kuli i wykorzystał próżnię kosmiczną jako narzędzie samobójcze. To odważny facet; na jego miejscu zrobiłbym tak samo. Musiał zrozumieć, że dla dwóch nie starczy paliwa, musiał...

Żołądek znów mu się rozkołysał, tym razem może ze wstrętu dla własnego tchórzostwa.

Położył ręce na drążkach kierowniczych skutera, gdy nagle poczuł jakieś szarpnięcie.

– Co to? – krzyknął. Odpowiedział mu Dick – spokojnie i wyraźnie – jakby się nic nie wydarzyło.

– Lina komunikacyjna. Jesteśmy połączeni kablem. Jak mogłeś o tym zapomnieć, Henry?

Dopiero w tej chwili Henry przypomniał sobie o kablu. Ciągnął się w mroku jak srebrna struna, a gwiazdy iskrzyły się na jego plastykowej powierzchni. Stokes niemal ze wstrętem dotknął go ręką w ciężkiej rękawicy. Kabel był napięty i pod dotknięciem drgnął jak prawdziwa struna.

– Zapewne będziesz chciał urwać kabel – kontynuował Dick tym samym tonem. – Chyba jednak ci się to nie uda. Kabel działa bowiem jako linka zabezpieczająca. Jest w nim pięć stalowych nitek. Musiałbyś mieć siłę jak buldożer, żeby to urwać...

Do rozmowy wtrącił się znów Skylab:

– Chłopaki, nie rozumiemy, co się u was dzieje. Prom jest już w drodze, więc głowy do góry i walcie na pełnych obrotach. Wszyscy trzymamy za was kciuki. Przekazaliśmy już wiadomość o katastrofie. Podały ją stacje radiowe i telewizyjne na całym świecie. Spójrzcie na Ziemie, chłopaki. Miliardy ludzi są z wami!

Henry Stokes wściekle szarpnął liną, ale jak Dick słusznie przypuszczał, kabel był mocny i niezgrabne rękawice ślizgały się po jego gładkiej powierzchni. Henry pomyślał głupio, że mógłby otworzyć maskę hełmu i przegryźć te cholerne nitki. Uświadomił sobie rozpaczliwą bezsilność i o mało nie pozbawiło go to resztek rozsądku. Wpatrywał się w niewyrażalną nienawiścią w lśniąco-białą kulę unoszącą się wśród gwiazd, tak jakby to był wrzód wyciągający z niego życie. Całą swą inteligencję ukierunkował tak, aby za wszelką cenę pozbyć się pasożyta. Nagle wybuchnął złym, szyderczym śmiechem.

– Ale ja cię i tak urządzę. Tylko poczekaj...

Owinął linę wokół ręki i pociągnął. Najpierw szło ciężko, potem coraz łatwiej. Kula zbliżała się. Zachrypiał zwycięsko:

– Chodź tu, ty bestio!

– Co ty znowu robisz? – odezwał się Dick. – Czy naprawdę zwariowałeś? Włącz ten cholerny skuter, żeby już stąd ruszyć. Mamy mało paliwa, ale w ten sposób na dodatek bez sensu tracimy tlen! Co ty wyprawiasz, Henry? Co znowu kombinujesz? Już wiem... Skoro nie możesz urwać linki, chcesz mnie przyciągnąć, żeby odłączyć konektor. Czy mam rację, Henry?

– Zawsze miałeś racje, cwaniaczku. Ale teraz ja się będę śmiał ostatni!

– Nie sądzę – stwierdził Dick ze strasznym, brytyjskim akcentem. – Czy pomyślałeś skąd łapiemy połączenia radiowe? Albo z pokładu rakietoplanu, albo z mojego rozkosznego okrągłego domku. Ani w skafandrze, ani w skuterze nie ma nadajnika. Bez niego prom nigdy cię nie znajdzie. Bez sensu spalasz tlen, ty idioto!

– Gadaj sobie, co chcesz. Może jesteś wielki cwaniak, ale ja zawsze wygrywałem, zawsze byłem górą. Słyszysz? Henry Stokes zawsze zrobił to, co zaplanował.

Kula ratownicza była już bardzo blisko.

Henry Stokes wyciągnął rękę. Konektor z wielkimi zapięciami w kształcie uszu Micky Mouse wsunął mu się między palce rękawicy. Szarpnął dłonią i mimo grubej warstwy plastycznej tkaniny poczuł trzaśnięcie zapadki. Luźny kabel wypadł mu z ręki.

– Powodzenia, cwaniaczku – szepnął.

Położył rękę na drążku startowym skutera i szybko go nacisnął. Czekał, że pęd skutera wciśnie go w fotel, ale silniki milczały.

Z przerażeniem popatrzył w górę, gdzie unosiła się planeta pogryzmolona białymi obłokami, które ułożyły się w szyderczy grymas. Ziemia śmiała się z niego.

Odnalazł wzrokiem okienko kuli ratunkowej.

Czy ten cwaniaczek też się z niego śmieje? Jeśli tak, to jednym kopniakiem odrzuci kulę daleko od siebie. Tak, zrobi to, musi to zrobić.

Ale potem zostanie tu sam na sam z błękitnym obliczem Ziemi i będzie obserwował jej śmiech, dopóki nie skończy się tlen. Będzie sam, ze zgaszonym skuterem na plecach.

Jednak Dick Cohen się nie śmiał.

Henry odetchnął z ulgą.

Z wahaniem, nieśmiało, dotknął uchwytu kuli, przytrzymał go, a drugą ręką włączył konektor. Trzasnęła zapadka.

– No to do roboty – odezwał się Dick spokojnie. – Ze swojego miejsca nie możesz tego widzieć, ale sięgnij ręką do tyłu. Rób, jak mówię; sięgnij! Dobrze, ale niżej, jeszcze niżej. Teraz przekręć przełącznik rezerwy paliwa. No, w porządku. Teraz łap za drążki i gazu, żeby jak najprędzej się stąd wynieść. Wcale mi się tu nie podoba.

Operacja ratunkowa zakończyła się powodzeniem. Prom kosmiczny po skomplikowanym manewrze spotkał na orbicie dziwny pojazd. Był to kosmonauta ze skuterem rakietowym i z kulą ratunkową w ręku. Obaj mężczyźni byli nieprzytomni, Henry Stokes był bliski śmierci klinicznej.

Po wielu godzinach, kiedy już przywrócono ich do życia w namiotach tlenowych Skylaba VII i ułożono w hamakach, odwiedził ich dowódca stacji.

Gratulował im szczęśliwego uratowania, a potem, niby od niechcenia, zapytał:

– Chłopaki, możecie mi wyjaśnić jak to właściwie z wami...

– Nie, nie możemy – odpowiedział Dick za obydwu.

Na pokładzie Skylaba nikt już ich o to nie pytał. Taśmy magnetofonowe z zapisem ich rozmów jakimś dziwnym przypadkiem skasowały się, pewnie same z siebie. W Kosmosie obowiązują bowiem inne prawa, zwłaszcza te ludzkie, a pojęcie „współczucie" posiada inne znaczenie niż na dole, na Ziemi.

Przełożył Andrzej Sławomir Jagodziński

Największym szajbusem w dziejach swangu był Grapo Wolinski. Możecie mi wierzyć, znaliśmy się już w szkole, mieliśmy wspólne dziewczyny, paliliśmy trawę z jednej fajki, a jak skończyliśmy po dwanaście lat i wyrzucili nas z budy, nadal trzymaliśmy się razem, bo wtedy zaczynał być popularny swang i obaj wpadliśmy w niego po uszy. Tylko że ja, normalna rzecz, szybko odpadłem, bo do swangu człowiek się musi urodzić, a to nie był mój przypadek, Grapo natomiast walił dalej i po dwóch latach całe wideo pełne było jego gęby, a nawet trafił na okładki czasopism dla starych ludzi, którzy nie oglądają wideo, tylko czytają. Nawiasem mówiąc, ja też się nauczyłem tego czytania i całkiem mi się to spodobało. Od czasu kiedy wideo pełne jest tego mango jango, czy jak tam na to mówią te młode szczawiki, nie da się już w ogóle na to patrzeć.

dziochów, którzy mieli po dwadzieścia lat i tych jeszcze starszych, żółtych ze wściekłości, że już wyszli z obiegu.

Ale największą siłę miał w nogach i biodrach. Doktor mówił, że Grapo od urodzenia ma niezwykle mocne stawy biodrowe i kręgosłup, a oprócz tego – niespotykany system nerwowy. Nie wiem, o co tam chodziło, ale zdaniem łapiduchów w ciele Grapo sygnały nerwowe biegały przynajmniej pięć razy szybciej niż u kogokolwiek innego. Miał ponadto dość krótki tułów, a nogi jak bocian. No i ogromną siłę w tyłku. Jeszcze wcześniej, nim naprawdę zaczął występować i zanim razem stawialiśmy w swangu pierwsze kroki, Grapo potrafił tak pośladkami ścisnąć linę, że dwóch facetów nie potrafiło mu jej wyrwać. A co dopiero za siłę musiał mieć po tych hormonalnych pigułach? Na pewno potrafiłby tyłkiem przecinać druty.

Teraz zaprezentuję wam Grapo na herbatniku.

NAJWIĘKSZY SZAJBUS W DZIEJACH SWANGU

Ondřej Neff

(Největši vodvaz v dějinách svangu)

No, ale wracam do Grapo Wolinskiego.

Ten Grapo to był taki gość, że nie zapominał o kumplach nawet wtedy, kiedy był w cugu, na przykład kiedy zaprosili go do Białego Domu, żeby uczył swangu bachory prezydenta, albo kiedy Ojciec Święty z Rzymu zaproponował mu kapelusz kardynalski, jeśli tylko pozwoli się ochrzcić i powie na wideo, że bez łaski Bożej on – Grapo Wolinski – nawet by w swangu nie podskoczył. Aż mnie samego zaskoczyło, że on jest taki równiacha, bo nie widzieliśmy się przeszło rok, kiedy któregoś dnia dzięki kumplowi dostałem się do tej hali, gdzie Grapo swangował, przecisnąłem się aż do samego herbatnika, a Grapo – jak mnie zobaczył – wypiął się na wszystkich trenerów i innych fagasów, którzy skakali wokół niego, przyleciał do mnie i krzyczy:

– Sie masz, Marek, ty stary farmazonie! Jak ci leci?

– E, po byku – mówię, żeby sobie za dużo nie myślał.

– W porządelu, zostajesz szoferem w moim pieprzonym rolls royce'ie.

I już dla niego sprawa była załatwiona, więcej ze mną nie rozmawiał, wrócił na środek herbatnika i swangował tak, jak nie potrafiłby nikt inny, nawet Rockymount, którego spalili w Rio, chociaż byli ludzie, którzy twierdzili, że ten czarny Rockymount był najlepszym swangowcem wszechczasów.

Ale, ale jak tak na was patrzę, to wy pewnie nie wiecie, co to był swang?

No, nie śmiejcie się ze mnie, a przede wszystkim nie chcę słyszeć, że swang to była zabawa dla staruszków, jak mówią te młode szczawiki, wielbiciele mango jango. To prawda, że w swangu nie lała się krew, jak w mango jango, ale dostać bombę dwudziestu pięciu tysięcy woltów, to też niezłe jaja. A czasami napięcie sięgało nawet miliona woltów, jak wtedy w Rio, kiedy Rockymount dostał w klatę. Mówię oczywiście o czasach, kiedy już wprowadzono Muzyczne Koło Szczęścia.

No więc swang...

Wyobraźcie sobie Grapo Wolinskiego. Facet w kwiecie wieku. Czternaście lat i siedem miesięcy. Przez dwa lata faszerowali go różnymi odżywkami. Mierzy metr dziewięćdziesiąt sześć, z powodu ramion musi bokiem wchodzić przez drzwi, na klacie może mu spokojnie wylądować helikopter, a on nawet nie stęknie. Prawie widzę, jak ten helikopter ląduje; kółeczka zanurzają się w złotym zaroście, jaki Grapo ma na piersiach i na brzuchu, a wirnik kręci się i robi wiatr, więc włosy Grapo wspaniale powiewają. Ten facet miał najpiękniejsze włosy, jakie możecie sobie wyobrazić, zresztą w tamtych czasach dziewięćdziesiąt procent facetów nosiło blond ondulację, oczywiście prócz starych pier-

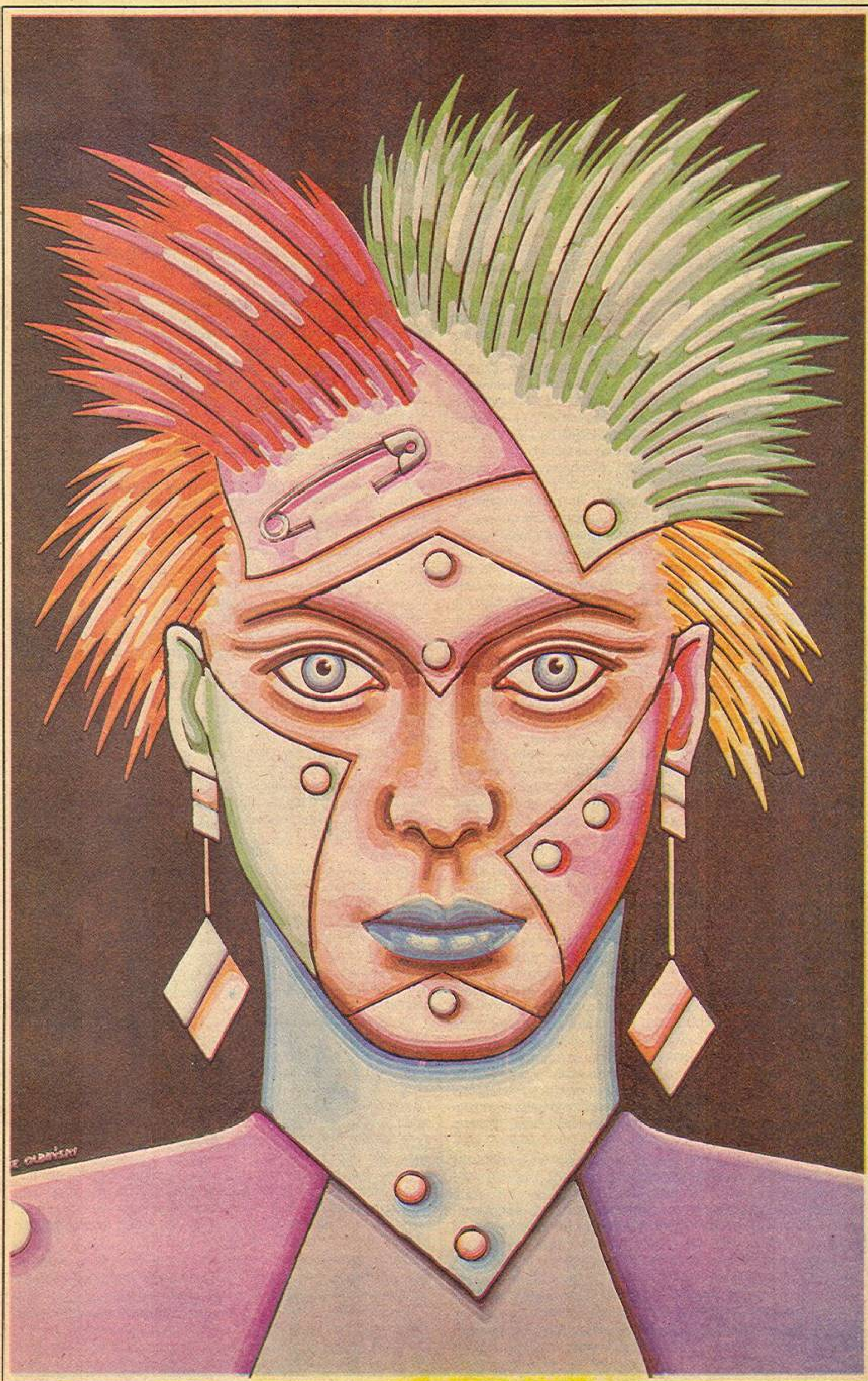
Idzie wolno przez salę, a ludzie ryczą. Jasna sprawa. Stąpa ostrożnie, jak po cienkim lodzie. Nogi sprężynują. Porusza się całym ciałem. Mięśnie przesuwają się od nóg, poprzez brzuch, plecy, kark, poprzez bicepsy i przedłokcie do koniuszków palców. Kiedy Grapo robi najmniejszy ruch, choćby tylko kiwnięcie palcem, to natychmiast widać to w całym ciele, jakbyście wrzucili kamień do jeziora i fala dotarła aż do porośniętego sitowiem brzegu. Uśmiecha się. Grapo zawsze się uśmiechał, nawet kiedy dostał fangę pięciuset woltów, jak widziałem w Baltimore. Miał dużą gębę, cwaniaczek. Czy wierzycie, że jego wielbiciele nieraz nacinali sobie nożem usta, żeby się do niego upodobnić? Nad tą gębą sterczał całkiem nieduży nos, perkaty, dość szeroki, a wyżej potężne łuki brwiowe porośnięte włosami. Kiedy padało, nie mogło mu nigdy nalecieć do oczu, chyba, żeby leżał na plecach. Oczy miał schowane w głębokich jamach, ale ponieważ miały bardzo jasny, błękitny kolor, świeciły stamtąd jak aluminiowy czajnik wrzucony do studni. Czoło miał niskie. Dlatego właśnie w tych gazetach pisali wtedy, że Grapo jest kretyn, troglodyta czy jakoś tak, ale pisał to oczywiście jakiś fagas, który nie wytrzymałby na herbatniku nawet sekundy, bo spaliłby się jak bibułka, kiedy choćby połaskotaliby go milionem woltów. No, wcale nie przesadzam.

Herbatnik to był piaskowożółty kwadrat trzy na trzy metry, z wielkim reklamowym napisem HARPER. Jak wiecie, jest to największy producent herbatników i sucharków w tej części galaktyki, a ludzie od swangu twierdzili, że bez pomocy Harpera swang nigdy nie wyparłby szubi dup. Co, pewnie już tego nie pamiętacie? Ja też widziałem to tylko jako małe dziecko; to była taka głupawa gra: toczyło się jakieś koło i biegało po nim kilku facetów; czasem rozbili sobie gębę – a jak który miał pecha, to mógł się i zabić. Gapiło się na to wszystko na wideo z osiemdziesiąt milionów ludzi i stawiało szmal. No, jak mówię, kompletna głupota. I właśnie dzięki Harperowi po szubi dup nastał swang.

Więc Grapo dobiegł tanecznym krokiem do herbatnika i machał do swych wielbicieli, a oni ryczeli, aż gały wychodziły z orbit. Gdzieś na samej górze, pod sufitem, siedział pieprzony technik z ręką nad sensorowym przełącznikiem, niewiele większym od tabletki aspiryny. Wystarczyło, żeby go technik dotknął i w sali zapalało się czerwone światło i rozlegała się muzyka, a w osiemdziesięciu milionach mieszkań na ekranach wideo zaczynał mrugać czerwony punkcik.

W tej chwili dwieście milionów ludzi chwytało małe pudełka z dźwignią do sterowania, na klawiaturze każdy wystukiwał wysokość stawki i już leciało. Każdy widz dysponował jednym jedy-





Tomasz Olbiński

nym woltem. Musiał odgadnąć, do jakiej części Grapo za chwilę przytańczy i tam przyłożyć tego wolta. Jeden strzał za jednego dolara. Ale przestrzeń nad herbatnikiem była podzielona na sektory, a napięcie w sektorach wzajemnie się redukowało. To znaczy sektor parzysty redukował nieparzysty i odwrotnie. Grapo musiał więc pracować tak, żeby trzymać ludzi w niepewności, bo w ten sposób strzały rozkładały się równomiernie. Kiedy bowiem widzowie odgadli, w jakim kierunku ruszy się swangowiec, natychmiast kierowali tam swoje uderzenia, naruszali równowagę pomiędzy sektorami, więc wtedy mogło się stać, że swangowiec dostawał bombę z paru milionów woltów i po prostu wyparowywał.

Zapomniałem jeszcze o muzyce. Swangowiec pracował zawsze z muzyką, bo inaczej ludzie by się nudzili. Oczywiście w ten sposób zwiększało się jeszcze ryzyko, bo rytm trochę określał ruchy. Grapo należał jednak do tych facetów, którym lepiej pracowało się przy muzyce, bo dawała mu inspirację.

Wokół muzyki była zresztą od początku przepychanka. Dawniej wybierał ją szef transmisji. Ale ludzie siedzący przy wideo zdobyli wkrótce diagramy ruchowe wszystkich hitów, jakie akurat leciały. Powstawały z tego karambole. Właśnie w ten sposób, używając kalkulatorów, widzowie spalili Briggsa w Carnegie Hall; Sparkers dostał trzydzieści milionów woltów i zmietli go na łopatkę; Spacoliniemu przyładowali niewiele mniej i było to rzeczywiście okropne: spaliła mu się dolna połowa ciała i kiedy sanitariusze go wynosili, to jeszcze żył. Krew leciała mu z gęby, a on płakał i krzyczał: – Wy kurwy! Wy kurwy zasrane!

Krótko mówiąc była kiepska sprawa. Swangowcy założyli potem związek zawodowy WARS, kupili prawników i stale byli w konflikcie ze wszystkimi: z organizatorami, Harperem, widzami i z towarzystwem od wideo; starali się doprowadzić do zakazu używania kalkulatorów, choć było to od początku nierealne. No, ale każdy występ zaczynał się od kłótni adwokatów z kierownikiem imprezy. Ludzie w domach przy wideo brali to już pod uwagę, więc jeśli swang miał się zacząć o dwudziestej zero, zero, szli jeszcze spokojnie do kibla, albo odsmażali kartofle, albo odstawiali jeszcze jeden numer w łóżku i tylko kątem oka obserwowali wideo. A tam stał szef transmisji, rozwścieczony, bo adwokat WARS-u wymachiwał mu jakimiś papierkami i krzyczał: – Mam tutaj dowody, że reżyser muzyczny jest w spisku z Mafią! – Za adwokatem stało dwóch misiów z pistoletami i wywalało gały. W tym momencie pojawiał się jeszcze spiker, któremu asystentka co chwila donosiła nowe wiadomości, a on z fantastyczną szybkością nawijał:

– Drodzy widzowie, w tej chwili za pośrednictwem satelitów komunikacyjnych łączą się z nami wideowidzowie z Afryki Południowej, Australii, Indonezji i Japonii, pozwólcie mi więc na razie podsumować przebieg przygotowań do dzisiejszego spotkania. Zanim jednak do tego przystąpię, chciałbym się posilić wspaniałym herbatnikiem HARPER i popić go herbatką MASCULINE FORCE!

Wielu swangowców twierdziło, że WARS jest do niczego, ale to nie była prawda. WARS w sumie zrobił dla nich sporo, zwłaszcza jeśli chodzi o muzykę. To Muzyczne Koło Szczęścia było faktycznie wielką zdobyczą.

To straszne, wy już nawet nie wiecie, co to było Muzyczne Koło Szczęścia?! Stało za herbatnikiem, pomiędzy krzesłami zespołu organizatorów, a kierowników transmisji. Przypominało tarczę stroboskopu, tylko bardziej skomplikowaną; na paskach biegnących od obwodu do środka były zarejestrowane hity. Szef puszczał koło w ruch i zależnie od tego, ilu ludzi akurat gapiło się na wideo oraz od wysokości stawek koło zmieniało prędkość, laserowy promień odczytywał zapis, a co najważniejsze – zmieniały się melodie, więc nikt już nie mógł używać diagramów ruchowych. Szkoda, że wprowadzili to dopiero wtedy, kiedy już paru facetów trafił szlag, a największa szkoda tego Spacoliniego, który był prawie tak samo świetny jak Grapo, choć był Włochem z pochodzenia.

Zacząłem więc jeździć z Grapo. Nie miałem wcale lekkiego życia. Po każdym występie wielbiciele przez dwa, trzy dni oblegali rezydencję Grapo i gdybyśmy chcieli wyjść, to nasi goryle musieliby nam chyba torować drogę za pomocą karabinów maszynowych. Grapo nawet zastanawiał się, czy nie kazać wykopać tunelu, żeby mógł wychodzić, kiedy ma ochotę, alę w końcu zrezygnował, bo prędzej czy później ktoś i tak puściłby o tym farbę i bylibyśmy w tej samej sytuacji, lżejsi jedynie o kupę szmalu. Nawet i w martwym sezonie, kiedy nie było występów, przed bramą codziennie czatowało kilkudziesięciu fanów.

Każda jazda wozem to było piekło. Ledwo ludzie spostrzegli naszego rollsa – z różową karoserią usianą srebrnymi gwiazdami – pchali się do nas, machali, rzucali kwiaty, ale też kamienie czy butelki. I zawsze znalazł się jakiś matoł, który rozbierał się do naga albo wyciągał spluwę i strzelał do nas. Słowo daję, nie mogę wykapować, po co to robił, bo zamachy już od dawna przestały ludzi interesować i wideo w ogóle ich nie dostrzegało. Czasem Grapo był nieźle wkurzony z tego powodu i skarżył się panu Langeyowi, naszemu managerowi. Mówił, że sprzeda rezydencję i kupi sobie apartament w hotelu Plaza i że będzie jeździł normalną gablotą.

– Nie możesz tego zrobić, Grapo – odpowiedział pan Langey.

– Ze swoim szmalem mogę robić wszystko, co mi się podoba! Mogę nawet wrzucić ten szmal do sracza!

– Zrób to, zrób – cieszył się Langey. – Ale najpierw uprzedź o tym pana Longa. – To był rzecznik prasowy Harpera. – Ludzie się cieszą, kiedy gwiazda robi różne dziwne rzeczy. Na przykład kiedy wrzuca forsę do kibla. To byłaby sensacja! Jeśli jednak przeniesiesz się do hotelu i sprzedasz różowego rolls royce'a, to każdy powie, że z tobą cienko i jesteś skończony.

– O, takiego – wykrzykiwał Grapo. – Jestem w lepszej formie niż kiedykolwiek przedtem i pan dobrze o tym wie!

– Wiem – uśmiechał się pan Langey. – Dlatego bądź grzeczny, zostaw swojego rolls royce'a i swoją rezydencję, trzystuletni ogród i sforę goryli. To należy do rytuału, chłopcze. Gwiazda pierwszej wielkości ma wobec społeczeństwa pewne zobowiązania.

Ale Grapo stale sprawiał panu Langeyowi kłopoty. Był naprawdę szajbusem i nikt nie wiedział, na co go jeszcze stać. Co do tego rollsa, to oczywiście pan Langey miał rację. Ludzie chcieli, żeby gwiazda jeździła w różowej karecie. Uwielbiali po prostu Grapo. Zresztą nie przypadkiem przy każdym jego występie typowania stały sto czterdzieści osiem do jednego i wystarczyło, aby widz w domu, przy wideo zupełnie przypadkiem pomacał Grapo ledwie trzystawoltowym ciosem, żeby już inkasował dobre sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów! Właśnie z powodu tak wysokich stawek oglądało wideo nieraz sto milionów grających widzów. Niegrających nie liczę, ale pan Harper i inni sponsorzy liczą, bo im chodziło o to, żeby te setki milionów żarły herbatniki Harpera i popijały je herbatą MASCULINE FORCE.

No, aż wreszcie przyszła ta nieszczęsna sobota, kiedy swangował świetny facet – Andy Nepeta. Był to potężny konkurent Grapo, który pewnego dnia mógł nawet zostać lepszy, ale Grapo i tak go lubił, bo był szajbusem i przyjaźń znaczyła dla niego więcej niż sława i szmal.

Nepeta był Indianinem, podobno Apaczem i mówiono o nim, że ma wielkie wyczucie rytmu. Jego manager odkrył go w Las Vegas, gdzie Andy wieczorami był tancerzem striptizowym, a w nocy robił za fagasa u tych trzydziestoletnich napalonych bab, których jest tam pełno. Andy na szczęście nie skończył jeszcze dwunastu lat, więc nie było za późno na piguły hormonalne. I po roku zrobił się z niego potężny byk, niemal taki, jak Grapo Wolinski. Ale jak do tej pory stawiano na niego najwyżej osiemdziesiąt siedem do jednego, podczas gdy Grapo, jak powiedziałem, sto czterdzieści osiem do jednego i nikt nie schodził nigdy poniżej stu dwudziestu.

Nepeta wskoczył na herbatnika, a komentator z podniecenia napił się herbaty MASCULINE FORCE i wykrzykiwał, że zakłady wzrosły na dziewięćdziesiąt trzy do jednego, że wysoko gra Hongkong i Japonia, że czekają jeszcze na Afrykę Północną, więc dziś wieczór, drodzy przyjaciele, Andy Nepeta mógłby pokonać zaczarowaną granicę stu do jednego i zaatakować w ten sposób niezachwianą pozycję Grapo Wolinskiego, który jednak też nie spoczął na laurach, lecz pilnie trenuje i posila się herbatnikami Harpera.

Na to wpadł adwokat WARS-u, że niby światła są za nisko i świecą Andy'emu w oczy – „mój klient walczy o życie, panowie" – więc poszedłem się odlać, a rozróba trwała dalej. Kierownik transmisji odgrażał się, że zerwie umowę i nie dopuści do emisji programu. Ciekawe, ilu ludzi poszło się w tym momencie odlać. Ostatecznie doszli jakoś do porozumienia, elektryk ujął trochę mocy, a adwokat wyjął z kieszeni luksometr i mierzył natężenie światła, żeby wszyscy widzieli, jaki jest cwaniak, co nie da się zbyć byle czym.

Tymczasem Nepeta stał pośrodku herbatnika. Przypominał kroplę wody na rozpalonej płycie żelaza. Przyjemnie było na niego popatrzeć: skóra lśniła mu od potu, miał na sobie tylko slipy, facet jak byk, na nogach tenisówki – on jeden swangował w butach, bo reszta pracowała na bosaka.

Szef transmisji rozkręcił Muzyczne Koło Szczęścia, podniósł rękę, a technik w tej malutkiej kabinie pod sufitem dotknął sensora wielkości tabletki aspiryny. No, i zaczęło się.

Bardzo dużo zależało od pierwszej sekundy, bo każdy chciał sprytnie wykorzystać moment spokoju, nim swangowiec po raz pierwszy się ruszy. Więc od razu ładowali, ile wlezie. Przypieprzyli w herbatnika osiemdziesiąt milionów woltów i gdyby Nepeta był początkujący, to od razu by wyparował. No, ale począt-

kujących nie wpuszczali na takiego herbatnika. Cierpienia nauki każdy mógł przeżywać co najwyżej w budach jarmarcznych, gdzie brali udział tylko płatni widzowie, więc taki swangowiec mógł dostać jedynie z pięćset woltów, a i to musiał być niezły patałach. Andy Nepeta nie był patałachem, więc te miliony woltów wzajemnie się zredukowały. Oczywiście poszły iskry i Andy'emu jeżyły się włosy, ale to było normalne; przy swangowaniu każdemu włosy stawały dęba jak druty, tylko Grapo stanowił wyjątek, bo miał włosy skręcone. W tej wstępnej palbie byli już pierwsi wygrani i w kąciku ekranu wyskakiwały cyfry i nazwiska - dziesięć tysięcy dolarów, piętnaście, pięć - w zależności od tego, ile kto postawił i jaki był szybki.

Tarcza Muzycznego Koła Szczęścia kręciła się tak szybko, jak do tej pory tylko w czasie występów Grapo. Szef transmisji był tym strasznie podekscytowany, biegał w kółko, pił stale herbatę MASCULINE FORCE i opychał się herbatnikami pokazując opakowania kamerze.

Leciała fantastyczna muzyka, ostatnie hity, na które nikt jeszcze nie miał diagramu ruchowego do kalkulatorów, więc nawet bez koła nic by się nie mogło stać. Andy Nepeta był rzeczywiście najlepszym tancerzem i każda baba, która zobaczyła go w tych slipach, musiała wariować. Nawet te sztuki, które mieliśmy w rezydencji ryczały i drapały się po pyskach, a jedna upadła na ziemię i waliła łbem o podłogę, więc musiałem jej dać kopa, bo zauważyłem, że zaczyna to wpieprzać Grapo. Andy był faktycznie w formie i wcale się nie dziwię, że zakłady przekroczyły sto do jednego. Wszyscy szaleliśmy, a Grapo zaczął nawet swangować na podłodze przed wideo i krzyczał:

- Puście mnie tam, już ja temu fiutowi przyłożę! Ale ładuje, kurde fiks! Ja go zabiję!

Pan Langey też przy tym był i marszczył brwi. On jeden nie dawał się wciągnąć i tylko tupał do rytmu nogami w biało-brązowych butach. No, ale on się nie liczył, bo to był stary wał, który zbliżał się już do trzydziestki. Zerknął w prawo i mrugnął do goryli, aby w razie czego uspokoili Grapo, bo to by był skandal, gdyby Grapo w amoku złamał na przykład jakiejś sztuce kręgosłup tylko dlatego, że podoba się jej swangowanie Andy'ego Nepety. Goryle nie byli zachwyceni, bo Grapo miał niesamowitą siłę, więc nie było łatwo go uspokoić, zwłaszcza że pan Langey zabronił chwytów, które mogłyby zranić Grapo, a inne na niego nie działały.

Centrum dołączyło widzów z Afryki Północnej i na tablicy pojawiły się fantastyczne liczby: sto czterdzieści do jednego. No żesz ty, to już niezły szmalec!

- Teraz już nie pójdzie w górę - powiedział pan Langey spokojnie. - Raczej zacznie spadać.

I rzeczywiście. Ledwo skończył, na tablicy wyskoczyło sto trzydzieści osiem, a po chwili sto trzydzieści sześć. Pewnie to szaleństwo już zmęczyło ludzi, albo przegrali za dużo forsy. A przecież to są miliony ludzi, bo wszystko, co dotyczy ekstraklasy swangu, liczy się w kręgu siedmiu cyfr.

Nagle Grapo ryknął, skoczył do wideo i zaczął walić w nie pięściami. Nie widzieliśmy, co się stało, bo Grapo zasłaniał nam obraz, ale w sąsiednim pomieszczeniu było drugie wideo. Kiedy podbiegliśmy do niego, zobaczyliśmy czarną dziurę pośrodku herbatnika. Spikerowi trząsł się głos, kiedy informował, że Andy Nepeta zachwiał się w czwartej minucie dwudziestej ósmej sekundzie i sześciu dziesiątych, wpadł na energetyczną ścianę o napięciu czterdziestu pięciu milionów woltów i wyparował. Szczęśliwym wygrywającym sumę ponad dziewięciu milionów dolarów jest panna Lilian Bettson z Denver.

Na wideo pokazywali w zwolnionym tempie replay ostatniego skoku Andy'ego. Był to bardzo trudny przewrót Rockymounta, obrót w wyskoku z odwrotnym do kierunku skoku wyrzuceniem ramion. Grapo ćwiczył ten przewrót przez kilka miesięcy nim go porządnie opanował, a ja dałem sobie spokój ze swangowaniem, kiedy stwierdziłem, że nigdy nie dam rady tego zrobić. Widzowie w hali mogli zobaczyć tylko, że Andy nagle zniknął, a zamiast niego na herbatniku pojawiła się dziura i smród, ale my na zwolnionym replayu widzieliśmy, jak postać Andy'ego otoczyła bladoniebieska aura; on jeszcze w ogóle niczego sobie nie uświadamiał - uśmiechał się i oczy miał pełne przewrotu Rockymounta.

Wierzcie mi, że ta figura daje popalić nawet takiemu macherowi, jak Grapo. Jest za to niemożliwa do wyliczenia i tylko wariat mógłby w tym momencie. Każdy przecież o tym wie, nawet ktoś, kto zna swang tylko ze słyszenia, że w czasie przewrotu Rockymounta swangowiec jest najbezpieczniejszy. Więc do cholery, jak to się mogło stać?

Na ekranie w prawym górnym rogu pojawił się kwadracik, który szybko rósł i wypełnił czwartą część powierzchni. Na pozostałej części ekranu leciał jeszcze replay, na którym wolno umierał Nepeta, a w kwadraciku uśmiechała się dziewczyna.

Więc to jest Lilian Bettson z Denver.

Dzisiaj już bym ją wziął, ale wtedy była za stara. Miała jakieś dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Śmiała się na cały głos, aż jej się trzęsły na głowie kędzierzawe włosy à la Grapo Woliński.

- Dziewięć milionów... dziewięć milionów... - szeptała i przymykała oczy w rozkoszy.

Patrzyliśmy wszyscy, jak ta piekielna energia pochłania Andy'ego Nepetę. Wydawało się, że ściska go jakaś przezroczysta prasa, ale nie było widać krwi. Andy czerniał i znikał, w herbatniku rosła dziura, a nad nią wisiał słup czarnego dymu. Replay był zwolniony, więc dym się nie ruszał i zachowywał kształt ciała swangowca wykonującego przewrót Rockymounta.

- Co pani zrobi z wygraną? - pytał reporter. Lilian roześmiała się.

- Ach, Boże... kupię sobie taaką ogromną górę herbatników, każę w niej wykuć jaskinię... wokoło będzie morze herbaty MASCULINE FORCE, a ja w tej jaskini...

Paplała dalej według scenariusza, który naprędce przygotował dla niej pan Longe - rzecznik prasowy Harpera. Chłopaki musieli się nieźle napocić, żeby na czas dostarczyć jej to do mieszkania.

Grapo podskoczył do mnie i złapał mnie za rękę. Pan Langey skakał wokół niego jak zając. Grapo był po prostu nieprzytomny i wszystkich obleciał strach.

- Chodź ze mną - krzyknął i zaciągnął mnie do sali treningowej, gdzie stał taki herbatnik, na jakim przed chwilą Lilian Bettson z Denver spaliła drugiego najlepszego swangowca świata.

Posadził mnie przy manipulatorze stawek, włączył muzykę i zaczął swangować. Nie szło mu najlepiej, ale machał do mnie i krzyczał:

- Marek, dawaj! I nie oszczędzaj mnie!

Nastawiłem napięcie na dwieście woltów i włączyłem program. Uderzenia waliły w herbatnik jak pioruny w lipcu, kiedy ludzie w ulewie uciekają z basenów i zapominają zabrać przenośne wideo, nauczycielki-dręczycielki, seksaczki i inny elektroniczny chłam, byle jak najszybciej schować się pod dach, gdzie sprzedają grog. Grapo oczywiście został na herbatniku; każdy swangowiec zostanie; jeszcze nigdy nie zdarzyło się, by ktoś stracił głowę i uciekł.

Ludzie, ja też byłem swangowcem, a jeśli nawet potem zrezygnowałem, to nie znaczy, że można mnie uważać za pętaka. Jeszcze i dziś potrafiłbym zapełnić jakąś Municipal Hall w Kaczych Dołach, bo przynajmniej z pięć tysięcy ludzi chciałoby na mnie popatrzeć, zwłaszcza, gdyby na plakacie było napisane, że zaczynałem z Grapo Wolinskim. Znam się więc na swangu i gdybym stawiał, mógłbym zgarnąć nielichy szmal. Dlaczego nigdy tego nie robiłem? Bo po pierwsze - było mi głupio, a po drugie - wiedziałem doskonale jak z człowiekiem zatańczy taka trzystuwoltowa bomba. Ale wtedy, gdy Grapo stał na treningowym herbatniku, rzeczywiście się przyłożyłem i poszedłem na całość. Gdybym złapał Grapo, przeciąłbym go na pół i możliwe, że w ciągu jednego dnia swang straciłby dwie największe gwiazdy: jedną w czasie występu, drugą na treningu.

Obsadziłem rogi i punkty węzłowe, a potem wściekle jeździłem drążkiem po całym polu. Wykorzystałem całe swoje doświadczenie i znajomość fizycznych praw swangu, bo przecież swangowiec to też materia, choć w kształcie człowieka, który potrafi się śmiać, wąchać kwiaty i płakać, kiedy pomyśli o matce, której nie widział od czasu, jak go zabrali do szkoły i której już dziś nie pamięta. Swangowiec waży tyle i tyle, a jak skoczy, mamy do czynienia z taką i taką bezwładnością. Krótko mówiąc znałem to wszystko, a kiedy dodać do tego moją intuicję czy przeczucia, to naprawdę Grapo miał ze mną ciężką przeprawę. Zresztą kilka razy mu przydymałem, bo widziałem, jak się wykręca. Gdybym siedział przy wideo i obstawiał, być może przez ten czas nazbierałbym z pół miliona i wieczorem mówiliby o mnie w wiadomościach sportowych, a jakiś matoł znów by powiedział, że swang powinien zostać zakazany ze względów humanitarnych.

Stale jednak nie była to taka bomba, jaką Lilian Bettson z Denver ustrzeliła Andy'ego.

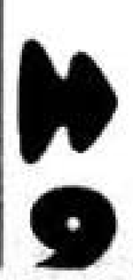
Na naszym stymulatorze też można było zrobić wielką bombę, a ja naprawdę robiłem, co mogłem, ale Grapo był świetny i zawsze uciekał, chociaż nie był w swojej skórze i formą znacznie ustępował temu, co przed chwilą pokazał Andy Nepeta.

Rozumiecie to?

Ja byłem zawodowcem i pomagała mi elektronika Texas Instruments, Grapo zaś swangował z wykorzystaniem trzydziestu procent swych możliwości, a i tak nie byłem w stanie mu dołożyć. A on przecież nawet nie zrobił przewrotu Rockymounta!

Dał znak, żebym przestał. Wyłączyłem stymulator, a on usiadł na herbatniku i ciężko dyszał.

- To niemożliwe - charczał - albo to był niesamowity przypadek, albo znów jest tu jakiś szwindel.



Jim Burns



– Co pan sugeruje, panie Wolinski?... – spytał pan Langey, który przyszedł do sali i patrzył, jak trenujemy.

– Że to jakaś śmierdząca sprawa – odpowiedział Grapo. – Jak wtedy, kiedy ludzie zaczęli kupować te programy do kalkulatorów i wyliczali diagramy ruchowe muzyki. No, wtedy, co przyładowali temu Włochowi, Spacoliniemu.

Pan Langey uważnie wysłuchał, a potem odezwał się cicho:

– Ale dziś mamy Muzyczne Koło Szczęścia. Nikt nie potrafi wcześniej odgadnąć podkładu muzycznego. Manipulacja jest wykluczona.

– No, to będzie jakiś inny szajs!

– Czy ma pan jakieś konkretne podejrzenia, panie Wolinski? Czy chce pan oskarżyć pannę Bettson?

Grapo o niczym takim nie myślał, ale kiedy pan Langey tak ładnie mu to podsunął zapalił się i rozgorączkowany chciał dzwonić do dyrektora FBI, do ministra sprawiedliwości i diabli wiedzą, do kogo jeszcze.

Ostatecznie pan Langey połączył się z agencją detektywistyczną Rowdera, żeby dyskretnie obwąchali sprawę Lilian Bettson i żeby zorientowali się, kto to jest, zanim Grapo zacznie rozrabiać po linii oficjalnej. W końcu ta panienka załapała teraz niezły szmal i może mieć najlepszych adwokatów. I to nawet za darmo, dla reklamy.

Było przecież dla nas jasne, że Lilian Bettson stanie się w tym tygodniu pupilką całego świata.

I rzeczywiście. Jeszcze tego samego wieczoru zobaczyliśmy ją znów na wideo. Przez dobre dwadzieścia minut nawijała o herbatnikach Harpera, a zważywszy na fakt, że kandydaci na urząd prezydenta dostają w przeddzień wyborów po piętnaście minut programu, była to niezwykła długość. Ale następnego dnia już tylko mignęła przez chwilę, a na trzeci dzień jakby się zupełnie zapadła pod ziemię.

Gapiliśmy się na wideo przez cały wieczór. Grapo mówi:

– Jeszcze mniej to rozumiem niż ten trik z przewrotem Rockymounta. Co robią reporterzy? Gdzie jest wywiad z jej matką? Dlaczego rozważny stary Bettson nie kiwa głową i nie rozpływa się nad herbatnikami Harpera, które stanowią podstawę pożywienia jego wspaniałej córeczki? Gdzie się podziały koleżanki ze szkoły? Dlaczego nie płaczą, że też my głupie krowy nie żarłyśmy więcej tych zasranych herbatników?

Wstał i walił pięściami w ekran.

– Gdzie wszyscy jesteście, sukinsyny?!

Tymczasem pan Langey już naciskał odpowiednie przyciski w telefonie. Kiedy odezwał się dyrektor towarzystwa CBS, oddał słuchawkę Grapo.

Nie dowiedzieliśmy się jednak niczego sensownego. Dyrektor CBS oświadczył:

– Nasi widzowie nie interesują się Lilian Bettson.

Dyrektor NBC i szefowie trzech innych towarzystw powiedzieli to samo.

– Nie interesują się? – sarkastycznie pytał Grapo. – Przecież ludzie w ogóle nie mówią o niczym innym.

– Ktoś po prostu nie chce, żeby społeczeństwo dowiedziało się prawdy – powiedziałem patrząc panu Langeyowi prosto w oczy. Nie odwrócił się, lecz spytał spokojnie:

– A sądzi pan, że kto to mógłby być, panie Foster?

– Któżby inny niż ten bydlak, rzecznik prasowy Longo!

– Radzę panu, aby rzecznika prasowego wyłączył pan ze swoich podejrzeń – wycedził pan Langey lodowato, ale szajbus Grapo już się tego uczepił i sięgnął po telefon. Pan Langey chciał mu przeszkodzić, ale taka trzydziestoletnia ruina nie może się równać ze świetnym swangowcem. Grapo zrobił tylko mały ruch ręką, a pan Langey już siedział w kącie, trzymał się za głowę i przebierał nóżkami w tych biało-brązowych butach.

Nie trwało długo i wściekły Grapo Wolinski przedarł się przez ochronne bariery sekretarek i sekretarzy i ściągnął pana Longo do telefonu. Rzecznik prasowy wysłuchał go cierpliwie, a potem powiedział:

– Nie jest pan takim troglodytą, za jakiego uważa pana tygodnik TIME. Ma pan rację. Towarzystwo Harper istotnie nie jest zainteresowane publicity panny Lilian Bettson.

– Ale do diabła, dlaczego?

– Obłok dymu ze spalonego faceta unoszący się nad napisem HARPER nie służy dobremu imieniu naszej firmy. Jeśli chodzi o samą pannę Bettson, to jeśli pan chce, może ją pan skarżyć. To pańskie prawo, Wolinski, a jeśli fakty potwierdzają pańskie podejrzenia, jest to wręcz obywatelski obowiązek!

Słyszałem go przez odsłuch i mróz biegał mi po krzyżu. To straszne, ile pewności siebie daje facetowi szmal. Ale prawdziwy szmal, a nie te zasrane kilka milionów, które my mieliśmy.

Grapo rzucił słuchawkę na widełki. Kręcił głową, jakby nie dowierzał własnym uszom. Potem powiedział:

– Niezły bydlak! Niby że obłok dymu miałby zaszkodzić dobremu imieniu firmy. To dlaczego Harper w ogóle finansuje swang? Dlaczego skaczemy na herbatniku jak idioci? Dlaczego miliony ludzi raz na trzy miesiące gapią się na transmisję swangu? Przecież tylko z powodu tego obłoku dymu, a nie z żadnej innej przyczyny! Każdy ma nadzieję, że właśnie dziś wieczór to się stanie i nic innego go nie interesuje! A kiedy się wreszcie doczekali, pan Harper nie jest zainteresowany publicity!

– Uważaj na język – ostrzegł go pan Langey. Już wstał, a wokół lewego oka zaczęła mu się zbierać piękna niebieska śliwa.

– Ty mnie też pocałuj w dupę! – odpowiedział Grapo. To był naprawdę szajbus. – Poczekam, co przyniesie Rowder, a potem tak narozrabiam, że się Harper zesra.

Pan Langey siedział jednak na tym samym worku pieniędzy, co pan Longo i takie słówka nie wyprowadzały go z równowagi, podczas kiedy Grapo Wolinski – jeśli chodzi o szmal i władzę – stał przed nim goły jak małpa.

Zauważyłem, że pan Langey jest prawdziwym elegantem, nawet ze śliwą pod okiem; mimo że dostał taką fangę, nie musiał wcale poprawiać sobie marynarki, ani podciągać spodni. Te szmaty po prostu na nim świetnie leżały. A w ostatnim czasie przekonałem się, że szmaty leżą dobrze tylko na autentycznie nadzianych facetach.

– Pan Harper płaci mi za to, żebym dbał o pańskie interesy, panie Wolinski. I to zarówno od strony treningowej, finansowej, jak i prawnej. Gdybym pana teraz nie ostrzegł, nie wywiązałbym się ze swoich obowiązków. A więc ostrzegam pana, panie Wolinski. Niech pan sobie da spokój z tą historią i zajmie się treningami. Za trzy miesiące ma pan występ w Filadelfii.

I jak myślicie, co mu ten szajbus Grapo powiedział?

– Spieprzaj, ty ciulu! – tak mu powiedział.

Nic więcej. Pan Langey nawet nie mrugnął okiem, włożył kilka papierków do swojej krokodylowej aktówki, wsiadł do Morgana i odjechał. Zostawił w rezydencji Grapo wszystkie swoje rzeczy osobiste, łącznie ze szczoteczką do zębów, nauczycielką-dręczycielką i luksusową seksaczką, całą ze skóry, mahoniu i chromowanej stali.

Co tu dużo gadać, detektyw Rowder też nas nie pocieszył. Lilian Bettson zniknęła. Rowder twierdził, że pewnie ta dziewczyna była tylko podstawioną figurą pod fałszywym nazwiskiem. W Denver mieszka w tej chwili pięćdziesiąt sześć Lilian Bettson, a tysiące innych w różnych miasteczkach Stanów. Ale to nie wszystko. Dziesiątki tysięcy dziewczyn zmieniło teraz nazwiska na Lilian Bettson i każda z nich opowiada, że to właśnie ona spaliła Nepetę.

– Tak to wygląda, Wolinski – skończył swój raport pan Rowder. Przyszedł osobiście do rezydencji i pozwolił sobie nawet zrobić zdjęcie. – W końcu znajdziemy tę dziewczynę, żywą czy martwą, niechby się nie wiem jak nazywała, ale będzie to kosztowało kupę forsy, czasu i pracy.

– Niech się pan do tego przyłoży, panie Rowder. Choćbym nawet miał stracić na to cały szmal. Andy Nepeta był moim kumplem i jeśli ktoś go zabił jakimś trikiem, to chciałbym się z nim porachować.

Rowder wyglądał na porządnego faceta. Był to już starszawy gość i miał co najmniej dwadzieścia, albo i dwadzieścia dwa lata. Zaczynał od zera, a teraz był szefem największej agencji detektywistycznej na całym Wschodnim Wybrzeżu, z całą armią około dziesięciu tysięcy detektywów. Fizycznie trzymał się doskonale. Najbardziej mi się podobało, że miał cerę tak delikatną jak skórka brzoskwini i prawie wcale nie rosły mu wąsy. Kiedy tylko facetowi zaczynają rosnąć wąsy i broda, jest już skończony.

WARS niestety wystąpił przeciw nam. Adwokat, który wtedy był przy transmisji, przysięgał przed komisją, że wszystko było w porządku i że Wolinski jest albo wariat, albo przekupiony. Grapo udzielił wprawdzie wielu wywiadów, ale interesowały się nim tylko takie gazety dla starszych pierdzieli, jak New York Times, Wall Street Journal, Time czy Newsweek, podczas kiedy wideo czy komiksowe plastigazety, które rzeczywiście mają jakiś wpływ na ludzi udawały, że w ogóle nic nie wiedzą o Grapo Wolinskim. Kręciliśmy się tak w kółko przez trzy miesiące, a potem w Houston wystąpił Ralph Bakshi, zupełnie nowa gwiazda swangu, który po śmierci Andy'ego szybko szedł do góry.

Gapiliśmy się na wideo i Grapo był strasznie poważny. Faktycznie bardzo się przez te trzy miesiące postarzał, chociaż nie przestał trenować.

– Uważaj, Marek! – powiedział. – Gdy tylko zakłady osiągną szczyt, Bakshi spali się jak zapałka.

Ten Bakshi nie był zły, poważnie nie był i już myślałem, że uda się mu cało zejść z herbatnika, kiedy nagle spiker oznajmił, że przyłączyli się widzowie ze Wschodniej Azji i stawki wzrosły do stu sześćdziesięciu pięciu do jednego, a po chwili pieprznęło i z

nowej gwiazdy swangu została tylko czarna dziura w herbatniku i słup dymu nad tą dziurą.

Grapo Wolinski nawet nie czekał na zwolniony replay tylko krzyknął: – Zobacz, kto teraz zgarnął szmal – i poleciał telefonować paru facetów: do Harpera, szefa WARS-u i do NBC i w kilka innych miejsc. Wierzcie mi, że przyjemnie się tego słuchało, bo tylu świetnych bluzgów nie słyszałem nigdy przedtem i już chyba nie usłyszę. Dziwne, że żaden z tych cwaniaków nie rzucił słuchawki, nawet Harper. Tymczasem na wideo pojawiła się zwyciężczyni: piękna, z czarnymi włosami, ale poza tym biała. Nazywała się Kelly Spiridi i opowiedziała, że za te dwanaście milionów kupi tatusiowi kurzą farmę, a sama dla siebie nie chce nic, tylko najwyżej spełni swoje dziecinne marzenie i kupi taką cybernetyczną lalkę, która chodzi na czworakach jak niemowlak, miele ozorem, a w nocy płacze.

Gapię się na nią i myślę, o kurka siwa, ja tę dziwę skądś muszę znać. Z całą pewnością gdzieś ją... Tylko gdzie?

Wreszcie przypomniałem sobie, że znam ją z budy i nawet parę razy ją miałem, chociaż tylko w grupie, tak jak to w budzie.

Sytuacja nabrała właściwego rozpędu.

Nie zdradziliśmy panu Rowderowi, że znam Kelly ze szkoły, tylko zacząłem poszukiwania na własną rękę. Śmierć Bakshiego wstrząsnęła też i WARS-em, więc zmienili front i udawali, że są po naszej stronie. Również wideo nabrało rozumu. NBC poświęciła cały program Grapo. Zainstalowaliśmy w studio naszego treningowego herbatnika z symulatorem i pokazaliśmy, jak Grapo przygotowuje się do występu w Filadelfii i jak ja w czasie treningu w niego ładuję. Był to świetny program, bo technicy na dodatek wymyślili coś takiego, że elektryczne ładunki można było widzieć, więc każdy mógł obserwować, jak ładunki strzelają z elektrody nad herbatnikiem, wzajemnie się redukują, jak łączą się w coraz silniejsze sznury, a w każdym jest dziesięć tysięcy woltów; tylko gdzieniegdzie został nad herbatnikiem cieniutki, pojedynczy sznureczek. Grapo czasem o któryś z nich się ocierał, a potem widzieliśmy, jak ładunek rozlewa mu się w ciele; reżyser puścił to jeszcze raz w zwolnionym tempie – malutkie pioruny pełzły po skórze jak węże, wgryzały się w nerwy i pory. Reżyser zrobił jeszcze zbliżenie i miliony widzów patrzyły, jak te węże żrą mięso Grapo. Ale on nie zwracał na to uwagi i tańczył dalej; węże łaziły mu po skórze, wwiercały się w mięśnie i w mózg, a on się stale śmiał, wywijał długimi nogami nad herbatnikiem, aż w końcu zrobił wspaniałego Rockymounta. Ja już wtedy ładowałem na pełnych obrotach, sznury świeciły jak śmierć, a Grapo tańczył wśród nich z uniesioną głową i błyszczącymi w uśmiechu zębami.

Nie wiem, jak to wyglądało w mieszkaniach na wideo, ale w studio wszyscy ryczeli z zachwytu, całowali się i ściskali, a każdy krzyczał, że to jest najfantastyczniejszy program w historii wideo.

Potem usadzili Grapo w fotelu, a pot lał się z niego strumieniami i skrapiał mu zarost na klacie. Pytania stawiał mu słynny reporter – A.A. Doctor Smithson, a Grapo uśmiechał się i radził widzom, jak mają stawiać, jakie ładunki, gdzie i w jakiej chwili i w ogóle jak zrobić, żeby przypieprzyć swangowcowi bombę pięćdziesięciu milionów woltów. Mówił cicho, spokojnie i przybluzgiwał tylko wtedy, kiedy to było konieczne.

– Dlaczego nam pan to wszystko opowiada, Grapo? – pytał A.A. Doctor Smithson. – Czy nie boi się pan, że widzowie wykorzystają to przeciw panu już w Filadelfii?

– Czy się boję? – Grapo śmiał się jak prawdziwy szajbus. – Jasne, że się boję, ale jestem najlepszym swangowcem i wyjdę cało z każdej bryndzy.

– Andy Nepeta też pewnie tak myślał – stwierdził A.A. Doctor Smithson – a Ralph Bakshi nigdy nie wszedłby na herbatnik, gdyby wiedział, co go tam czeka.

W tym momencie Grapo przestał się uśmiechać i twardo popatrzył w kamerę. Reżyser dał zbliżenie i ludzie mieli w domu żywego, plastycznego, lśniącego od potu Grapo.

– Oskarżam Lilian Bettson i Kelly Spiridi o współudział w świadomym i zaplanowanym wcześniej morderstwie. Oskarżam wszystkich tych, którzy są zamieszani w tę aferę o spisek na życie dwóch obywateli Stanów Zjednoczonych. Przysięgam, że do czasu filadelfijskiej transmisji wykryję ten spisek, oddam winnych w ręce wymiaru sprawiedliwości i bez obawy wystąpię przed widzami. Apeluję więc do was, żebyście mnie nie oszczędzali i wykorzystali wszystko, czego się dziś wieczorem nauczyliście.

To był naprawdę fantastyczny wieczór. W studio wszyscy się rozkręcili, a dymu z trawy było tyle, że zapociły się nawet kamery wideo. Przyszła też nas zobaczyć Paula, ta nowa piosenkarka. Niezła dupa, ale jak dla mnie trochę za młoda, bo miała dopiero niewiele ponad dziesięć lat. Słyszałem ją już kilka razy i nie wiem, co te szczeniaki w niej widzą. Dykcję ma straszną. Ten evergreen, który na pewno wszyscy znacie, no ten, co się zaczyna: „E, chono tu luke, pokażę ci sztuke", to ona śpiewa: „Echo tu ke, Poka tu ke". Sami przyznacie, że to bez sensu. No, ale prywatnie była całkiem w porządku, a wszyscy bili brawo, kiedy usiadła Grapo na kolanach i cieszyli się, że to majsterkowanie tak jej fajnie idzie. Potem przyszedł nawet sam dyrektor programu NBC, obiecywał, że nam pomoże i życzył, aby Grapo zrobił wreszcie porządek z tym świństwem.

– Dajimko pa w tyłek! – wykrzykiwała Paula i wszyscy wyli ze śmiechu.

Stary Harper oczywiście był wściekły, jasna sprawa.

Zakazał Grapo używania napisu HARPER na herbatniku i zagroził wszystkim towarzyszom wideo oraz czasopismom obraz zkowym, że jeśli nie wystąpią przeciwko Grapo, to zabierze im reklamę. Giełda się zatrzęsła, a Wall Street Journal opublikował artykuł o herbatnikowej wojnie. Ale tym razem trafiła kosa na kamień. Ledwie bowiem Harper odebrał komuś reklamę, natychmiast na tym miejscu pojawiła się nowa firma – Baja Bago, produkująca szrimpsy – taki rodzaj sucharków, które wszyscy zaczęli żreć, a Paula śpiewała już nowy hit: „Ale byciko nikbrykał, gdybyś Bajo Ba gołykał". Nie trwało długo i Harper był skończony. Inicjały BB pokrywały ściany domów, świeciły na niebie i błyskały na dnie morza, Grapo Wolinski trenował, a ja odnalazłem Kelly Spiridi.

A właściwie Kelly Spiridi znalazła mnie.

O trzeciej w nocy obudził mnie telefon.

– Cześć, Marek! Tu Kelly.

Nawet mi przez myśl nie przeszło, że to ta Kelly, której szukam. Przecież już tak długo zarzucałem sieci i rozrzucałem forsę, bez żadnych efektów. Ale co tam, odpowiadam jej:

– Cześć!

– Podobno szukasz mnie i Lilian Bettson?

– Aha – odpowiedziałem. Nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy.

– Lilian nie żyje, zabili ją. A ja też się boję, Marek!

– Skąd dzwonisz?

– Znasz Diamond Mansion?

– Miałem uczucie, jakbym stał na herbatniku i dostał właśnie taką samą bombę jak ta, która spaliła Andy'ego Nepetę. Diamond Mansion to jaskinia lwa – posiadłość pana Harpera.

– Co tam robisz?

– Zabawiam starego Harpera... Muszę już kończyć. Przyjedź zaraz, jak najszybciej!

Szybko odłożyła słuchawkę, może bojąc się, żeby jej ktoś nie przyłapał.

Obudziłem Grapo i naszych goryli, wciągnęliśmy szybko łachy na gołe ciała, goryle wzięli swoje gnaty i zapasowe magazynki i po chwili nasz rolls pruł już ulicami miasta, a srebrne gwiazdy świeciły odblaskiem neonów. Lokale były jeszcze otwarte i zewsząd dobiegał głos Pauli, jak śpiewa: „Ale byciko nikbrykał, gdybyś Bajo Ba gołykał". Ostro poszła w górę ta dziewczyna.

– Ta Paula już mnie wkurza – powiedziałem, żeby przerwać ciszę.

– Mnie tam bardziej wpieprza to mango jango – odparł jeden z goryli. – Te gnoje już to kupiły.

– Jakie gnoje?

– No ci, co słuchają hitów Pauli i żrą Baja Bago.

– E, tam – odezwał się drugi goryl – szkoda gadać. Przecież to jeszcze zasmarkane szczyle.

– Co to jest mango jango? – spytałem. Nie uwierzycie, ale ja naprawdę nie wiedziałam, co to jest.

– Zupełny szajs – stwierdził Grapo. – Wymyślili to w Nowym Orleanie. Podium, na nim las stalowych pali, ostrych jak brzytwa, a wszystkie w rotacji. Publiczność ma podobne pudełeczka

Ondřej NEFF

Urodził się 26 czerwca 1945 r. Jest synem znanego czeskiego pisarza historycznego Vladimira Neffa i absolwentem Wydziału Dziennikarstwa Uniwersytetu Karola w Pradze. Po studiach pracował przez kilka lat jako fotograf, czego efektem są książki: „Chłopaczyska i ojczyska" (1980) oraz „Tajna księga fotograficzna" (1981). Obecnie Neff jest redaktorem dziennika „Mladá fronta". Debiutował jednak wcześniej, jako krytyk literacki. W 1978 r. opublikował książkę „Przedziwny świat Juliusza Verne'a", a w 1981 r. najciekawszą chyba jak do tej pory pracę na temat historii i źródeł inspiracji czeskiej fantastyki (nie tylko naukowej) – „Coś jest inaczej". Beletrystyczny debiut Neffa przypada również na 1978 r. Wydał wtedy napisany do spółki z V.J. Kovářikiem „kryminał" dla dzieci – „Dziewczyny biją się inaczej". W ubiegłym roku wydawnictwo „Mladá fronta" opublikowało tom jego opowiadań SF powstałych w ciągu ostatnich sześciu lat – „Jajko na opak". Z tego właśnie tomu zaczerpnęliśmy drukowane tu opowiadanie.

(A.J.)

jak przy swangu i porusza dźwigniami, które wprawiają w rotację i przesuwają te pale. A między tym wszystkim lata facet na wrotkach i musi dotrzeć do takich świateł, które zapalają się na przemian, zależnie do życzenia publiczności. Żółte światło to mango, a czerwone - jango i od tego ta głupota ma nazwę. Paru gości już szlag trafił, bo pale poszatkowały ich na kawałki.

- O, żesz ty! - powiedziałem. - Jak ktoś może oglądać takie okropności?

- Podobno stoi za tym Bajo Bago - z dziwnym błyskiem w oku odparł Grapo. Jeden głupi goryl starał się być dowcipny:

- Powinieneś zacząć się uczyć jeździć na wrotkach, Grapo! Grapo zrobił się czerwony i kto wie, jak by to się skończyło, ale dojechaliśmy właśnie do Diamond Mansion. Dałem po hamulcach i mówię:

- Szanowni państwo, jesteśmy na miejscu. A co teraz?

- Dobre pytanko - Grapo na to. - Nie bardzo mi się to wszystko podoba. Czuję tu jakiś smród. Powiem wam, że miałem przeczucie, że za tymi morderstwami stoi pan Harper. Myślałem o tym od pierwszej chwili, a teraz jestem już zupełnie pewny.

- To wpadamy i dajemy mu taki wycisk, że zostaje z niego czterech małych do cyrku! - zaproponował ten kretyn goryl, który przed chwilą pieprzył o wrotkach i mango jango.

Diamond Mansion wyglądał na taki dom, z którego właśnie wszyscy wyszli, albo do którego jeszcze nie wrócili. Był ogromny jak na to, że się w nim nic nie działo i wystawał zza kamiennego ogrodzenia jak jakaś twierdza czy zamek.

- Wała - odezwał się Grapo po chwili zastanowienia. - Jeśli to jakiś szwindel, to wpadliśmy akurat w pułapkę, jaką zastawił na nas pan Harper.

- To co, mamy się stąd zwinąć tylko dlatego, że coś tu śmierdzi? Nie wiem jak dla ciebie, ale dla mnie od początku było jasne, że wycieczka do Diamond Mansion nie będzie spacerkiem po parku - krzyknąłem.

- Za dużo mielesz ozorem zamiast trochę pomyśleć - ofuknął mnie Grapo. Coś kombinował, ale nie miałem pojęcia co. Mówię to pod adresem różnych cwaniaczków, co to twierdzą, że swangowcy to głupole. Grapo był co prawda szajbus, ale miał łeb na karku - Marek, ta sztuka dzwoniła do ciebie, więc będzie normalne, jeśli ty do niej pójdziesz do Diamond Mansion.

- Sam? Czy ty przypadkiem nie ocipiałeś? Przecież w ten sposób Harper połknie mnie na kolację bez musztardy.

- To mu powiedz, że życzę mu smacznego - zaśmiał się Grapo.

Możecie mi wierzyć, że wcale nie miałem ochoty wyłazić z rollsa. W takiej limuzynie było bezpiecznie jak we własnej chałupie, lecz na zewnątrz wcale nie musiało się dobrze skończyć. Ale Grapo wbił sobie coś do łba i nic nie można było na to poradzić.

Brama była uchylona; starczyło popchnąć i rozwarła paszczę. Obejrzałem się. Rolls nadal stał, wspaniale różowy, gwiazdy na nim lśniły, a nocne niebo zaczęło go małpować i też wrzuciło na siebie różową marynarkę, zwłaszcza od wschodu, gdzie już zapewne windowało się w górę stare, spocone słońce. Wciągnąłem mocno powietrze. Z parku dolatywał zapach magnolii, a gdzieś z bliska tak mocna woń trawy, że aż mi się zakręciło w głowie. I rzeczywiście - zaraz za bramą była stróżówka, w której siedział zabzdregolony do nieprzytomności strażnik; gębę miał otwartą i chrapał tak głośno, że aż sam się budził, kręcił się na tyłku i mlaskał do siebie: „CCCT... TTT...", żeby był cicho i nie przeszkadzał.

Ruszyłem główną alejką i w tym momencie obudziły się ptaki, które zaczęły się drzeć jak opętane. Tak się przestraszyłem, że już chciałem dać nogę, ale pomyślałem, że one tak same z siebie, jak to mają w zwyczaju, bo nadeszła ich pora.

Powiem wam, że miałem niezłego pietra. Nigdzie ani żywej duszy, jeśli nie liczyć tych tysięcy wrzeszczących drozdów czy innych szczygłów, bo właściwie nie wiem, co to były za ptaki. Przy wejściu do domu, na schodach siedział goryl z automatem u boku, ale też tak nabuzowany, że nie wiedział na jakim jest świecie. Podobało mi się to mniej więcej tak, jak stryczek skazańcowi. Przecież pan Harper nie jest żadnym cymbałem, żeby pozwolił się pilnować kompletnie nagrzanym misiom. Jeżeli ktoś tu zaprawiał, to tylko dlatego, że pan Harper tego sobie życzył. Niezbyt mnie ta myśl ucieszyła. Znów przypomniałem sobie Grapo i doszedłem do wniosku, że mój wspaniały kumpel zrobił ze mnie kozła ofiarnego. Omal się nie poryczałem. Miałem sto pokus, żeby wracać, ale Grapo poszczułby mnie swoimi gorylami i miałbym u niego przerypane. Może więc jeśli pójdę dalej, będzie to przynajmniej jakaś szansa.

Droga była tak prosta, jak tylko można sobie wyobrazić. Niemal tak, jakby na ziemi narysowano strzałki z napisem „proszę tędy", jak gdzieś w hotelu droga do kibla. Szedłem korytarzem, a z lewej i prawej strony gapiły się na mnie wysokie białe drzwi, z mosiężnymi klamkami umieszczonymi na wysokości brody. Do dziś nie rozumiem, dlaczego w eleganckich domach montują teraz klamki albo bardzo wysoko, albo śmiesznie nisko, ale nigdy normalnie.

Jedne drzwi były uchylone, a za nimi znalazłem schody do piwnicy, oświetlone neonówkami. Pierwsza z nich śmierdziała, syczała i było jasne, że za chwilę diabli ją wezmą. Prócz napranych strażników stanowiło to kolejny dowód upadku potęgi Harpera. Trochę mnie to uspokoiło, bo prawie uwierzyłem, że ci dwaj goryle sami dali sobie w kanał, bez rozkazu Harpera.

Ledwo zszedłem na dół, stanąłem jak wryty. Rozpościerała się przede mną ogromna sala treningowa z żółtym herbatnikiem pośrodku i wielkim Muzycznym Kołem Szczęścia. Fantastyczna sala, wcale nie gorsza od tej w Filadelfii.

Kelly Spiridi leżała na herbatniku, czy mówiąc ściślej - na skraju herbatnika, a w jej piersi tkwił tak wielki nóż, że mógłby się nim golić słoń.

Coś we mnie stęknęło, jednak nie tak mocno, jak byście myśleli. Wierzcie mi, że oczekiwałem tego i byłbym bardziej zdziwiony, gdyby tam biedna Kelly nie leżała. Ale kiedy zacząłem się jej przyglądać, coś mi błysnęło w głowie.

Wiecie, ja w młodych latach nie byłem aniołem i widziałem niejednego trupa. Przyznam się wam nawet - czemu nie, i tak nikt mi tego nie udowodni - że osobiście parę razy wykonywałem taki trik, dzięki któremu żywe ciało zmienia się w martwe, więc nikt nie musi mnie w takich sprawach pouczać. Ale taki nieboszczyk, to szczególna rzecz. Po pierwsze, jest bardzo brzydki, a po drugie śmierdzi, bo jak zaczyna być cienko, to żywe ciało, które za chwilę ma się zmienić w martwe, z reguły narobi w pory. Jak chcecie, to spytajcie kogoś, kto się na tym zna, ale on wam pewnie i tak tego nie powie, bo o takich sprawach ludzie nie chcą opowiadać.

Tymczasem Kelly była ładnym trupem.

Jak malowana. Albo jak wycięta z obrazka.

Już chciałem do niej podejść, żeby popatrzeć z bliska jak to z nią jest, kiedy nagle rozhuczały się motory - jakby agregatory chłodnicze, czy coś takiego - Muzyczne Koło Szczęścia zaczęło się kręcić i pośrodku herbatnika pojawił się Grapo Wolinski.

Wyglądał tak mało żywy, jak Kelly Spiridi - martwa. No, bo to przecież była karykatura, kopia holograficzna, plastyczna wideokukła. Swangował jednak świetnie, im dalej, tym lepiej. Za mną rozbłysło rubinowe światełko i od razu zorientowałem się, że to wiązka laserowa. Dotknęła Muzycznego Koła Szczęścia, muzyka łomotała, wideo-Grapo swangował nie dostrzegając wideotrupa - no, po prostu cyrk nie z tej ziemi.

- Stop! Zatrzymać to! - krzyknął ktoś nagle i poznałem pana Langeya. - Wolinski nie przyszedł, przysłał tylko szofera.

Do sali wpadł pan Harper i klął tak, że gdybym był niewinną panienką, musiałbym się czerwienić i wycierać nos chusteczką.

- Co z nim zrobimy? - spytał pan Langey.

- Damy mu kopa i niech spieprza, to z nim zrobimy!

- Sądzę, panie Harper... - zaczął pan Langey ostrożnie, ale wtedy do Harpera przyplątała się świetna dziunia w szlafroczku i zaszczebiotała:

- Obiecywałeś sobie piękną zabawę, a tu taka nieładna niespodzianka, prawda, niedźwiadku?

Poznałem Lilian Bettson z Denver. Kelly nie mogła być daleko! Zresztą Lilian, kiedy dostrzegła rzekomego trupa, zaczęła się śmiać i powiedziała, że Kelly nie wytrzyma, jak to zobaczy.

W tym momencie wszystko było już dla mnie jasne. Powinienem był chyba trzymać język za zębami, ale coś się we mnie gotowało. Wreszcie wybuchnąłem:

- Najlepiej pan zrobi, jeśli mi pan skręci kark, panie Harper, bo nie jestem debilem i widzę, o co tu chodzi. Niech mnie diabli wezmą, jeśli to nie jest symulator nowej generacji, a ten zasrany laser odczytuje Muzyczne Koło Szczęścia tak jak ja potrafię przeczytać tabliczkę na wagonie metra. Dzięki tej maszynie załatwił pan Andy'ego Nepetę i Ralpha Bakshiego. A teraz pracuje pan nad programem do Filadelfii! Wszystko kapuję.

- Bardzo słusznie, młody człowieku - powiedział pan Harper chłodno.

- Gdyby to zobaczył Grapo, rozwaliłby wam cały ten interes i rozwaliłby pana na drobne kawałki!

- Niewątpliwie starałby się to uczynić - przytaknął pan Harper. Lilian przypełzła do niego kocim krokiem, aby było widać, że należy do niego i powiedziała pogardliwie:

- I właśnie o to chodzi, ty kretynku! O to chodzi, żeby twój Grapo ostro i po raz ostatni zaszalał.

- Zamknij się, ty głupia krowo! - warknął na nią pan Harper, a pan Langey westchnął tylko:

- Ach, panno Lilian, pani gadatliwość...

– Daj jej spokój, to mój pieseczek – mruknął niezadowolony Harper.

Ja w tej chwili byłem już czerwony z wściekłości. A więc to tak! Ta świnia Harper chciała sprowokować Grapo do jakiegoś skandalu czy nawet aktu przemocy. Ale Grapo miał łeb na karku; przeczuł to i dlatego posłał mnie. Nie dlatego, że sam miał pietra, jak sądziłem. Wiedziałem, że panu Harperowi zależy na mnie tyle, co na zeszłorocznym śniegu, więc w Diamond Mansion nie może mnie spotkać nic złego!

– Spadaj – mruknął znów pan Harper, tym razem w moim kierunku.

Zacisnąłem zęby, żeby mu czegoś nie wypalić, odwróciłem się na pięcie i ruszyłem z powrotem. Na schodach spotkałem Kelly Spiridi. Przeszła obok mnie patrząc na ścianę, jakbym był bałwanem przeznaczonym na eksport do Angoli.

Szybko pokonałem korytarze, a po alejkach już nawet biegłem. Przy stróżówce odwróciłem się jednak i krzyknąłem w stronę lśniącej w słońcu fasady:

– Zaraz Grapo dowie się o wszystkim i tak wam dołoży, że...

Cieszyłem się jak dzieciak i miałem ochotę wdrapać się na czubek któregoś z tych wiązów i zaśpiewać z wróblami czy innymi trznadlami. Musiałem się jednak spieszyć, żeby za świeżej pamięci opowiedzieć o wszystkim Grapo.

Wyskoczyłem przed bramę i stanąłem jak łyżka w talerzu tygodniowej owsianki: rolls zniknął, a wraz z nim również Grapo Wolinski.

No i zaczęło się...

Dwie godziny trwało nim dotarłem do naszej rezydencji, ale znalazłem tam zupełnie obcych ludzi, którzy wyrzucili mnie z oczywistością służącej wyrzucającej mola z futra. Podobno dom zmienił właściciela, tak powiedzieli. Na piechotę dotarłem więc do stacji benzynowej, skąd pozwolono mi zatelefonować. W agencji stwierdzili jednak tylko, że pan Wolinski zerwał umowę i występuje teraz na własną rękę. W telewizji nie chcieli mnie połączyć nawet z tragarzami, a ja oczywiście nie znałem kodów do grubych ryb, które mogły coś wiedzieć o Grapo. Nie znałem również numeru pana Rowdera. Właściwie już wtedy mogłem wykapować coś, co wykapowałem dopiero wieczorem, po całym dniu wściekłych, lecz bezskutecznych poszukiwań: że Grapo Wolinski zniknął, zaginął – wraz z różowym rollsem i wszystkimi gwiazdkami na jego masce.

Przepadł jak kamień w wodę, a ja musiałem go znaleźć, żeby mu powiedzieć, co szykuje na niego pan Harper i jaką to piękną maszynę zainstalował w piwnicy Diamond Mansion.

Sprzedałem wideozegarek, platynowy łańcuszek identyfikacyjny i seksaczke, więc miałem dosyć szmalu na dwa miesiące poszukiwań.

Spróbowałem najpierw z panem Rowderem, szefem tej agencji detektywistycznej, która dla Grapo szukała Lilian Bettson. Połowa moich rezerw finansowych poszła na to, żeby ściągnąć pana Rowdera do telefonu. Kiedy mi się to wreszcie udało, powiedziałem mu wszysko, co wiedziałem. I wiecie co pan Rowder na to?

– Moja agencja nie jest panem zainteresowana. – Tak mi powiedział i odłożył słuchawkę.

W jednej knajpie w mieście spotkałem przypadkiem dziennikarza, reportera. Znałem go jeszcze ze starych czasów. Do diabła, przecież te stare czasy, to zaledwie pięć dni temu! Postawił mi parę luf, a ja przez cały wieczór opowiedziałem mu swoją historię i niemal na kolanach błagałem go, żeby mi pomógł odnaleźć Grapo. Zgodził się i obiecał wpaść następnego dnia w to samo miejsce.

Przyszedł punktualnie, ale już z daleka widziałem po jego minie, że jest kiepsko.

– Przyszedłem tylko dlatego, że ci obiecałem, Marku. – Odezwał się. – Poza tym możesz mnie pocałować gdzieś.

– Ale to wszystko prawda, co mówiłem, panie Alex.

Zapomniałem powiedzieć, że on się nazywał Alex.

– Grapo Wolinski wystąpił w Filadelfii i wywiąże się z umowy – cedził słowa powoli i wyraźnie. – Nie zniknął z horyzontu. Usunął się tylko na jakiś czas, żeby mu ludzie nie zawracali głowy i ostro trenuje. Byłem nawet u Harpera. Zaprowadził mnie do piwnicy. Herbatnik tam rzeczywiście stoi, ale to nic dziwnego, skoro Harper jest sponsorem całego tego cyrku. Natomiast nie widziałem tam żadnej laserowej maszyny, a wierz mi, że dobrze się rozglądałem.

– Pewnie kazał ją przenieść gdzie indziej – krzyknąłem, aż zaczęli mi się przyglądać ludzie od sąsiednich stolików.

– Wie pan, ile Harper ma takich willi i rezydencji?!

– Jak na mój gust ta bajeczka jest za bardzo skomplikowana, Marku – powiedział pan Alex i popatrzył na mnie ze smutkiem. – Żal mi ciebie kolego, ale według tego, czego się dowiedziałem, straciłeś po prostu u Grapo kredyt. Trudno, musisz się z tym pogodzić, że masz u Grapo przerypane.

Postawił mi jeszcze dwie kolejki i poszedł sobie. Nawet się nie obejrzał od wyjścia. Nie miałem już wtedy prawie żadnej forsy. Te łapówy i telefony międzymiastowe, i różne inne historie kosztowały mnie majątek. Za ostatnie parę drobnych kazałem się zawieść do Diaimond Masion. Narozrabiałem tam przy bramie, dałem komuś po ryju i w rezultacie gliny wsadziły mnie do kicia za chuligaństwo i włóczęgostwo. Sędzia przyłożył mi pół roku, a ja ryczałem jak bóbr, kiedy słyszałem te straszliwe słowa.

W jaki sposób dotrzeć do Grapo Wolinskiego skoro sidzę w pierdlu?

Nie chodzi o mnie, bo za pół roku mnie wypuszczą, ale wtedy będzie już przeszło trzy miechy po śmierci Grapo. I nie zostanie z niego nawet proszek do urny. Ta maszyna Harpera działa rzeczywiście bezbłędnie, już dwa razy widzieliśmy ją w akcji.

Ludzie czego ja w tym kryminale nie wyprawiałem. Chłopaki byliby mnie za to zatłukli, ale wiedzieli o mnie, kim jestem, aż doniosło się do szefa mafii więziennej, który załatwił mi rozmowę z dyrektorem tego więzienia. Nie myślcie sobie, dobrych ludzi można wszędzie znaleść.

Wysłuchał uważnie wszystkiego, co mu powiedziałem, a potem pokiwał głową:

– No tak, do tej pory ma pan całkiem czyste konto – powiedział. – Chciałbym panu pomóc. Wyślę pana do Filadelfii na ten występ, oczywiście z kuratorem. W końcu nie naruszam w ten sposób prawa – dodał już raczej do siebie, żeby uciszyć wyrzuty sumienia. Nie wiem, gdzie się rodzą dyrektorzy więzień, ale sumienie musi ich uciskać jak pompa parowa. Czasami.

Na miesiąc przed transmisją Grapo pojawił się na wideo. Mało się nie wściekłem, kiedy zobaczyłem go w mojej celi – prawie jak żywego, niemal dałoby się go dotknąć ręką.

– Swang nie umarł – powiedział reporterowi. – Mango jango nie utrzyma się zbyt długo. To brutalna zabawa, która działa na najniższe instynkty młodzieżowej widowni. Ale jestem przekonany, że gdy tylko młodzi ludzie trochę zmądrzeją, znudzą się im te jatki i chętnie powrócą do starego, dobrego swangu. Wiedzcie, że swang to sztuka, która potrzebuje inspiracji! Potrzebuje jej swangowiec na herbatniku, jak i widz w fotelu w domu, kiedy zaczyna grać!

Zupełnie mnie zamurowała ta przemowa.

Od tego czasu Grapo często pojawiał się na ekranie wideo. Reporterzy donosili, że trenuje w tajnym miejscu i że jest w życiowej formie. W czasie transmisji czeka widzów niespodzianka, a ponadto zobaczą taki swang, jakiego jeszcze nigdy nie widzieli.

Słuchałem tej gadaniny myśląc jednocześnie o strasznym promieniu ślizgającym się po Muzycznym Kole Szczęścia i o tej maszynie, która stworzyła sobie własnego Grapo Wolinskiego i z uporem elektronicznego urządzenia ćwiczyła, aby w odpowiedniej chwili spalić prawdziwego Grapo, rozprószyć atomy jego ciała po całym herbatniku.

Na dzień przed transmisją wyfasowałem cywilne łachy i z kuratorem – był to Murzyn, Riff Moore, kawał bęcwała – pojechaliśmy ekspresem do Filadelfii.

Mieliśmy dobre bilety do hali, gdzieś pośrodku przedniej trybuny. Uprosiłem kuratora, żeby poszedł ze mną od tyłu do szatni. Kręcił głową, ale poszedł. Jednak szatni pilnowali zupełnie obcy goryle, z których nie znałem ani jednego. Może nawet udałoby się przekonać któregoś z nich, jednak Riff mnie odciągnął i zagroził, że znów wrócę do pierdla, jeśli się nie uspokoję. Zrozumiałem, że będę miał z nim trudną przeprawę.

Kiedy wracaliśmy do hali, miałem nogi jak z ołowiu. Usiadłem na swym miejscu i wbiłem wzrok w herbatnik. Marzyłem o tym, żeby jakoś zakłócić połączenie między Filadelfią a piwnicą, w której siedzi teraz pan Harper ze swoją maszynką i widzi jednego herbatnika przed sobą, a drugiego na wideo. Wiedziałem, że gdzieś pod ręką ma sensor, nie większy od tabletki aspiryny i kiedy tylko go dotknie, Grapo Wolinski umrze.

A Grapo wszedł.

Kroczył przez salę i ryk był tak silny, że można go było kroić nożem. Kiedy jednak Grapo szedł, ludzie cichli i w niemym podziwie obserwowali tę fantastyczną grę mięśni i członków. Rzeczywiście, gdyby sunął po łodzie, który by się pod nim załamał, to Grapo chyba uniósłby się w powietrze. Był w świetnej formie. Uśmiechał się i patrzył na ludzi. Może i mnie dostrzegł, ale nie zareagował. Wyglądał naprawdę świetnie. Gdybym był babą... Ale co tu wam będę gadał. Musielibyście go po prostu zobaczyć. Jasnobłękitne oczy świeciły mu pod tym balkonem brwi, który miał tam, gdzie inni ludzie noszą czoło. Niżej nos, szeroki u nasady i śmiesznie wygięty. Jeszcze szczęście, że miał

ten balkon zamiast czoła, bo przy mocniejszym wietrze deszcz padałby mu do nosa.

Adwokat WARS-u o coś tam się znów handryczył, a wszędzie wokół słychać było chrzest i chrupanie, bo każdy obżerał się tym nowym świństwem, o którym śpiewa Paula. Poza tym nigdzie nie widziałem ani jednego napisu MASCULINE FORCE czy HERBATNIKI HARPERA i dosyć mnie to niepokoiło.

Zaczęła się transmisja.

Grapo tanecznym krokiem wybiegł na herbatnik i machał do widzów i do techników w szklanej dziupli na górze.

Wszyscy gapili się na Grapo, kurator Riff Moore też nie odrywał od niego wzroku. I właśnie w tym momencie przypieprzyłem mu w łeb.

Musiałem. Ten kretyn nie puściłby mnie do Grapo. Słyszałem jak chrupnęły mu kręgi szyjne, ale wszyscy chrupali Bajo Bago, więc w tym ogólnym chrupaniu utonęło to jedno ciche.

Zacząłem się natychmiast pchać do przodu.

Ludzie chcieli mnie zjeść jak Bajo Bago, ale nie zapominajcie, że ja też kiedyś swangowałem i potrafię się przecisnąć pomiędzy bandą amatorów jak wiatr między kratami. Niestety, nie szło to zbyt szybko, a transmisja już trwała.

Grapo był genialny, najlepszy i nigdy już nie zobaczę niczego wspanialszego od jego swangowania tam, w Filadelfii. Jeden strzał tylko za dolara, ale na herbatnik sypały się miliony. Spiker oznajmił publiczności przez megafony, że za zgodą Grapo Wolinskiego operator wykorzysta chromo-wyładowania, że są to kolorowe pioruny widoczne dla wszystkich tutaj w sali i przy ekranach wideo, ale niewidzialne dla swangowca.

I zaczęło się.

Było tak, jak wtedy w studio. Grapo znalazł się w lesie, a każde drzewo oznaczało śmierć. Każde drzewo żyło, miotało się i przeskakiwało z miejsca na miejsce, falowało, znikało i znów się pojawiało z szybkością, z jaką potrafi poruszać się tylko światło i elektryczność. Na tablicy świetlnej pojawiały się stawki. Spiker oznajmił, że przyłączyła się Japonia i Ameryka Południowa, że nie oczekuje się już większej liczby widzów, a stawki przekroczyły bajkową granicę dwustu do jednego. Widziałem, że Grapo się koncentruje. Wreszcie skoczył, a ja ryknąłem, bo wcześniej od innych widzów zorientowałem się, że to nie jest przewrót Rockymounta, że to wynalazek Grapo, zupełnie nowa figura - skok Wolinskiego!

Cała sala zaświeciła krwawym światłem, a z sufitu spłynął gruby piorun wielkości odwróconej cysterny. Ale Grapo nie było w tym miejscu, w którym znalazłby się po skoku Rockymounta! Błyskał w uśmiechu zębami po drugiej stronie herbatnika, a potem zrobił rzecz, na jaką nie odważył się dotąd żaden swangowiec: zeskoczył z herbatnika na ziemię!!!

Cała sala natychmiast ryknęła!

Naruszył w ten sposób umowę, więc już za chwilę dziesiątki adwokatów wyciągną pióra, aby spisywać skargi, a towarzystwa NBC, CBS i wszystkie inne trzasną w szwach z wściekłości. Już za kilka dni Grapo Wolinski będzie żebrakiem, bo sądy oskubią go za to z ostatniego centa, a i tak pewnie jeszcze zamkną go do pudła!

Wykorzystałem moment, żeby się do niego docisnąć.

Zauważył mnie i nie przestał się uśmiechać.

Pochylił się do mojego ucha, bo inaczej nie słyszałem, co mówił i krzyknął:

– Marek, dymaj stąd! Tu nie ma już nic dla ciebie!

W tej chwili rzuciło się pięciu byków z obstawy. Wykręcili mi ręce i odciągnęli mnie w tył, do pierwszych ławek.

Grapo machał rękami, a spiker też mu pomagał uciszyć widownię. Ale oto już do Grapo zbliżył się elegancki facet - jeden z asystentów pana Rowdera i podał mu jakieś papiery. Wszyscy wiedzieli, że Grapo właściwie nie umie czytać, więc byli ciekawi, co z tym zrobi i dlatego stopniowo cichli. Wreszcie zapanował całkowity spokój.

Grapo z powagą otworzył teczkę z papierami i spojrzał na jakieś dokumenty. Czyżby przez ten czas nauczył się czytać?

– Ludzie! – zawołał, a czułe mikrofony wychwyciły i przesłały do ogromnych kolumn głośnikowych, z których dudnił pod stropem, jak trąby na Sąd Ostateczny.

– Ludzie! Widzieliście bombę, która miała mnie rozgnieść jak pluskwę. Nie była to jednak zwyczajna bomba. Nie przyłożył mi jej żaden z was, ani żaden z wideowidzów!

Uniósł papiery nad głową i ciągnął dalej:

– Tutaj są materiały dowodowe, które uzna każdy sąd. Miałem paść ofiarą zbrodniczego spisku, jak wcześniej Nepeta i Bakshi. Gdybym się nie przygotował, zobaczylibyście tylko dziurę w herbatniku i słup dymu. Ale ja byłem przygotowany!

Mówił jak z książki. Na pewno długo ćwiczył przed tym występem; tak długo i pilnie jak trenował nowy skok.

– Zdradzę wam jeszcze, że miało to być ostatnie spotkanie swangowe. Miejsce swangu miało zająć mango jango. Ten, kto to wszystko wymyślił machnął ręką na swang, herbatniki i herbatę MASCULINE FORCE, bo wszystko to przestało mu się opłacać i wymyślił mango jango, te idiotyczne Bajo Bago i...

Wśród publiczności zaczynał się szum. Początkowo cichy, ale z każdą chwilą narastał i wtedy wreszcie uświadomiłem sobie, co mi tu od początku nie pasowało. Rozejrzałem się wokół na tyle, na ile pozwolili mi goryle. Tak, to nie byli swangowi widzowie! Byli młodsi i mieli inne twarze. Nie potrafiłem w nich czytać, ale jedno zrozumiałem – że są pełne nienawiści.

Huk w tym momecie potrafiłby już zagłuszyć wodospad Niagara. Był to jednak dopiero początek.

Nie wiem, kto zaczął. Może to był przypadek; ot po prostu komuś wpadło coś do głowy, a reszta ochoczo podchwyciła. Faktem jest, że już po chwili cała sala ryczała:

– Chcemy mango jango! Chcemy mango jango! Chcemy mango jango!

Grapo Wolinski przestał się uśmiechać i przycisnął papiery do zroszonej potem piersi. Widziałem, jak włosy na jego klacie ocierały się o brzegi teczki.

Wtem rozległo się:

– Grapo na rentę! Grapo na rentę!

To już nie mógł być przypadek. Ten slogan ktoś musiał wymyśleć i wynająć bandę krzykaczy, którzy wciągnęli pozostałych.

Grapo obejrzał się w stronę herbatnika. W jego głębokich oczodołach coś błyszczało. Nie wiedziałem co, ale był to inny blask, niż jego uśmiechniętych oczu.

Herbatnik lśnił tysiącami ładunków elektrycznych. Waliły w żółty kwadrat w tym samym rytmie, co skandująca sala. One też krzyczały: „Grapo na rentę!" Jeden strzał za dolara. Cały świat naparzał w herbatnik żeby wyśmiać Grapo Wolinskiego.

Wtedy Grapo uśmiechnął się po raz ostatni, znów tak pięknie, jak potrafił. Właśnie za ten uśmiech uwielbiały go setki miliony kibiców. Popatrzył na nas, może nawet na mnie i nie zauważył, że do sali wjeżdża banda gnojów na wrotkach, a faceci w niebieskich drelichach wciągają ostre, stalowe słupy mango jango. Grapo pomachał nam jeszcze, a potem odwrócił się i wolno, niemal tanecznym krokiem, wszedł w elektryczny las śmierci. Razem ze swoimi papierami.

– Niespodzianka wieczoru! – ryczał spiker. – Jeszcze dziś wieczorem zobaczymy najznakomitsze gwiazdy mango jango! Ale zanim wszystko będzie gotowe, Paula zaśpiewa nam swój ostatni, wspaniały przebój!

Paula, ukryta gdzieś na taśmie magnetofonowej, wrzasnęła:

„Ale byciko nikbrykał, gdybyś Bajo Ba gołykał".

Grapo Wolinski zniknął, a w miejscu, w którym widziałem go po raz ostatni, zionęła w herbatniku okrągła dziura, nad którą wznosił się słup dymu jak granitowy pomnik.

Był to jednak szajbus, ten Grapo Wolinski.

Co się stało potem, kiedy odnaleziono ciało mojego kuratora, tego chyba nie muszę opowiadać. Siedzę teraz w celi śmierci i spisuję te notatki, żebyście wiedzieli, co to był swang i żebyście byli przygotowani, gdy kiedyś znów powróci. Siedzę i zastanawiam się, co też tkwiło w głowie Grapo, kiedy posłał mnie do diabła. Czego chciał? Czy rzeczywiście miał mnie dosyć, czy też nie chciał mnie tylko wplątywać w całą aferę?

Bo u niego wszystko było możliwe.

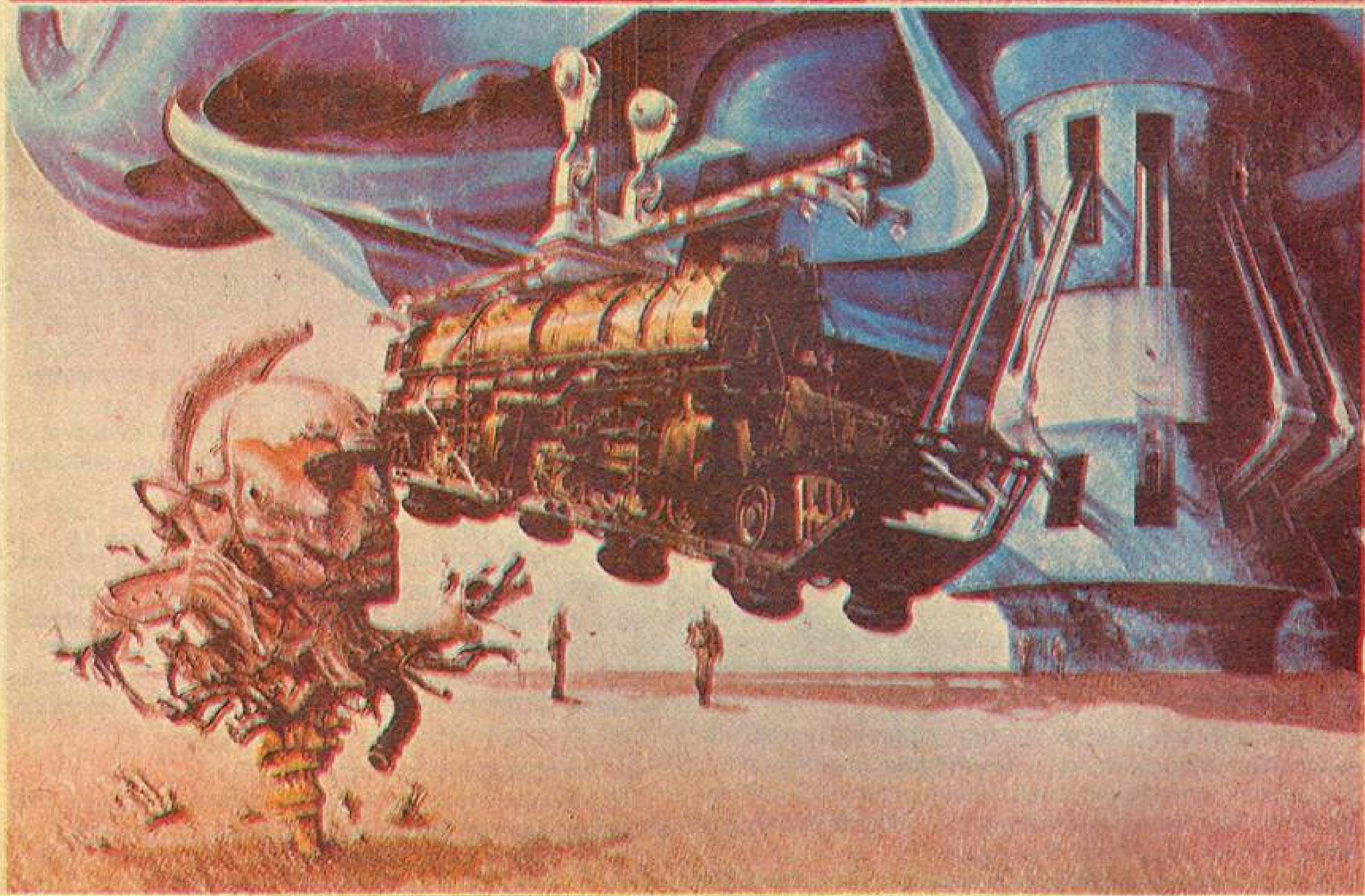
No, powiedzcie sami, czy w całych dziejach swangu był jakiś większy szajbus niż on?

Przełożył Andrzej Sławomir Jagodziński

Jim Burns







marionetki

Gene Wolfe

(The Toy Theater)

Na osiem godzin przed planowanym lądowaniem na planecie Sarg do plastykowej klitki o wymiarach dwa na cztery, odgrywającej w czasie mej podróży rolę luksusowego apartamentu, podrzucono ulotkę. Głosiła ona, że lądowanie na Sarg równa się znalezieniu w zupełnie nowym świecie. Wyrzuciłem ją do śmieci.

Lądowanie na Sarg rzeczywiście oznaczało wkroczenie do zupełnie nowego świata. Zwykle w takich sytuacjach spodziewamy się jakichś niezwykłych efektów świetlnych i świeżych, nieznanych zapachów i najczęściej spotyka nas zawód. Na Sarg przedstawiało się to inaczej. Światło było przesunięte w widmie w stronę sjeny, umbry i ochry, toteż wszystko sprawiało wrażenie starszego, niż było w istocie i wyglądało na wykonane z polerowanego dębu lub matowego złota. Powietrze było przejrzyste i czyste. Nie rozwijał się tu żaden przemysł, a że szczęśliwym trafem nie znaleziono tu żadnych miejscowych form życia, które trzeba by było otaczać specjalną troską, zwożono masowo rośliny z Ziemi. Zauważyłem świerk kalifornijski i całe mnóstwo róż, wśród których byłem w stanie rozpoznać na pół zdziczałe egzemplarze Sarah Van Fleet i Amelie Gravereaux.

Stromboli – człowiek, na spotkanie z którym tutaj przyleciałem – przysłał po mnie lekki powóz z woźnicą (jak się nie chce mieć przemysłu, to trzeba się pogodzić z niedostępnością pewnych rzeczy, całej ich masy, powiedziałbym nawet), toteż mogłem przyjrzeć się do woli porastającym górskie zbocza jodłom i zwieszającym się ze skał różom. Zdaje się, że musiałem zrobić jakąś uwagę na temat kolorów, bowiem woźnica zapytał:

– Pan zajmuje się sztuką?

– Och nie. Jestem marionetkarzem. Ale sam rzeźbię i maluję moje lalki – więc może jednak można nazwać to sztuką, w każdym razie staram się, żeby tak było.

– Właśnie o to mi chodziło. Prawie wszyscy, którzy do niego przyjeżdżają, zajmują się marionetkami. Ten pakunek, który pan ze sobą przywiózł... To pulpit kontrolny, prawda?

– Zgadza się.

Wyjąłem go ze skórzanej walizki, by mu go pokazać. Spojrzał na małe dźwigienki oraz na wskaźniki i powiedział:

– Nasz signor też ma taki. Nie taki sam, znaczy się, ale podobny. Czy mógłby pan... – zerknął na pudło, w którym odpoczywała Charity. – Szybciej by nam minął czas.

Na moje polecenia otworzyła wieko, usiadła przy nas i zaśpiewała swym czystym głosem. Charity jest o głowę wyższa ode mnie, ma blond włosy, długie nogi i szczupłą talię – dzięki temu była, jak lubię czasem myśleć, nieco przerysowaną repliką rzeczywiście ślicznej dziewczyny. Kazałem jej pocałować woźnicę, zatańczyć na drodze przed wozem, a potem wspiąć się z powrotem do swego domu i zatrzasnąć wieko.

– To było dobre – powiedział woźnica. – Jest pan prawdziwym artystą.

– Zapomniałem dodać, że nazwałem ją Charity*, ponieważ tego właśnie oczekuję od mojej publiczności.

– Och, nie. Pan to naprawdę potrafi. Te podskoki na drodze... Każdy umie podskoczyć nimi raz czy dwa, ale nie tak długo i ,eszcze w dodatku na nierównym gruncie, i tak szybko... Wiem, jak to trudno. Trzeba to docenić.

Chciałem sprawdzić, jak daleko może się posunąć, toteż zapytałem:

– Czy robię to tak dobrze, jak signor?

– Nie – potrząsnął głową. – Nie tak dobrze jak signor Stromboli. Ale ja widziałem już wielu. Dużo ich tutaj przyjeżdża, ale pan jest z nich najlepszy. Signor Stromboli będzie zadowolony, mogąc pana poznać.

Dom zbudowany we włoskim, górskim stylu okazał się mniejszy, niż się tego spodziewałem. Otoczony był jednak dużym, swobodnie rosnącym ogrodem, zaś z tyłu dostrzegłem powozownię. Woźnica zapewnił mnie, że zajmie się moim bagażem, mną zaś zaopiekowała się Madame Stromboli, która, jak przypuszczam, musiała obserwować nas z okna, kiedy jeszcze znajdowaliśmy się na drodze. Włosy miała już zupełnie siwe, ale oliwkowa cera jej twarzy i piękne czarne oczy wciąż przypominały o jej dawnej urodzie.

– Witamy – powiedziała. Cieszymy się bardzo, że mógł pan do nas przyjechać.

Odparłem, że to dla mnie wielki zaszczyt.

– To także wielki wydatek, podróżować między słońcami, wiemy o tym. Kiedyś, gdy byliśmy młodzi, mój mąż wyruszył w podróż, by zarobić dla nas trochę pieniędzy. Ja zostałam w domu, bo zbyt wiele to kosztowało. Poleciał sam, ze swymi lalkami. Czekałam długie lata, ale w końcu wrócił.

– Musiała się pani czuć bardzo samotna – zauważyłem.

– Owszem. Teraz, kiedy tu mieszkamy, bardzo niewielu ludzi może sobie pozwolić na to, żeby nas odwiedzić. Pięknie tutaj, prawda? Ale pusto. Mój mąż i ja jesteśmy tutaj zupełnie sami. Ale to lepiej. Teraz pewnie chciałby pan się umyć i przebrać. Potem zaprowadzę pana do niego.

Podziękowałem jej.

– Będzie dla pana miły. Lubi młodych, którzy uczą się dawnej sztuki. Ale proszę poprzestać na tym, co panu pokaże. Nie radzę pytać „Jak pan to robi?" albo prosić, żeby coś zademonstrował. Niech mu pan pozwoli pokazać to, co chce a z pewnością pokaże panu bardzo wiele.

Rzeczywiście tak było. Nie będę nawet próbował przedstawić w jakiejś jednej, podsumowującej scenie tych wszystkich godzin, które wspólnie spędziliśmy. Był bardzo wielkoduszny, jeżeli chodzi o poświęcony mi czas, chociaż przedpołudnia – wszystkie przedpołudnia – przeznaczał na swoje własne ćwiczenia, które odbywał w samotności, w pokoju o ścianach wyłożonych lustrami. Po pewnym czasie widziałem już wszystko to, o czym kiedykolwiek słyszałem, z wyjątkiem słynnego zabawnego lokaja Zanniego. Stromboli pokazał mi, jak utrzymywać w ruchu pięć lalek naraz, tak sprytnie różnicując ich poruszenia, że patrząc na tańczące, pokrzykujące postaci można było ulec złudzeniu, że mają one pięciu niezależnych operatorów. O ile udało się nie zapomnieć, rzecz jasna, że w ogóle mają jakiegoś operatora..

– Kiedyś to były małe figurki – powiedział Stromboli. – Czytał pan coś na ten temat? Największe sięgały do ramienia i były poruszane sznurkami. W tamtych czasach nikt nie potrafił poruszać naraz więcej niż czterema, wyobraża pan sobie? Teraz są tak duże jak pan czy ja, nie są na uwięzi i daję sobie radę z pięcioma. Panu, być może, uda się dojść do sześciu. To całkiem możliwe. Sypiąc kwiaty na pańską trumnę będą powtarzać: „Potrafił prowadzić sześć naraz".

Odparłem, że byłbym szczęśliwy, mogąc sobie poradzić z trzema.

– Nauczy się pan. Już teraz potrafi pan znacznie trudniejsze rzeczy. Ale nie osiągnie pan tego podróżując tylko z jedną lalką. Jeśli chce pan opanować sterowanie trzema naraz, to musi mieć pan zawsze przy sobie właśnie trzy, żeby móc trenować. Nauczył się pan już naśladować głos kobiety – i to zarówno mówiącej, jak i śpiewającej. Z tym właśnie miałem najwięcej kłopotów. – Teraz jestem już stary i mój głos nie jest tak głęboki, jak kiedyś, ale kiedy byłem w pańskim wieku mówiłem prawdziwym basem i nie dawałem sobie rady z kobiecymi głosami, nawet za pomocą specjalnej aparatury. Ale teraz... Proszę posłuchać.

Trzy z jego dziewcząt – Julia, Lucinda i Colubina – wystąpiły naprzód. Przez chwilę po prostu chichotały między sobą. Potem, po odbytej szeptem, ale mimo to doskonale słyszalnej naradzie, zaśpiewały arię Rosiny z „Cyrulika Sewilskiego" – Julia sopranem koloraturowym, Columbina mezzosopranem, a Lucinda kontraltem.

– Niech pan nie używa nagrań – przestrzegł mnie Stromboli. – To bardzo proste, nagrać coś i potem oszukiwać, ale dobra publiczność zawsze się na tym pozna, będą prosili, żeby pan coś jeszcze zademonstrował, i co wtedy? Jeden głos wychodzi już panu bardzo dobrze. Nie radzę nagrywać. Czy wie pan, jak ja się tego wreszcie nauczyłem?

Wyraziłem moje zainteresowanie.

– Na samym początku, kiedy jeszcze nie byłem żonaty, imito-

wałem wyłącznie męskie głosy oraz falset, będący z założenia fałszywą imitacją kobiecego. Potem ożeniłem się i mała Maria, to znaczy, Signora Stromboli, zaczęła mi pomagać. Nie zawsze pracowałem wtedy sam – moja żona często sterowała prostszymi ruchami i zajmowała się głosem kobiecych postaci.

Pokiwałem ze zrozumieniem głową.

– Jak więc mogłem się nauczyć? Kiedy mówiłem „Mario, dzisiaj będziesz siedzieć na widowni", ona odpowiadała „Lepiej będzie, jeśli ja je zrobię". Co więc uczyniłem? Ano, wyruszyłem na długie, międzyplanetarne tournée. Było to bardzo kosztowne przedsięwzięcie, ale zarobki też nie należały do najmniejszych. Maria została w domu. Kiedy wróciłem, potrafiłem już to, co pan przed chwilą widział.

Columbina, Lucinda i Julia ukłoniły się do samej ziemi.

Z signorem Stromboli pożegnałem się na dzień przed moim rozstaniem z Sarg. Mój statek odlatywał w południe, a że poranne ćwiczenia mego gospodarza należały do uświęconego tradycją rytuału, którego nic nie mogło zakłócić, pożegnalną kolację zjedliśmy poprzedniego wieczoru. Piliśmy wino na włoski, radosny sposób, nie upijając się nim, śpiewaliśmy – oprócz nas trojga nie było nikogo więcej. Gdy rano zabrałem się pośpiesznie do pakowania, stwierdziłem, że zapodziała się gdzieś jedna para moich butów. Po dłuższej chwili bezowocnych poszukiwań odesłałem je do wszystkich diabłów, wręczyłem walizkę służącemu, pożegnałem się raz jeszcze z Marią Stromboli i wyszedłem przed bramę, by poczekać, aż woźnica zajedzie po mnie powozem.

Minęło pięć minut, potem dziesięć. Wciąż jeszcze miałem masę czasu, kilka godzin nawet, jeżeli by dobrze poganiał konia, ale zacząłem się zastanawiać, co też mogło go zatrzymać. Wtedy właśnie usłyszałem turkot kół i zza zakrętu wyłonił się zaprzęg, ale powoziła nim jakaś ciemnowłosa, ubrana na różowo kobieta, której nigdy nie widziałem. Zatrzymała powóz przede mną, lekkim ruchem ręki wskazała na porządnie ułożony z tyłu bryczki mój bagaż, po czym powiedziała:

– Wsiadaj. Antonio źle się poczuł, więc powiedziałam Strombolemu, że ja cię odwiozę. Nazywam się Lili. Słyszałeś o mnie?

Usiadłem koło niej i odpowiedziałem, że nie.

– Przyjechałeś zobaczyć się ze Strombolim i nie słyszałeś nic o mnie? Ach, więc tak złudna może być sława! Kiedyś wszyscy o mnie mówili i wydaje mi się, że właśnie dlatego postanowił się wycofać. Mieszka teraz z żoną i chce, żeby wszyscy uważali go za wzorowego męża; ale mój domek jest bardzo niedaleko stąd.

Powiedziałem coś w tym rodzaju, że nie wiedziałem o żadnych domach w sąsiedztwie.

– Wystarczyło zrobić kilka kroków, żeby go zobaczyć.

Strzeliła precyzyjnie batem tuż nad końskim grzbietem i ruszyliśmy kłusem.

– Maria nie jest tym zbytnio zachwycona, ale dla jej męża to też jest tylko kilka kroków. Tyle, że on jest stary. Czy myślisz, że ja też jestem stara?

Odchyliła się do tyłu, obracając tak głowę, bym mógł ujrzeć jej profil – zadarty nieco ku górze nosek i pełne karminowe usta.

– Piersi mam ciągle jeszcze w porządku. Może trochę przytyłam w talii, ale w udach też, a to bardzo dobrze.

– Jesteś bardzo piękna – powiedziałem i rzeczywiście była, chociaż pod pokrywającą jej policzki warstwą pudru można było dostrzec siatkę drobniutkich pęknięć.

– Bardzo piękna, ale starsza od ciebie.

– Może o kilka lat.

– Znacznie więcej. Ale podobam ci się?

– Każdemu byś się podobała.

– Rozumiesz, ja nie jestem taką sobie dziewczyną do łóżka. Z signorem Stromboli, owszem, nieraz, ale bardzo rzadko z innymi mężczyznami. I nigdy nie byłam sprzedana, nigdy, za żadne pieniądze.

Obracające się z wielką szybkością koła powozu turkotały na zakrętach. Po chwili milczenia powiedziała:

– Niedaleko stąd jest takie miejsce. Teren jest płaski i można dojechać aż nad sam brzeg strumienia. Rośnie trawa, kwiaty i słychać szum wody.

– Muszę zdążyć na statek.

– Masz jeszcze dwie godziny, a to zajęłoby nam najwyżej jedną. Drugą spędziłbyś siedząc na krześle. Poziewując i myśląc miłe rzeczy o Sarg i o mnie.

Potrząsnąłem głową.

– Powiedziałeś, że signor Stromboli wiele cię nauczył. Mnie także. Teraz ja nauczę ciebie. Zaraz. Przez godzinę.

Jej noga przycisnęła się do mojej.

– Przykro mi – odpowiedziałem – ale jest ktoś inny. – Nie była to prawda, ale wydawało mi się, że jest to najlepszy sposób, by wybrnąć z niezręcznej sytuacji. – Ktoś, kogo nie mogę zdradzić, jeżeli chcę żyć w zgodzie z sobą samym – dodałem.

Lili podwiozła mnie do samego wejścia do portu kosmicznego, dzięki czemu mogłem przenieść bagaże prosto na taśmowiec. Kiedy odjechał już ostatni z moich pakunków, dotknęła batem końskiego zadu i po chwili ona, koń i turkoczący powóz zniknęli w chmurze pyłu. Uruchamiany małym pieniążkiem robot otrzepał mnie z niego zaraz po wejściu do budynku.

Tak jak powiedziała, miałem jeszcze wolne dwie godziny. Spędziłem je przeglądając pisma i spoglądając na góry, które za chwilę miałem opuścić.

– Uwaga, pasażerowie odlatujący do systemu Sol i Vegi! Prosimy o udanie się do wyjścia numer pięć. Do odlotu pozostało piętnaście minut.

Podniosłem się nieśpiesznie i ruszyłem już w stronę wskazanego wyjścia, lecz nagle stanąłem jak wryty. W moim kierunku zmierzała prześmieszna, znana z niezliczonych fotografii postać.

– Sir! – właściwie zabrzmiało to jak „Seerraughha!", z wyraźną intonacją wznoszącą (co przywodziło na myśl odgłos, jaki mógł z siebie wydać co prawda jowialny, ale akurat w tej chwili pijany, a co za tym idzie niebezpieczny słoń). – Sir!

Olbrzymie brzuszysko było opięte kamizelką w biało-granatowe pasy szerokości mojej dłoni, a bezkształtny nochal aż świecił od natrętnej wścibskości.

– Sir, pańskie buty! Mam pańskie buty!

Był to lokaj Zanni, najdoskonalszy twór Strombolego. W jego potężnej dłoni moje buty wyglądały podobnie, jak ja się czułem, czyli zupełnie bezsensownie. Ludzi gapili się na nas, spierając się między sobą, czy to prawdziwy Zanni, czy też nie.

– Mojemu panu bardzo zależało, żebym je panu zwrócił – powiedział Zanni. – Może pan nie uwierzy, ale biegłem całą drogę.

– Dziękuję – wymamrotałem, biorąc je od niego i jednocześnie rozglądając się dookoła w poszukiwaniu Strombolego. Musiał gdzieś tutaj być.

– Mój pan – kontynuował Zanni teatralnym szeptem, który musiał być dobrze słyszalny nawet na najbliższych stanowiskach startowych – słyszał o pańskiej rozmowie z Madame Lili. Jak pan może wie, sir, naszą planetę nazywa się czasem Planetą Tajemniczych Róż, toteż mój pan chciałby prosić pana, sir, by część tego, czego się pan dowiedział zechciał pan zachować w tajemnicy.

Skinąłem głową. Udało mi się wreszcie dostrzec Strombolego. Stał na uboczu z nie wyrażającą żadnych uczuć twarzą, podczas gdy jego palce biegały pośpiesznie po pulpicie kontrolnym Zanniego.

– Joruri – powiedziałem.

– Joruri, sir?

– Japoński teatr lalek. Animatorzy są doskonale widoczni, ale publiczność udaje, że ich nie dostrzega.

– Na tym zna się mój pan, a nie ja, sir, ale być może tak właśnie powinno być.

– Być może. No nic, muszę już iść, żeby zdążyć na statek.

– Tak samo powiedział pan Madame Lili. Mój pan wyraził życzenie, abym przekazał panu, że on sam był kiedyś tak młody jak pan, sir. Mój pan ma nadzieję, że wie pan, komu pozostaje pan wierny, oraz że on sam nigdy się tego o sobie samym nie dowie.

Pomyślałem o pęknięciach, jakie dostrzegłem pod pokrywającą policzki Lili warstwą pudru, a potem o policzkach Charity, różowych i tryskających życiem.

Zabrałem buty, wszedłem na statek i schowałem się do mego pudełka.

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik

---

* *Charity– miłosierdzie, życzliwość.*

Gene WOLFE

Amerykański pisarz, który w ostatnich latach wyrósł na gwiazdę pierwszej wielkości wśród autorów SF. Jest on rzadkim przykładem pisarza, który nigdy nie pisze „pod publiczkę", a wprost przeciwnie, zmusza czytelników do przyjęcia jego reguł gry. W roku 1984 otrzymał nagrodę im. Johna W. Campbella za „The Citadel of the Autarch" (Cytadela autarchy), ostatni tom cyklu pt. „The Book of the New Sun" (Księga nowego słońca). Wręczający nagrodę prof. Goldman z Uniwersytetu Kansas podkreślił niezwykle eksperymentalny charakter twórczości Wolfe'a. James Gunn powiedział o „Księdze nowego słońca", że jest to „*seria utworów stanowiąca w istocie jedną powieść, która rozszerzyła skalę możliwości science fiction i literatury fantastycznej i dokonała tego po mistrzowsku, dowcipnie i w wielkim stylu, nie tracąc nic z barwności i emocjonalności tak cenionej przez miłośników SF*".

Opowiadanie „Marionetki" należy do wczesnego okresu twórczości Wolfe'a.

L.J.

Siedzę na brzegu czegoś, co uchodzi za łóżko. Jest zrobione z luźno przeplecionych taśm stalowych i nie ma materaca, tylko dodatkowy koc szarozielonego koloru. Nie jest to wygodne, ale oczywiście ci tutaj spodziewają się, że będzie mi jeszcze mniej wygodnie. Mają bowiem nadzieję, że zostanę zabrany z aresztu w komisariacie do więzienia okręgowego, a następnie do kostnicy. Och, oczywiście najpierw będzie proces, ale to tylko formalność. Nie tylko zostałem schwytany z dymiącym pistoletem w dłoni nad charczącym przedśmiertnie przez dziurę w gardle Connaughtem, ale również przyznałem się do tego. Ja bowiem – z pełną świadomością czynu i działając z premedytacją oraz szczególnym nasileniem złej woli, jak to nazywają – zastrzeliłem Laurence'a Connaughta.

Morderców się uśmierca. Mają mnie więc uśmiercić. Szczególnie zaś dlatego, że Laurence Connaught ocalił mi życie.

Frederik Pohl

23 SŁOWA

(Pythias)

No cóż, są okoliczności łagodzące. Nie spodziewam się, by przekonały one przysięgłych.

Connaught i ja byliśmy przez całe lata bliskimi przyjaciółmi. W czasie wojny straciliśmy kontakt, w kilka lat po wojnie spotkaliśmy się znowu w Waszyngtonie. Dorastaliśmy więc osobno. On stał się człowiekiem pełniącym misję. Pracował nad czymś bardzo ciężko; nie chciał rozmawiać o swej pracy, a w jego życiu nie istniało nic innego, co pomogłoby nam się porozumieć. A ja – cóż, ja też miałem własne życie. Nie związane z badaniami naukowymi. Zawaliłem studia medyczne, on zaś je kontynuował. Nie wstydzę się tego, bo nie ma w tym nic, czego mógłbym się wstydzić. Po prostu nie byłem w stanie znieść krojenia trupów. Nie lubiłem tego, nie chciałem, a gdy mnie zmuszano, robiłem to źle. Dałem więc spokój studiom.

Nie miałem więc tytułów naukowych, ale nie są one potrzebne na posadzie strażnika w Senacie.

Nie wydaje się to wam olśniewającą karierą? Oczywiście nie, ale lubiłem tę robotę. Gdy strażnicy są blisko, senatorowie są przyjaźni i odprężeni, można też dowiedzieć się niezwykłych rzeczy o tym, co dzieje się za kulisami władzy. A poza tym strażnik w Senacie może okazywać względy: dziennikarzom, którzy wdzięczni są za wskazanie interesującej nowinki; urzędnikom administracji, którzy czasem umieją zawiązać całą intrygę opierając się na jednej niedbale rzuconej i powtórzonej im uwadze; czy komukolwiek, kto podczas gorącej debaty chciałby znaleźć się na galerii dla gości.

Larry Connaught też należał do tej kategorii. Spotkałem go któregoś dnia przypadkowo na ulicy, rozmawialiśmy przez chwilę, on zaś zapytał, czy mógłbym go wprowadzić na zbliżającą się debatę o polityce zagranicznej. Owszem, mogłem. Zadzwoniłem do niego nazajutrz z wiadomością, że mam dla niego przepustkę. No i przyszedł. Właśnie wpatrywał się żarliwie swoimi małymi, mokrymi oczkami we wstającego, by zabrać głos, Sekretarza, gdy niespodzianie rozległ się wrzask i garść środkowoamerykańskich fanatyków wyciągnęła broń, starając się zmienić amerykańską politykę zagraniczną za pomocą prochu strzelniczego.

Sądzę, że pamiętacie tę historię. Było ich tylko trzech. Dwóch z pistoletami, jeden miał granat ręczny. Rewolwerowcom udało się zranić dwóch senatorów i strażnika. Byłem tam właśnie i rozmawiałem z Connaughtem; zauważyłem człowieczka z granatem ręcznym i rzuciłem się na niego. Zwaliłem go z nóg, ale granat poleciał. Z wyciągniętą zawleczką. To były sekundy. Skoczyłem po granat, ale Larry Connaught mnie wyprzedził.

Artykuły w dziennikach zrobiły bohaterów z nas obu. Było prawdziwym cudem – napisały – iż Larry, który przykrył granat własnym ciałem, zdołał wyszarpnąć go spod siebie i odrzucić w miejsce, w którym wybuchł nie czyniąc nikomu szkody.

Bo wybuchł, lecz odłamki nie zraniły nikogo. Dzienniki podały, że Larry wskutek wybuchu stracił przytomność. Rzeczywiście stracił. Trwało to sześć godzin, a gdy odzyskał zmysły, był odurzony jeszcze przez cały dzień.

Dlatego odwiedziłem go następnego wieczoru

Ucieszył się na mój widok.

– Niewiele brakowało, Dick – powiedział. – Przypomniało mi to bitwę na Tarawie.

– Nie byłem tam – odpowiedziałem. – Chyba ocaliłeś mi życie, Larry.

– Ech, tam, Dick. No wiesz, po prostu skoczyłem. Szczęśliwie, mam wrażenie.

– Gazety mówią, że byłeś wspaniały – odpowiedziałem. – Mówią też, że zrobiłeś to tak szybko, że nikt nie dostrzegł, co właściwie zaszło.

Zrobił lekceważący gest, ale jego mokre oczka miały wyraz czujności.

– Sądzę, że w gruncie rzeczy nikt tego tak dokładnie nie obserwował.

Westchnąłem.

– Ja obserwowałem.

Przez chwilę przyglądał mi się bez słowa. Powiedziałem:

– Znajdowałem się między tobą i granatem. Nie przeskoczyłeś koło mnie, nade mną, ani przeze mnie. Ale znalazłeś się nad granatem. – Larry zaczął kręcić głową przecząco. – P o n a d t o, Larry, upadłeś na granat. Wybuchł pod tobą. Wiem o tym, bo w tym momencie prawie leżałem na tobie, eksplozja zaś wyrzuciła cię w powietrze. Czy miałeś na sobie kamizelkę przeciwkulową?

Odchrząknął.

– No cóż, w gruncie...

– Daj spokój, Larry – przerwałem.

Zdjął okulary i zaczął przecierać swe wodniste oczy.

– Czy nie czytałeś gazet? Granat wybuchł o jard dalej – mruknął.

– Larry – odpowiedziałem łagodnie – ja tam byłem.

Larry Connaught wyglądał, jakby mu się zrobiło niedobrze. Opadł na oparcie fotela, gapiąc się na mnie. Był małym człowieczkiem, ale nigdy nie wyglądał na tak małego, jak w tym wielkim fotelu. Patrzył na mnie, jakbym był Nemezis we własnej osobie.

I w końcu się zaśmiał. Zaskoczył mnie; zdawał się niemal uszczęśliwiony.

– Cóż u diabła, Dick – powiedział. – Wcześniej czy później muszę komuś o tym powiedzieć. Czemu nie tobie?

Nie mogę wam przekazać wszystkiego, co powiedział. Opowiem większą część. Ale nie to, co najważniejsze.

T e g o nie powiem nigdy i n i k o m u.

– Powinienem był się spodziewać, że zapamiętasz – powiedział i uśmiechnął się do mnie z żałosną serdecznością. – Te nasze dyskusje w kafeteriach, co? Całe noce przegadane na wszystkie tematy. Ale ty nie zapomniałeś.

– Powiedziałeś wtedy, że umysł ludzki posiada zdolność psychokinezy – odrzekłem. – Powiedziałeś, że wystarcza siła umysłu, by człowiek mógł przenieść swe ciało w dowolne miejsce i w jednej chwili, bez pomocy maszyn i nie kiwnąwszy nawet palcem. Powiedziałeś, że dla umysłu ludzkiego nie ma nic niemożliwego.



Zbigniew Latała

Powtarzając to czułem się jak kompletny idiota, bo te pomysły były śmiechu warte. Wyobraźcie sobie człowieka, który może pomyśleć siebie z jednego miejsca w drugie! Ale... byłem przecież na tej galerii. Oblizałem wargi i spojrzałem na Larry'ego Connaughta, czekając na potwierdzenie.

– Ależ byłem wtedy schlany – powiedział Larry. Zaśmiał się. – Wyobraź sobie!

Sądze, że okazałem zdziwienie, bo Larry poklepał mnie po ramieniu i odzyskując powagę powiedział:

– Oczywiście, Dick. Nie masz racji, ale równocześnie ją masz. Sam umysł nie może dokonać niczego podobnego – to był po prostu głupi, szczeniacki pomysł. Ale – ciągnął dalej, a jego oczy zaczęły błyszczeć podnieceniem, słowa zaś stały się szybsze i głośniejsze – ale istnieją – no cóż – techniki wiążące umysł z siłami fizycznymi, zwykłymi siłami fizycznymi, których używamy na co dzień i które mogą zrobić wszystko. Wszystko! Wszystko, co wymarzyłem i jeszcze to, czego dotychczas nie odkryłem. Przelecieć przez ocean? W sekundę, Dick! Izolować wybuchającą bombę? Oczywiście, łatwo! Widziałeś, jak to zrobiłem. Och, to oczywiście wymaga pracy. Wymaga dopływu energii – nie da się uciec od praw natury. Znokautowało mnie to na cały dzień. Ale zadanie było trudne; o wiele łatwiej na przykład spowodować, by pocisk rozminął się z celem. A jeszcze łatwiej wydobyć nabój z komory ładunkowej i przenieść do kieszeni, by w ogóle nie mógł zostać wystrzelony. Masz ochotę na angielskie klejnoty koronne? Możesz je mieć, Dick!

– Czy możesz przewidywać przyszłość? – zapytałem.

– Nie. – Zmarszczył brwi. – Dick, to było głupie pytanie. To nie są przesą...

– A jak z czytaniem cudzych myśli?

Twarz mu się rozjaśniła.

– O, pamiętasz coś z tego, co mówiłem przed laty. Nie, Dick, tego też nie mogę zrobić. Może kiedyś, jeśli będę nad tym pracował... Cóż, obecnie nie umiem. Ale jednak potrafię robić nie gorsze rzeczy. Mogę podsłuchiwać wszystko co się dzieje, mogę widzieć wszystko co chcę ujrzeć, gdziekolwiek na Ziemi. Albo poza nią, Dick! To jest trudne, ale robiłem to. Mars! Widziałem go, wygląda jak kamienne usypisko.

Odchrząknąłem.

– Pokaż mi coś z tego, co potrafisz – poprosiłem.

Uśmiechnął się. Larry był zadowolony z siebie i nie miałem mu tego za złe. Przez całe lata, od dnia gdy wpadł na pierwszy trop, krył się z tą sprawą. Przez dziesięć lat prób i eksperymentów był niemal zawsze na błędnej drodze, ale ciągle coraz bliżej... Musiał o tym opowiedzieć. Myślę, że był naprawdę zadowolony z tego, że ktoś się na koniec domyślił.

– Pokazać ci coś? – powiedział. – Czemu nie, zastanówmy się, Dick. – Rozejrzał się po pokoju i mrugnął do mnie. – Widzisz to okno?

Spojrzałem. Okno otworzyło się z trzaskiem drewnianych ram. I zamknęło.

– Radio – powiedział Larry. Pstryknięcie i jego mały odbiornik sam się włączył. – Uwaga. – Radio znikło i znów się pojawiło. – Było na szczycie Mount Everestu – powiedział Larry lekko dysząc. Wtyczka na przewodzie radioodbiornika uniosła się i wyciągnęła w stronę gniazdka, ale po chwili opadła na podłogę. – Nie – powiedział Larry drżącym głosem – pokażę ci coś naprawdę trudnego. Patrz na radio, Dick. Uruchomię je bez podłączania do sieci! Same elektrony...

Wpatrywał się intensywnie w odbiorniczek. Ujrzałem, jak skala się zapala, przygasa i rozpala stałym blaskiem; głośnik zaczął chrypieć. Stanąłem dokładnie za Larrym, dokładnie nad nim.

Posłużyłem się telefonem, który stał na stole obok. Ryzykowałem potężnie i wiedziałem o tym. Udało się. Trafiłem go dokładnie za uchem. Zwinął się, nie wydawszy głosu. Uderzyłem go jeszcze dwa razy, metodycznie, aż byłem pewien, że się nie ocknie przynajmniej przez godzinę. Odwróciłem go, a telefon postawiłem na miejscu.

Zrewidowałem całe jego mieszkanie. Znalazłem w biurku wszystkie jego notatki. Wszystkie informacje. Tajemnicę robienia tego, co robił.

Wziąłem za telefon i zadzwoniłem do policji waszyngtońskiej. Gdy usłyszałem syrenę za oknem, wyjąłem służbowy pistolet i przestrzeliłem Larry'emu gardło. Zanim zdążyli go dotknąć, był już trupem.

Bo, widzicie, ja znałem Laurence'a Connaughta. Byliśmy przyjaciółmi i zaufałbym mu własne życie. Ale tu szło o coś więcej, niż tylko życie.

Dwadzieścia trzy słowa nauczyły mnie robić to, co robił Laurence Connaught. Każdy, kto umie czytać, może to zrobić. Zbrodniarze, zdrajcy, szaleńcy – formuła będzie służyła każdemu.

Laurence Connaught był uczciwym człowiekiem, myślę nawet, że był idealistą. Ale co będzie z człowiekiem, który stanie się Bogiem? Wyobraź sobie, że powiedziano ci dwadzieścia trzy słowa, które pozwolą ci sięgnąć do każdego skarbca bankowego, zajrzeć do każdego zamkniętego pokoju, przejść przez każdą ścianę? Wyobraź sobie, że strzał pistoletowy nie może cię zabić? Wyobraź sobie, że możesz stanąć pod spadającą bombą atomową i w mgnieniu oka przenieść się o tysiąc mil dalej?

Mówi się, że władza demoralizuje, a władza absolutna demoralizuje absolutnie. A nie istnieje bardziej absolutna władza niż ta, którą dają dwadzieścia trzy słowa, mogące wyswobodzić z każdego więzienia i dać wszystko, czego się zapragnie. Larry był moim przyjacielem. Ale zabiłem go z zimną krwią, wiedząc, co robię. Dlatego, że on nie mógł być strażnikiem sekretu, który zrobiłby z niego króla świata...

Ale ja mogę.

Przełożył **Jerzy Wilczyński**

Frederik POHL

Urodził się w 1919 r.; jeden z czołowych pisarzy, krytyków, wydawców i redaktorów antologii SF; laureat wielu prestiżowych nagród za twórczość SF (patrz: notka biograficzna – „Fantastyka" nr 6/84). W naszym miesięczniku zamieściliśmy już następujące jego opowiadania: „Fermer na ulicach miasta" (6/84), „Dajmy szansę mrówkom" (3/85), „Skarb w środku gwiezdnej tęczy" (7/85) oraz „Dzień w Lunaparku" (10/85).

(KS)

Po moich plecach pot spływał strumieniami. Barax spokojnie, bez oznak zmęczenia jak automat wspinał się do góry.

Jemu to dobrze, przemknęło mi przez myśl. Nuklearny mikrosilnik zawiera energię, która wystarczy mu na dwa tysiące lat...

Kilyos rozglądał się. Wiedziałem, że rozważa szanse ucieczki. Wciąż jeszcze się nie poddał. Jednakże Barax chwycił przestępcę za ramię.

– Niech pan idzie spokojnie, zaraz będziemy na miejscu.

– Maszyna nie będzie mi rozkazywać – odciął się tamten i próbował zaprzeć się nogami o krawędź kamiennego stopnia.

– Barax nie jest maszyną, tylko moim towarzyszem! – odparłem ze złością. Znowu spojrzałem na zegarek: było dwie po dwunastej, dochodziliśmy już do płaskiego szczytu piramidy. W pobliżu nie było ludzi. Trwający od wielu dni stan wojenny, godzina policyjna, zamknięcie lotnisk – wypłoszyły turystów. W dodatku był to czas sjesty.

– Spieszmy się – popędziłem ich. Jeżeli Gurow wkroczy, a nas tam nie będzie, to po prostu wróci z powrotem i Bóg wie kiedy wreszcie uda się nam przekroczyć limes tempori. Barax uniósł po prostu Kilyosa w powietrze i przyspieszył kroku. Z trudem za nim nadążałem.

Lipp Kilyos podjął jeszcze jedną próbę.

– Inspektorze! – krzyknął. – Niech mnie pan puści! Albo niech pan sam ze mną pójdzie! Z pańskim androidem możemy pokonać wszystkie przeszkody. Mając promienną broń możemy stać się panami świata. Na nowo zbudujemy Voltrans, pan i ja, inspektorze!

– Nie, Kilyos – odpowiedziałem dysząc ciężko. Już tylko kilka stopni dzieliło nas od szczytu budowli. – Nie możemy zmienić historii. W tym właśnie przeszkodziliśmy panu.

– Człowiek i maszyna – skrzywił się z pogardą historyk.

– Nie, Kilyos. Medina i Barax – odparł Barax.

Dotarliśmy na szczyt.

– Jest! – pokazał Barax.

Ponad płaskim, rozgrzanym kamiennym polem unosił się dziwny pierścień. Choć był zrobiony z metalu, nie błyszczał w słońcu. Jego krawędzie wtapiały się jakby w powietrze – kontury rozpływały się...

*

Gurow chwycił Kilyosa za ramię i wciągnął go do maszyny.

– Udało się, Roy! – krzyknął Barax. W jego oczach dostrzegłem radość. Tak, Barax był szczęśliwy... jak człowiek.

– Zawdzięczamy to głównie tobie, Barax – powiedziałem i podałem mu rękę. Bardzo się zdziwił. Ten gest... Czuł, jakie ma on znaczenie. Może zabrzmi to dziwnie, gdy powiem, że Barax był wzruszony w chwili, gdy ściskał moją rękę. Głos dziwnie mu się załamał.

– Chodź, Roy. Ruszamy.

Rozejrzałem się. Wciągnąłem woń gorących kamieni. Za sekundę pojadę do domu. Ale przecież... i tu byłem w domu. Z Florą... Tu przez kilka dni naprawdę żyłem. Byłem szczęśliwy. To mój prawdziwy dom. Jako człowiek wszystkich epok – choćbym nie wiem ile podróżował przez stulecia – zawsze będę na Ziemi, w moim szerokim domu bez granic.

Z westchnieniem wsiadłem do maszyny. Drzwi zamknęły się za mną bezgłośnie.

KONIEC

Rozdział 6

Trzeciego dnia rano obudziłem się świeży i gotowy do działania. Wydawało mi się, że nawet Barax rusza się szybciej – choć wiedziałem, że to jedynie złudzenie.

Ponownie przesłuchaliśmy taśmę, na której nagrałem relację Negadesa. Później wyruszyliśmy.

Avenida de la Paz była szeroką arterią. Z obu stron okalały ją drzewa niszczone spalinami samochodów. Z wozu obserwowałem okolicę. Było tu zbyt wiele sklepów, budynków, domów towarowych – ta część trasy nie mogła wchodzić w rachubę jako miejsce zamachu. Na chodnikach tłoczyły się tysiące ludzi, nie mówiąc już o kordonie policji, który tu jutro stanie...

Jadąc południową autostradą przecięliśmy najpierw równinę, później droga prowadziła w góry. Na podstawie planu dowiedzieliśmy się, że w tej okolicy powinny też być inne drogi, które obsługiwały tutejszy ruch przed wybudowaniem autostrady. Prawdopodobnie były one niemal zupełnie nieuczęszczane.

Autostrada w wielu miejscach biegła przez tunele – budowniczowie drogi przecięli lub przewiercili wyższe i bardziej strome skały. Miejscami okolica przypominała Szwajcarię, gdzie byłem raz na początku dwudziestego pierwszego wieku. Jednakże tutaj roślinność była zupełnie inna.

Wkrótce wjechaliśmy do kolejnego, krótkiego tunelu, a po chwili zalśnił przed nami oświetlony słońcem odcinek drogi. Jednakże za zakrętem znowu rozwarł się czarny otwór tunelu.

W tym momencie nasunął mi się pomysł:

– Zrobimy to w tym miejscu, Barax!

– W porządku – mruknął w odpowiedzi.

– Na początku tego drugiego tunelu stanie barykada. W wąską studnię między tunelami spuścimy się z góry...

– Użyjemy gazu czy promieni? – beznamiętnie zapytał mój towarzysz.

– Najlepiej będzie, jeżeli zastosujemy tylko promienie oszałamiające. Nie będziemy się musieli obawiać złamania czasu. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że użyliśmy nieznanej jeszcze broni. Na wieść o zamachu, pułkownik przeprowadzi pucz, jego ludzie zajmą strategiczne miejsca i budynki publiczne i Negades ogłosi się prezydentem. W takiej sytuacji nikt nie będzie dochodził, dlaczego cała eskorta byłego prezydenta straciła na autostradzie przytomność... Będzie to czysta, rzekłbym: sterylna robota, Barax.

– Członkowie eskorty będą leżeć nieprzytomni przynajmniej przez osiemnaście do dwudziestu dwóch godzin. W tym czasie nie będą mogli udzielić żadnych informacji o okolicznościach zamachu i wyglądzie napastników. – Barax skinął głową zgadzając się na mój plan. – A nie boisz się Negadesa? Już raz nas oszukał.

– Wiem że jest sprytny i bezwzględny. Ale nie niepokój się, jego też unieszkodliwimy. Poza tym w tej chwili najważniejsze jest, żeby dopaść Ramireza.

Wyjechaliśmy z tunelu. W pobliżu znajdowało się rozwidlenie drogi, stara, wąska szosa skręcała w kierunku gór. Wkrótce znaleźliśmy miejsce, znajdujące się pomiędzy dwoma tunelami. Gdy wdrapaliśmy się na skraj stumetrowego, skalnego urwiska, dostrzegliśmy w dole niewielki, oświetlony słońcem kawałek autostrady i ukośne wloty dwóch tuneli.

W ciągu dziesięciu minut opracowaliśmy szczegółowy plan operacji. Broń mieliśmy zawsze przy sobie, ze względów bezpieczeństwa mój pistolet promienny trzymał na ogół Barax. Gdyby ta broń trafiła w ręce osób niepowołanych – to znaczy mieszkańców dwudziestego wieku – GALPOL i kompetentne władze postawiłyby mnie przed sądem za złamanie czasu. Barax zostałby oczywiście uniewinniony, jako że to właśnie ja odpowiadam za wszystkie czyny i jeżeli trzeba – za wszystkie porażki naszej dwuosobowej ekspedycji.

– To nie będzie trudne – powiedział mój towarzysz. Staliśmy na płaskowyżu. Wiał wiatr i nie było tak ciepło jak w mieście. Po niebie płynęły małe obłoczki, wokół liliowych i żółtych kwiatów brzęczały pszczoły.

Zjechaliśmy na autostradę i ruszyliśmy w stronę miasta. W międzyczasie ruch na Avenida de la Paz zwiększył się. Przy chodnikach rozładowywano ciężarowe samochody. Przystanąłem przed straganem z kwiatami. Baraxowi to wystarczyło:

- Pan Medina znowu gra wytrawnego handlowca - stwierdził kwaśno.
- Wyobraź sobie, że tak. Jeżeli nie wiesz, to informuję cię, ty nieokrzesańcze, że do damy nie wypada iść z wizytą bez kwiatów. Tego już mógłbyś się nauczyć.
- „Panie Medina... Wierzy pan w przypadki?" - odezwał się niespodziewanie głosem Flory, po czym moim głosem odpowiedział na pytanie: „Tylko wtedy, jeżeli przynoszą szczęście..."
- Wczoraj wieczorem podsłuchiwałeś naszą rozmowę. To już przechodzi ludzkie pojęcie.
- Zrobiłem to dla twojego dobra - odpowiedział już swoim normalnym tonem. - W interesie operacji i naszego wspólnego bezpieczeństwa muszę stale wiedzieć, co się z tobą dzieje. Taki mam rozkaz.
- Ale, Barax, nie przebieraj miarki!
- Co to jest miarka? - zapytał ponuro, ale, przysiągłbym, w jego oczach zabłysły wesołe iskierki. Uspokoiłem się. W końcu historia z Florą będzie stanowić element mojego raportu, podobnie jak wszystko, co dotyczy tej ekspedycji. Barax dysponuje technicznymi możliwościami, które pozwolą później szefom GALPOL-u na wgląd we wszystko, co obaj robiliśmy w przeszłości. Może na przykład nagrać pięćsetgodzinny materiał: rozmowy, hałasy, wszystko. Jest moim strażnikiem, lecz zarazem kontrolerem. I właściwie nie mogę za to mieć do niego pretensji. Do niego - w żadnym wypadku, jest przecież tylko narzędziem w ręku szefa i całego zarządu. Tak samo jak ja.
- No dobrze - mruknąłem. Kupiłem olbrzymi bukiet i pojechaliśmy do dzielnicy Juventud. Na rogu chłopak w białej czapce sprzedawał czasopisma, zatrzymałem się i kupiłem kilka gazet. Nie miałem jednak czasu, żeby je przeczytać. Zauważyłem tylko, że na pierwszej stronie pod dużymi krzyczącymi tytułami omawiano plan zjednoczenia Veruzzy i Boliwarii. Na stronach tytułowych sporo miejsca zajmował też szeroki uśmiech Gallego Ramireza.

*

Pani Flora przyjęła nas na tarasie. Miała teraz na sobie elegancką sukienkę koloru kawy, zaś włosy spięte w kok. Po wygłoszeniu wielu rzeczywiście pięknych, dawnych komplementów usiedliśmy do stołu. Flora zainteresowała się też, co się dzieje z Baraxem, choć zapewne był to z jej strony jedynie objaw uprzejmości. Nawiasem mówiąc, swego towarzysza zostawiłem na podwórzu, przy samochodzie. Nie protestował przeciwko pozornej degradacji do stanowiska szofera.
- Zna pan boliwaryjską kuchnię? - zapytała Flora.
- Nie, proszę pani. Po raz pierwszy jestem w tej epo..., chciałem powiedzieć: w tym kraju i jeszcze nie miałem szczęścia...
- W takim razie proszę tego skosztować, prawdziwy specjał z ryb.

Stary kamerdyner zniknął po podaniu kawy. Przez otwarte okno pokoju słychać było śpiew ptaków, czułem zapach kwiatów rosnących w ogrodzie... Wiedziałem, co w myśl niepisanych reguł teraz nastąpi. Drżałem z pożądania. Dziwiłem się sam sobie i zachowując resztkę trzeźwości obserwowałem własne reakcje. Co się stało?... Czyżby to była prawdziwa miłość? Dlaczego nigdy nie odczuwałem tego w trzydziestym pierwszym wieku? Czyżbyśmy my, ludzie przyszłości, nie znali już tego uczucia? Czy i ja mogę to odczuwać tylko tu, tu i teraz, w żadnym innym miejscu i czasie?...

Wstaliśmy. Flora podeszła do okna, patrzyła na ogród. Podszedłem do niej, objąłem ją. Bardzo chciałem poczuć jej dotyk. Oparła głowę na moim ramieniu i... Pocałowałem ją.

Jej pocałunek był namiętny, jej wargi drżały.
- Kim ty jesteś? - spytała, gdy złapaliśmy oddech.
- Człowiekiem. Cudzoziemcem. Ani biednym, ani bogatym. Nie młodym, ale nie starym. Nie pięknym i nie szpetnym.

Znowu ją pocałowałem. Nie opierała się, ona też tego pragnęła. To mnie ośmieliło. W głowie mi szumiało.

Wszystko rozegrało się tak naturalnie i pięknie, jak w filmach. W starych i nowych filmach... Sypialnia była zaraz obok - na rękach zaniosłem Florę do łóżka.

*

W dwie godziny później coś zakłóciło błogi spokój zalewający moje ciało.

Flora leżała oparta o moje ramię, ale nie spała. Gdy obróciłem się w jej stronę, napotkałem jej rozmarzone i uśmiechnięte spojrzenie.

Dodałem gazu i ruszyliśmy. Stalowa dłoń Baraxa nadal oplatała nadgarstek Kilyosa. Spojrzałem na zegarek i moje podejrzenia sprawdziły się: zostaliśmy przesunięci w czasie o czterdzieści minut. Z powodu tego opóźnienia zostało nam zaledwie dwadzieścia minut do terminu „wkroczenia" Gurowa. Musiałem się spieszyć.

Lecz Barax się nie poddał:
- Stało się coś dziwnego, Roy. Czas za bardzo się przesunął do przodu.
- Tylko tak ci się wydaje - odpowiedziałem.
- A co się stało z żołnierzami? Przed chwilą naprzeciw nas jechało ich kilka tysięcy. A teraz nigdzie ich nie ma.
- Przejechali obok nas, nie widziałeś? Barax, ty zasnąłeś! - zażartowałem. - Uważaj na Kilyosa, dodaję gazu.
- Uważam - mruknął i medytował nadal. Domyślałem się, że jego mózg ma trudności z uporaniem się z taką zagadką. Nie jest w stanie zrozumieć faktu wyłączenia. Nie chciałem jednak więcej o tym rozmawiać. Miałem nadzieję, że jakoś o tym zapomni - chociaż Barax nigdy o niczym nie zapomina.

Na skraju drogi zobaczyliśmy chłopów. Jechali kłusem na osłach. Po małej rzeczce z pełną dostojeństwa powolnością płynęła barka. Wyglądało jakby w tej okolicy ludzie nawet nie wiedzieli o walkach toczących się wokół stolicy. Wsie i pola tchnęły odwiecznym spokojem.

Kilyos przyszedł do siebie. Najpierw próbował się uwolnić, co oczywiście mu się nie udało. Od tej pory siedział markotnie na swoim miejscu i spoglądał w bok. W lusterku widziałem jego twarz, lecz raczej koncentrowałem się na drodze. Szybko zbliżaliśmy się do San Fernando. Przemknęliśmy przez most, później droga wiła się między wzgórzami. Wreszcie ujrzeliśmy miasteczko.

W chwili, gdy zatrzymałem się na rynku i zapytałem jakiegoś chłopca, gdzie jest stara piramida, zegary wskazywały godzinę jedenastą minut pięćdziesiąt jeden. Z paczki, którą dostałem od Gurowa, zostało jeszcze parę banknotów. W zamian za nie śniadoskóry chłopak z radością pokazał nam, w którą stronę mamy jechać.

Piramida wznosiła się na wschodnim skraju miasteczka. Była potężna. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, że w średniowieczu wznoszono takie budowle. W szczelinach szarego, kwadratowego stosu głazów z tropikalną bujnością rosły dzikie rośliny. Budowla jedynie w połowie była piramidą: jej szczyt był jakby ścięty przez olbrzyma, płaski, wyglądał jak niedokończony. Każdy z boków miał długość stu metrów. Bloki kamienne tworzyły wysokie, niewygodnie schody.
- Idziemy ...na górę - rozkazałem. Barax oczywiście posłuchał od razu. Natomiast Kilyos znieruchomiał.
- Dokąd mnie zabieracie, inspektorze?
- Niech się pan nie opiera, bo znowu będę musiał pana obezwładnić.

Historyk rozejrzał się. Odzyskał już jasność umysłu:
- Obezwładnić? Już pamiętam. Strzeliłem z pistoletu promiennego do tego typa - pokazał na Baraxa. - On żyje? Nie rozstrzelali go?

Barax nie słuchając go, niepowstrzymanie ciągnął Kilyosa za sobą. Więzień był zmuszony do wdrapywania się na schody. Przyjrzał się Baraxowi i zwrócił się do mnie:
- Niech pan zdradzi, inspektorze, dlaczego promieniowanie nie działało na pana kolegę?...
- Bo w ten sposób można obezwładniać tylko ludzi - odpowiedziałem. Nad nami prażyło słońce, miasteczko znikło już gdzieś w oddali.
- Jedynie... ludzi? - Kilyos chciał się zatrzymać, lecz Barax ciągnął go za sobą z bezlitosną obojętnością. - Chce pan powiedzieć, że...
- Właśnie. Mój towarzysz jest najnowszym typem niemal doskonałego robota o ludzkich kształtach. Superandroidem. Wcześniej nie słyszał pan o jego istnieniu, bo rząd światowy trzyma to po dziś dzień w tajemnicy. W dodatku, jak do tej pory powstał tylko jeden egzemplarz i jest nim właśnie Barax.
- I ten czło... ten android... jest policjantem? - jęknął Kilyos.
- Tak, funkcjonariuszem GALPOL-u. Neurologowie stworzyli specjalną biologiczną łączność między jego mózgiem a moim. Możemy wzajemnie rozumieć swoje myśli. Barax czyta w falach mojego mózgu. Razem zwalczamy przestępców, Kilyos.

W tym momencie zrozumiałem wszystko. Miałem ochotę zadać tysiące pytań, ale wiedziałem, że i tak nie otrzymam na nie odpowiedzi. Nikt nie złamie podstawowych zasad, niezależnie od tego, którego wieku jest mieszkańcem czy wysłannikiem. Podobnie jak jak nie mogłem powiedzieć Lorenzowi o przyszłości Boliwarii, tak samo nie mogłem dowiedzieć się o epoce mającej dopiero nadejść po trzydziestym pierwszym wieku. Ani o moim własnym losie. Poza limes tempori istnieją moralne granice i ich przekroczenie bywa czasem bardziej niebezpieczne od zwykłego złamania czasu...

– ŻEGNAM CIĘ, ROY. ŻYCZĘ CI WIELE SZCZĘŚCIA!

– DZIEKUJĘ – odpowiedziałem i nie wiem dlaczego, łagodny kobiecy głos sprawił, że krtań mi się zacisnęła. Jednocześnie odczułem nieodpartą chęć wypowiedzenia tego, że przypomina mi on Florę:

– KIEDYŚ ... GDZIEŚ... CHCIAŁBYM SIĘ Z TOBĄ SPOTKAĆ.

Nie odpowiedziała. Lecz ja wiedziałem, że jeszcze tam jest, o jej obecności świadczyła niebieskosrebrna kula... Mózg zalała ciepła, przyjemna fala uczucia. Miałem nadzieję, że to jej odpowiedź. Spróbowałem wypromieniować w jej stronę podobną falę, ale moje zwoje mózgowe zanurzyły się w błogim zamroczeniu, fale alfa opadły, jak morze zmęczone po burzy...

Uniosłem ręce. Mój ciężar był znowu taki jak dawniej. Błękitna mgła przerzedzała się. Koła łazika. stuknęły o asfalt.

Zamknąłem oczy. Tak, przyszłość ... Czy ludzie GALPOL-u nigdy jeszcze nie spotkali się z wysłannikami dalekiej przyszłości?... W zaślepieniu sądziliśmy dotychczas, że tylko my wyprawiamy się w dalsze wieki. A przecież uczeni trzydziestego piątego, czterdziestego drugiego czy pięćdziesiątego stulecia z pewnością robią to samo. Oni też ścigają swoich nikczemnych i zuchwałych przestępców, ich wysłannicy znający język, zwyczaje i wydarzenia dawnych epok chodzą między nami – zarówno w dwudziestym wieku jak i w trzydziestym pierwszym ... Wraz z obaleniem limes tempori, w każdej epoce rozmnożyli się przybysze z przyszłości: agenci, szperacze, ciekawscy, uczeni, badacze i przestępcy... Ale czy mogę o tym powiedzieć, gdy wrócę w trzydziesty pierwszy wiek? Czy mogę o tym wspomnieć w GALPOL-u szefowi i specjalnej komisji badającej sprawę Kilyosa, która wezwie mnie jako świadka? Coraz bardziej byłem pewien, że powinienem milczeć. Głównie dlatego, że otrzymaliśmy pomoc. Możliwe, że sukces naszej akcji był wynikiem tej szczęśliwej interwencji. Gdyby szef się dowiedział, że udało się nam przywieźć Kilyosa z powrotem, jedynie dzięki pomocy technicznej pochodzącej z dalekiej przyszłości...

Właściciele błękitnej kuli pilnują historii. Tej historii, której organicznym elementem jest także nasza wyprawa w czasie. W bliskiej i dalekiej przyszłości, możliwe, że jeszcze za mojego życia i później – udana akcja Roya Mediny i Baraxa zostanie zapisana w rocznikach, w kryształach pamięci, w policyjnych pracach historycznych. Zamiary i dzieje Lippa Kilyosa będą wykładane w przyszłych szkołach, jako odstraszający przykład. Ta podróż stała się częścią przeszłości, której nie wolno zmieniać. Dlatego ludzie dalekiej przyszłości pilnowali, by nasze przedsięwzięcie zakończyło się sukcesem. Być może byli z nami, niewidzialni, w czasie całej operacji. W Lorii, Bolivar, na południowej autostradzie, w willi na ulicy Algeciras, w więzieniu, w pałacu ...

Mgła się rozproszyła. Niebieskosrebrny, lśniący blask zniknął, nie pozostał po nim ślad.

*

Łazik stał na jezdni. Błękitna kula rozwiała się. Znowu czułem na twarzy żar słońca. Powoli się poruszyłem. Najpierw spojrzałem na Kilyosa. Już nie bełkotał – niewidzącymi oczami wpatrywał się przed siebie. Jego twarz wyrażała obojętność.

Barax nagle ożył.

– Roy?

– Tak? – starałem się mówić jak najbardziej naturalnym tonem i nie myśleć o minionej przygodzie. Tego tylko brakowało, żeby Barax dowiedział się o tym, czego nawet ludzie nie mogliby przyjąć ze spokojem.

Rozejrzałem się. Droga była pusta. Jednakże ślady gąsienic i kół samochodów, odciśnięte na polu, zdradzały, że niedawno przejeżdżało tedy wojsko ... Wiatr kołysał łodygami roślin, nad nimi przelatywały ptaki. Okolica była taka spokojna...

– Dobrze mi z tobą, Roy – powiedziała ledwo słyszalnym szeptem. Kochałem ją. Było mi z nią cudownie. Delikatnie ją pocałowałem i znowu poczułem w mózgu wibrujący sygnał. No oczywiście, Barax.

– Zaraz wrócę, kochanie.

– Pospiesz się – szepnęła Flora.

*

Barax zaparkował wóz w pobliżu bramy, żeby mieć na oku wejście.

– Masz wspaniałą zdolność do przeszkadzania w „najlepszych momentach" – usiadłem koło niego.

– I tak byłem bardzo delikatny, bo przecież zaczekałem, aż zakończysz swoje gimnastyczne pokazy – odpowiedział uszczypliwie.

– Tak to nazywasz? Jasne, zapomniałem, że słowa „miłość", „seks", „uczucie", „przyjaźń" brzmią dla ciebie zupełnie pusto.

– Przyjaźń nie! – odpowiedział nieoczekiwanie, lecz nie spojrzał na mnie.

W jego głosie było coś, co nie pozwoliło mi teraz z niego zakpić. Biedny, poczciwy Barax, on także nie był w łatwej sytuacji. Jest całkiem sam na świecie – niezależnie od czasu i miejsca, lub wręcz na przekór nim. Nie dziwiłem się, że nawet siedząc w samochodzie dokładnie wie, co robimy w domu. Mógł widzieć przez cieńsze ściany. Po drugie zaś dzięki swemu wyposażeniu mógł bez przerwy obserwować moje podstawowe funkcje życiowe: działanie serca i mózgu, ciśnienie krwi i oddech. Często zapominałem już, że w czasie naszych wspólnych wypraw mam przy sobie superszpiega, który może wiedzieć, i wie o mnie więcej, niż cały zastęp lekarz, psychiatrów i zwierzchników.

– Dlaczego mnie wołałeś?

– Popatrz – położył przede mną gazetę. Była otwarta na jedenastej stronie. – W pozostałych jest ten sam artykuł.

To, co Barax nazwał „artykułem" było zwyczajnym listem gończym. Władze poszukiwały Lorenza. Jego rysopis był zadziwiająco dokładny.

Przejrzałem gazety, lecz nie znalazłem w nich nic więcej. Nas nie poszukiwano. Mogłem to zrozumieć jako pośredni komunikat od Negadesa, sądzę że w tego typu sprawach o charakterze politycznym decyzje należały do niego. Pułkownik z pewnością załatwił, by nas dalej nie poszukiwano, lecz oczywiście dyktatura nie oszczędziła Lorenza. Sądzę, że jeżeli go złapią, skażą go na śmierć. Niezależnie od tego kto w danej chwili będzie dyktatorem. Wszak Front Ludowy jest śmiertelnym wrogiem każdej dyktatury...

Postanowiliśmy nie wracać już do mieszkania w mieście. Lepiej zachować ostrożność.

*

– Wrócę wieczorem – obiecałem Florze.

– Będę czekać – odpowiedziała.

*

Droga do portu zabrała nam czterdzieści minut. Była już godzina szczytu. Zapadł zmierzch. Zatrzymałem samochód w wąskiej uliczce koło restauracji. Barax znał swoje zadanie, usadowił się tak, żeby widzieć mały budynek.

Przed wejściem stało kilka osób. Czuć było od nich alkohol. Przekraczając próg nie odbierałem żadnego sygnału niebezpieczeństwa. Rosły bufetowy podniósł wzrok. Poza nim nikt w zadymionym pomieszczeniu nie zwrócił na mnie uwagi. Gwar niemal uderzał o sufit.

– Dobry wieczór panu – powiedział bufetowy. Był to sprzyjający znak. Do tej pory to konspirujące towarzystwo nie przepadało za mną, najlepiej mogłem to zauważyć po zachowaniu ich strażnika na parterze.

– Dobry wieczór. Czy mogę wejść na górę?

– Oczywiście, proszę pana.

Na górze czekał na mnie Lopez. Jego pomarszczoną twarz rozjaśnił uśmiech.

– Witam, panie Medina.

– Dobry wieczór, panie profesorze.

Sposób, w jaki go przywitałem, skwitował drobnym grymasem zadowolenia i wprowadził mnie do małego pokoju. W żółtym kręgu światła rzucanego przez stołową lampę siedziały dwie osoby: Lorenzo i Estrella.

– Salud, amigo! – ucieszył się młody człowiek i potrząsnął moją dłonią. Przyjął moją radę i zgolił brodę. Wyglądał przez to dużo młodziej, niemal jak nastolatek. Jeżeli w ogóle odważy się teraz stąd wyjść, policyjne szpicle zapewne nie poznają go na ulicy. Nie wspomniałem o liście gończym, zapewne o nim wiedział.

Na długich, czarnych włosach Estrelli zamigotał promień światła. Znajoma para oczu uśmiechała się do mnie z ciemnej twarzy:

– Dobry wieczór, señor Medina.

Usiedliśmy wokół stołu. Wyczekująco spojrzałem na Lopeza, który spoważniał:

– No więc rozmawiałem o interesującej nas sprawie z kolegami z kierownictwa. Szczerze mówiąc, nie ufają panu, panie Medina. Uważają pana za zagranicznego awanturnika, który łowi tu ryby w mętnej wodzie i w najlepszym wypadku chce wykorzystać nasz ruch. Ale są i tacy, którzy podejrzewają pana i pańskiego przyjaciela o to, że jesteście na usługach reżimu Ramireza...

Milczałem. Lopez ciągnął dalej.

– Powtarzam jedynie ich argumenty... Argumenty większości. Oni nie wierzą nawet w to, że panowie rzeczywiście planujecie zamach na Ramizera. Tak więc kierownictwo uważa, że dalsze kontakty z wami są zbędne, a nawet niebezpieczne.

Zapadła ciężka cisza. Estrella odwróciła głowę. Nie spodziewałem się tego, zwłaszcza po serdecznym przywitaniu, jakie mnie przed chwilą spotkało. Lorenzo zgadzał się ze mną i wściekał się w duchu. Lopez z zatroskaniem patrzył przed siebie. Wreszcie Lorenzo wstał:

– Głupcy! Nie widzieli tego, co ja! Roy i jego towarzysz są zdolni do rzeczy, o których my nie możemy nawet marzyć! Ja im wierzę!

Wpadłem na pewien pomysł. Opanowałem złość i chłodno powiedziałem:

– Panie profesorze, tym razem pańskie kierownictwo się myli. Niezależnie od tego zamach nastąpi i prezydent Ramirez zniknie ze sceny politycznej. Według wszelkiego prawdopodobieństwa władzę przejmie pułkownik Negades, szef tajnej policji. Nie pytajcie, skąd to wiem. Istotne jest tylko to, że wiem... Ale jeżeli wy schowacie głowy w piasek, to tylko na tym stracicie. Wydarzenie to zaskoczy wasz ruch i nie będziecie potrafili należycie wykorzystać zachodzących zmian. Co więcej, możecie się znaleźć w niekorzystnej sytuacji...

– Chwileczkę! – przerwał Lopez. – Przekazałem panu kolektywną opinię kierownictwa. Jednakże w ruchu wyzwoleńczym jest jedno bojowe skrzydło... Od dawna już wiem, że słowami nie da się pokonać dyktatury. Cokolwiek nie mówiłby Jezus czy Gandhi, w obliczu przemocy jedynie przemoc może doprowadzić do sukcesu. Naszym celem jest rewolucja – a czy historia widziała bardziej brutalne akty niż rewolucje?... A zatem ja panu wierzę, Medina. Wierzę nawet w to, że przygotowujecie zamach. Jeżeli będzie on udany, a my w porę się o tym dowiemy, to wtedy górskie oddziały partyzantki będą mogły niejedno zrobić, nie mówiąc już o partyzantce miejskiej, która jest w zasięgu ręki i czeka na polecenia. Może i wam przyda się fakt, że w minucie, w której dokonacie zamachu, w stolicy i zapewne w wielu innych miejscach kraju możecie się spodziewać zaburzeń i rozruchów.

– Jeżeli tak, to sytuacja wygląda całkiem inaczej – spojrzałem na zegarek. – Słuchajcie uważnie, bo nie będę powtarzać. Nasunął mi się pewien pomysł. Żebyście uwierzyli, że naprawdę dokonamy zamachu, zaproszę Estrellę i Lorenza, żeby byli świadkami tego wydarzenia.

– Co takiego? – zdziwili się wszyscy troje.

– Dobrze słyszeliście. Lorenzo! Ty i Estrella jutro o szóstej przyjedźcie samochodem na podjazd dużego parkingu na Avenida de la Paz. Bo zamach – zwróciłem się do profesora – nastąpi jutro przed południem, panie Lopez. Mam nadzieję, że nie podzieli się pan tą wiadomością ze swoim kierownictwem. Sprawa, o której wie zbyt dużo osób, przestaje być tajemnicą. Bezpośrednio po zamachu Lorenzo zawiadomi pana i będziecie mogli wkroczyć do akcji. Nie wątpię – i mam nadzieję – że jeszcze dziś w nocy zaalarmuje pan swoich ludzi, panie profesorze. Jutro przed południem w aparacie państwowym nastąpi olbrzymie zamieszanie. Generałowie będą podejrzewać policję o zamordowanie Ramireza, zaś pozostali ministrowie i ich zwolennicy będą przypuszczać, że to wojskowy pucz. W tym czasie – jak już wspomniałem – pułkownik Negades zagarnie władzę. Przynajmniej na parę godzin lub na dwa-trzy dni. Zepchnąć go z tej niezwykle chwiejnej pozycji będzie już waszym zadaniem, panie profesorze.

pocieszało mnie jedynie to, że jego silne palce zaciskają się na nadgarstku Kilyosa. Barax, patrząc w pustkę, siedział sztywno na tylnym fotelu.

Z Kilyosem też się działo coś dziwnego. Wyglądało na to, że nadal jest półprzytomny. Niewyraźnym, cienkim głosem nucił coś, w czym z przerażeniem rozpoznałem bełkotliwą, dziecięcą piosenkę z trzydziestego pierwszego wieku ...

Bałem się. Wszystko wskazywało na to, że padliśmy ofiarą wrogiej działalności. Doszedłem do wniosku, że ograniczono naszą swobodę poruszania i że może znaleźliśmy się w innym punkcie przestrzeni. Nie wiedziałem, jaki był tego cel. Jednakże ci, którzy zrobili to bez naszej zgody i wcześniejszego uprzedzenia, na pewno mają wrogie zamiary ... Jednak parę rzeczy mnie zastanowiło. W ułamku sekundy pojąłem, że to co się z nami dzieje jest technicznie niewykonalne w dwudziestym wieku. Stworzenie takiej kuli i wytworzenie w niej stanu półnieważkości, a przede wszystkim wyłączenie Baraxa. Co więcej, jest to niewykonalne nawet w trzydziestym pierwszym wieku!..

*

Usłyszałem głos. Może rozbrzmiewał w kuli, a może w moim mózgu – nie wiedziałem tego. Możliwe nawet, że go nie słyszałem, a tylko czułem w swojej świadomości.

– NIE BÓJ SIĘ, ROY!

A więc mieli dwie podstawowe informacje i nie kryli tego. Wiedzieli, że się boję i że nazywam się Roy.

Na razie nie odpowiadałem, szczerze mówiąc nie wiedziałem, jak to zrobić. Ale „tamci" na pewno dobrze wiedzieli w jakim stanie ducha jestem, a nawet... czytali w moich myślach jak w książce:

NIE BÓJ SIĘ, ROY! – powtórzył głos. Odniosłem wrażenie, że należy on do kobiety.

– POMAGAMY WAM – odebrałem kolejny komunikat.

– JAK? – zapytałem. Tak jak przypuszczałem pytanie wystarczyło zadać w myśli. Skoncentrowałem się, żeby inne myśli nie zakłóciły tego, co chcę powiedzieć. Silne uczucia, na przykład lęk graniczący ze strachem mogłyby zakłócić emisję.

– PRZESUWAMY CIĘ W CZASIE DO PRZODU!

– BEZ ... APARATURY? – zapytałem. Nagle zrobiło mi się bardzo gorąco, domyślałem się już jaka będzie odpowiedź.

– PRZEKSZTAŁCILIŚMY WOKÓŁ WAS SAMĄ PRZESTRZEŃ ...

– NA ILE? – zadałem następne pytanie.

– NA TYLE, ILE BĘDZIE TRZEBA! PRZEZ TEN TEREN PRZEJEŻDŻA WIELU ŻOŁNIERZY!

– KIM JESTEŚCIE?

– LUDŹMI, ROY. TAKIMI, JAK TY. ALE ... Z PRZYSZŁOŚCI.

– Z TRZYDZIESTEGO PIERWSZEGO WIEKU?

– NIE. ZE ZNACZNIE DALSZEJ PRZYSZŁOŚCI, ROY!

W głowie mi szumiało. Możliwe, że kula została wytworzona przy pomocy jakiegoś promieniowania, które męczyło mózg. Ale nie chciałem skończyć tak jak Kilyos, który dziecinnie gaworzył i utracił chyba wszelki kontakt z rzeczywistością... Głęboko odetchnąłem i znowu się skupiłem:

– DLACZEGO NAM POMAGACIE?

– MUSIMY PILNOWAĆ PRZESZŁOŚCI, ROY. MAMY TAKIE SAMO ZADANIE, JAK TY. WALCZYMY PRZECIWKO ŁAMIĄCYM CZAS! JEŻELI NIE UDA SIĘ WAM TERAZ WRÓCIĆ W WASZĄ PRZYSZŁOŚĆ, TO LIPP KILYOS MOŻE SPOWODOWAĆ POWAŻNE KŁOPOTY! ZAMIERZAŁ DOKONAĆ POWAŻNEGO ZŁAMANIA CZASU...

– WY TEŻ JESTEŚCIE INSPEKTORAMI CZASU?

– MOŻNA TO I TAK NAZWAĆ. OTRZYMALIŚMY ROZKAZ, BY ZA WSZELKĄ CENĘ ZAPEWNIĆ WAM BEZPIECZNY POWRÓT W TRZYDZIESTY PIERWSZY WIEK.

– A JEŻELI MIMO WSZYSTKO SIĘ NIE UDA?

– MUSI SIĘ UDAĆ. JEŻELI ZAJDZIE POTRZEBA, OTRZYMAMY Z NASZEGO CZASU DALSZĄ POMOC. KAŻDA EPOKA WALCZY PRZECIWKO ŁAMANIU CZASU! ŁAŃCUCH LUDZI SIĘGA JUŻ W NIESKOŃCZONOŚĆ, ROY.

Ta droga nie była połączona z autostradą, dostaliśmy się na wąską, starą szosę. Pomiędzy niskimi, brzydkimi domami błysnęła tablica: San Fernando 26 km.

– Zdejmijmy wojskowe kurtki – poradził Barax i miał rację. Kilyos na pół oprzytomniał lecz z wyrazu jego twarzy widziałem, że nie rozumie sytuacji. Barax trzymał go za ramię w stalowym uścisku. Wojskową kurtkę położyłem na kolanach – możliwe, że jeszcze będzie potrzebna... Prowadziłem samochód, mając w zasięgu ręki promienny pistolet.

Podmiejska dzielnica stopniowo ustąpiła miejsca slumsom. Na skrzyżowaniach gromadziły się mniejsze i większe grupy ludzi, głównie obdartych mężczyzn. Przy studniach stały w kolejkach kobiety z kolorowymi, plastykowymi wiadrami. Dzieci przyjaźnie machały do nas, może sądziły, że także jesteśmy partyzantami. Pomachałem im również. Wyjechaliśmy na skraj miasta.

„San Fernando 22 km" – głosiła kolejna tablica. Zbliżała się już godzina jedenasta. Gurow przekroczy limes tempori z dokładnością do dziesiątej części sekundy, lepiej więc przyjechać wcześniej niż spóźnić się o choćby parę minut...

Nie wiedziałem, jak dziwna przygoda nas jeszcze czeka.

*

Pustą szosą pędziliśmy na południowy wschód i zacząłem się już cieszyć, że bez kłopotów dotrzemy do celu. Słońce prażyło bezlitośnie, powietrze było rozpalone. W oddali niebieskawo majaczyły góry, samochód z jednostajnym warkotem silnika „pożerał kilometry" – jak tu i teraz mawiają – gdy nagle za zakrętem... ujrzałem czołgi.

Wdusiłem hamulec. Niezgrabne, pomalowane na ciemnozielony kolor stalowe mamuty jechały szeroką tyralierą przez pole. Dudniąc, wydmuchując niebieskawy dym zbliżała się setka czołgów. Pomiędzy nimi sunęły pstrokate samochody pancerne podgarniając pod siebie spaloną słońcem suchą trawę.

– To chyba oddziały generała Castellano ciągną na stolicę – szybko powiedział Barax. Jego mózg natychmiast przeanalizował dane i możliwe warianty postępowania.

Żaden z nich nie gwarantował pewnego sukcesu, wyjścia z potrzasku. Wojsko było coraz bliżej. Oficerowie z pewnością dobrze już nas widzieli przez lornetki, być może nastawiano już na nasz samochód celowniki... Z obu stron płaskie pole, żadnej szansy ucieczki...

Ogarnęła mnie bezsilna wściekłość. Mamy przegrać teraz, stojąc o krok od celu? Głupio wpadliśmy w przypadkową pułapkę wprowadzając w nią ze sobą Kilyosa. Z jego powodu ucieczka będzie jeszcze trudniejsza lub wręcz niemożliwa...

Za cenę ogromnego wysiłku, przy pomocy broni promiennej lub dezintegratora możemy się przebić przez tę armię – ale w ten sposób dokonamy złamania czasu. W domu, w trzydziestym pierwszym wieku surowo nas za to ukarzą. Nie miałem najmniejszej ochoty na spędzenie piętnastu-dwudziestu lat na bezludnej wyspie – i to w dodatku w towarzystwie Kilyosa skazanego za to samo. Zagryzłem wargi i mruczałem chyba jakieś dwudziestowieczne przekleństwa, gdy...

*

... Nasunął się na nas przezroczysty, niebieski klosz. Był jasnobłękitnosrebrny. Z zewnątrz przedzierał się przezeń matowy blask, lecz nie dało się dostrzec pojedynczych promieni. Możliwe jednak, że światło to nie docierało z zewnątrz, lecz było wydzielane przez powłokę kuli. Nie wiem dlaczego, ale miałem uczucie, że nikt z zewnątrz nie może zajrzeć do środka...

Spojrzałem w dół. Szary asfalt zniknął – tam także dostrzegłem powłokę niebieskosrebrnej kuli. Wyglądało jakby koła łazika płynęły w powietrzu. Ciężar mojego ciała zauważalnie się zmniejszył, wyciągnąłem stąd wniosek, że jednocześnie zmieniła się siła przyciągania. Czułem się lekki. To zjawisko bardzo mnie zaniepokoiło. Co to może być?... Mój niepokój zwiększył się, gdy spojrzałem na Baraxa. Jego obecny bezruch różnił się od tego, który go zazwyczaj charakteryzował. Tylko ja mogłem to spostrzec. Znikły drobne sygnały, które dotychczas nieustannie odbierałem w moim mózgu dzięki „specjalnemu kontaktowi", który w czasie naszych wspólnych ekspedycji przekazywał mi tyle przydatnych informacji.

Wyłączyli Baraxa! – zrozumiałem w nagłym olśnieniu. Mój towarzysz w mgnieniu oka stał się martwy, choć, co prawda, nie w zwykłym znaczeniu tego słowa. Był niezdolny do działania: w tej chwili

– Potrafi pan przepowiadać przyszłość – zdumiał się Lopez.

– Nie – uśmiechnąłem się. – Gdybym znał przyszłość, dziś wieczór już bym tu nie przyszedł. Nie przypuszczałem nawet, że Front mi nie ufa...

– Jak w każdym ruchu rewolucyjnym, także i tutaj konkurują ze sobą różne kierunki – wytłumaczył profesor, po czym zamilkł. Widziałem po jego twarzy, że nie ma ochoty na wyjawianie wewnętrznych sekretów bawiącemu tu przelotnie cudzoziemcowi.

– Rano będziemy na miejscu – obiecała Estrella. Lorenzo odprowadził mnie do schodów:

– Ja ci wierzę, Roy.

– W porządku – odpowiedziałem, choć wciąż jeszcze czułem w ustach gorzki smak. Powoli przeszedłem przez restaurację i wyszedłem na ulicę. Wciągnąłem śmierdzące rybami powietrze. Z daleka dostrzegłem Baraxa. Wiedziałem, że w tym obcym świecie naprawdę mogę liczyć tylko na niego.

*

Noc spędziliśmy u Flory. Liczby mnogiej nie należy rozumieć dosłownie: Baraxa umieściliśmy w małym budyneczku w ogrodzie, w domku wyglądającym na idealną kryjówkę. Stał dość daleko zarówno od willi jak i od ulicy. Otaczały go wysokie drzewa i gęste krzaki. Co prawda umeblowanie było bardzo skromne, ale to Baraxowi nie przeszkadzało. Domek miał też piwnicę, bez okna, w której poprzedni właściciel willi urządził warsztat. Nawet kamerdyner rzadko tu zaglądał, co wywnioskowaliśmy z cienkiej warstwy kurzu, która pokrywała meble. Barax spędził w domku noc i nie skarżył się na brak łazienki. I tak jej nie potrzebuje.

Flora była wspaniałą kobietą. Przygnębiała mnie jednak świadomość, że w przyszłości musimy się rozstać. Odkrywaliśmy się wzajemnie. Flora była bardziej złożoną osobowością niż to sądziłem na początku. Myślałem, że jest rozpieszczoną, bogatą, nudzącą się kobietą. Teraz zrozumiałem, że jest jedną z ofiar swej epoki: goniący za pieniędzmi rodzice wydali ją za mąż za dyplomatę, którego nie kochała. Skłamałbym jednak, gdybym powiedział, że nie lubiła wygodnie żyć. Wszyscy lubimy. Przyszło mi do głowy, że w trzydziestym pierwszym wieku mógłbym jej zapewnić znacznie większy, choć bardziej powszedni luksus...

Rano, gdy wysuwałem się z jej objęć, obudziła się. Obróciła się na drugi bok, wysunęła spod kołdry piękne, białe udo.

– Gdzie idziesz tak wcześnie – wymruczała w półśnie. Właśnie wschodziło słońce.

– Na lotnisko, kochanie. Przyjeżdża pewien bogaty kontrahent, wyjeżdżam po niego – zanim zdążyła odpowiedzieć, pocałowałem ją. Później tylko się uśmiechnęła i z tym uśmiechem na twarzy zasnęła jak dziecko. Szybko ubrałem się.

Barax czekał w samochodzie.

– Cześć Barax!

– Salud, amigo! – odpowiedział. Gdy wyjeżdżaliśmy na ulicę, zerknąłem na niego z boku. Czułem, że jest w dobrym nastroju.

– Z czego się cieszysz?

– Z tego, że wreszcie naprawdę zaczynamy operację.

– Sądzisz, że do tej pory jedynie się zabawialiśmy?

– Ja się nie zabawiałem – powiedział obłudnik. – Czy Flora będzie miała z tobą dziecko?

– Mam nadzieję, że nie! – wyrwało mi się.

– No to po co spędziłeś z nią całą noc? – zapytał.

– To się nie mieści w głowie! Nieraz potrafisz zadawać takie pytania, że mam ochotę wleźć na ścianę – wybuchnąłem.

– Pomysłowe powiedzenie – przyznał. Prowadził szybko i jechaliśmy już przez nieomal bezludne o tej porze ulice śródmieścia. – Ale odpowiedź nie była zadowalająca.

– Mówisz jak komputer.

– Zapominasz, że ja jestem również komputerem – powiedział i zręcznie skręcił na Avenida de la Paz. Ja zaś pomyślałem o tym, co by było, gdyby Flora naprawdę urodziła dziecko – moje? Po plecach przebiegł mi dreszcz. Byłby to szczególny rodzaj złamania czasu, za który – nie wątpię w to – GALPOL i kompetentne władze surowo by mnie ukarały. I miałyby rację – wystarczy tylko pomyśleć, że w ten

sposób zapoczątkowałbym nową linię genetyczną. I po tysiącu lat – w trzydziestym pierwszym wieku – spora liczba moich potomków żyłaby rozsiana po całym świecie, a nawet ewentualnie sam mógłbym być własnym potomkiem... Brrr!

Ruch był mały, lecz na rogach stało już wiele samochodów policyjnych. Z kilku ciężarówek zeskakiwali funkcjonariusze w białych hełmach. A więc Negades powiedział prawdę: wkrótce ustawią kordon.

Na końcu ulicy, obok dużego parkingu dostrzegliśmy Lorenza i Estrellę, siedzących w rudobrązowym samochodzie. Sam nie wiem dlaczego, ale ucieszyłem się widząc ich.

Wyjechaliśmy z miasta. Na jednym ze wzgórz zauważyłem rząd niewiarygodnie małych i brudnych domków z drewna i blachy. Poprzedniego dnia uszły mojej uwagi. Niestety tym razem i Barax je zauważył:

– Co to?

– Slumsy – odpowiedziałem. Bałem się lawiny pytań Baraxa: „Dlaczego ci ludzie tam mieszkają? Dlaczego nie przeprowadzą się do ładnych, miejskich domów?" – i tak dalej. Jednakże mój towarzysz znowu mnie zadziwił:

– Profesor Lopez i partyzanci walczą o to, żeby ci biedacy też mogli przyzwoicie żyć?

– Właśnie! – zachwyciłem się. – Jak na to wpadłeś?

– Dedukcja – powiedział wymijająco.

Wkrótce dotarliśmy do gór okalających południową autostradę. Przejechaliśmy przez tunele, skręciliśmy w wybraną poprzedniego dnia boczną drogę i wjechaliśmy w góry. Słońce już wzeszło i powietrze zrobiło się cieplejsze. Niebo było czyste – zapowiadał się ładny dzień. Był dwudziesty dziewiąty maja 1992 roku.

Po osiągnięciu szczytu góry, dojechaliśmy do miejsca, gdzie urwisko skalne, niczym lej krateru, opadało pomiędzy dwoma tunelami wijącej się pod nimi autostrady. Brązowy samochód zatrzymał się za nami.

– Dzień dobry! – powiedziała Estrella. Nie była pięknością, ot taka, jak dziesięć tysięcy innych w mieście. Jednakże jej twarz i spojrzenie były znacznie milsze. I kochała Lorenza – tego nie dało się nie zauważyć. W pobliżu niego niemal rozkwitała. Estrella żyła miłością – gotowa była narazić się na każde niebezpieczeństwo, byleby tylko mogła przebywać obok Lorenza. Z jego powodu była w konspiracji, we Froncie i dlatego jej również stale zagrażało niebezpieczeństwo. Tak, to mi się podobało. W trzydziestym pierwszym wieku już prawie nie ma prawdziwych niebezpieczeństw, więc i kobieca miłość stała się inna ...

Nie miałem jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Nie wyjawiałem jeszcze naszych planów. Przez chwilę podziwialiśmy panoramę, po czym Barax schował się w krzakach na skraju urwiska, zaś my zjechaliśmy wąską, asfaltową drogą w stronę autostrady. W pobliżu wyjścia drugiego tunelu, za zboczem wzgórza, wprowadziliśmy samochody tyłem w krzaki. Lorenzo i ja narwaliśmy świeżych zielonych gałęzi i przykryliśmy nimi dachy samochodów. Domyślałem się, że przed przejazdem konwoju z prezydentem, osoby odpowiadające za bezpieczeństwo skontrolują trasę z powietrza... Nie myliłem się. Po wpół do ósmej zahuczał helikopter – zbliżał się od strony miasta. Wszyscy troje schowaliśmy się; metalowa ważka odleciała. Do godziny dziewiątej wróciła jeszcze dwukrotnie, z hukiem przelatywała nad drogą, na której ruch stawał się coraz mniejszy. Z pewnością samochody cywilne skierowano w inną stronę. Później przemknęły samochody policyjne. Jeden z nich przystanął przy wjeździe do tunelu, wysiadło z niego czterech funkcjonariuszy.

– Ułatwili mi sprawę – cicho powiedziałem do Lorenza.

Policjanci w istocie mimowolnie ułatwili zamach: ich samochód stał na skraju drogi. Tak więc do zablokowania wjazdu do tunelu nie musiałem używać własnego wozu. Obserwowałem powoli przesuwającą się wskazówkę zegarka. Była godzina dziewiąta dwadzieścia dwie. Jeżeli pułkownik Negades nie kłamał, orszak samochodów prezydenta jest już w drodze. Teraz przejeżdżają zapewne przez Avenida de la Paz...

– Barax? – odezwałem się do małego mikrofonu wpiętego w kołnierz.

– Jestem gotowy – usłyszałem lakoniczną odpowiedź. Lorenzo i Estrella spojrzeli na siebie. Nie zwra-

– Załatwione. Za piętnaście minut będziemy mogli spokojnie wyjechać. Motłoch splądruje pałac...

Jedną z wojskowych kurtek założyliśmy na Kilyosa, zaś z bandaża zrobiłem na jego głowie olbrzymi turban zakrywający twarz, tak jakby otrzymał postrzał w oko. Teraz nikt go już nie mógł rozpoznać, wyglądał na rannego żołnierza. Popędzani przez podporucznika także zmieniliśmy marynarki na wojskowe kurtki.

Gdy byliśmy na parterze, jakiś sierżant zapytał:

– Panie poruczniku, oddajemy obiekt?

– Otrzymaliśmy taki rozkaz – odpowiedział Reyes i zacisnął dłoń w pięść.

Na dziedzińcu pałacu żołnierze wskakiwali do ciężarówek. Jako ostatni z kuchni wybiegł kucharz wraz z pomocnikiem. Każdy z nich dźwigał okrwawioną połówkę barana. Reyes sam prowadził łazik. Barax na tylnym siedzeniu podtrzymywał „rannego żołnierza", zaś ja siedziałem koło porucznika.

– Jedziemy!

Przodem ruszyła ciężarówka, za nią my. Pozostałe dwie ciężarówki szybko się do nas przyłączyły. Unosząc się na siedzeniu jeszcze raz spojrzałem za siebie. Tłum niczym zastęp czarnych mrówek otoczył biały budynek podobny do hiszpańskiego tortu.

Wygląd innych dzielnic miasta nie był bardziej pocieszający. Gdziekolwiek przejeżdżaliśmy, wszędzie widzieliśmy dymiące, wypalone samochody, powywracane ławki i pojemniki na śmieci. Wystawy wielu sklepów były rozbite, na skrzyżowaniu leżał martwy cywil: jego twarz przykryto gazetą.

– Jedźmy na południowy wschód! – krzyknąłem do podporucznika. – Pan prezydent musi się dostać na drogę prowadzącą w kierunku San Fernando!

Reyes skinął jedynie głową i wyprzedzając ciężarówkę znalazł się na czele konwoju.

Zegary pokazywały godzinę dziesiątą minut czternaście.

★

Pędziliśmy przez znaną już Avenida de la Paz. Pomyślałem o niedorzeczności sytuacji – z wojskową eskortą wiozę Lippa Kilyosa na miejsce wkroczenia... Moi koledzy z GALPOL-u, którzy wyprawiali się w inne stulecia, nie wykonywali chyba tak zuchwałych pociągnięć (tak nazywano w dwudziestym wieku tego rodzaju brawurowe przedsięwzięcia)... Oczywiście nie miałem wielu powodów do dumy, bo nasz los wciąż jeszcze był niepewny. U wylotów bocznych ulic wznosiły się barykady, czasami ciszę przerywał bezlitosny huk kanonady. W dodatku Kilyos zaczynał się budzić i powiedział kilka słów w naszym języku... Na szczęście warkot samochodu zagłuszył jego głos. Barax był przygotowany, by w razie konieczności „uśpić" historyka nową dawką promieni.

Zanim dotarliśmy do rozgałęzienia drogi na południu miasta, na jezdni przed nami pojawiły się pościągane tu ciężarówki i zdezelowane autobusy. Nad nimi łopotały sztandary, półnadzy mężczyźni wznosili w górę karabiny... Reyes gwałtownie zahamował. Ciężarówki także się zatrzymały. Na szerokiej, otwartej ulicy nie mieliśmy się gdzie schować. Duże samochody stanowiły dla powstańców wspaniały cel...

– Kryć się! – wrzasnął podporucznik. Nie bardzo rozumiałem, co chce zrobić. Pierwsza seria przeszła nam nad głowami... Ci rewolucjoniści, na których teraz trafiliśmy, nie wiedzieli o umowie zawartej z tłumem oblegającym pałac. Wiedzieli jedynie, że nadciągają żołnierze reżimu.

Oba oddziały z zapałem przygotowywały się do starcia. Cywile dotarli do miasta przed chwilą, była to chyba ich pierwsza potyczka z wojskami rządowymi. Zaś po ludziach Reyesa widać było, że chcą się teraz zemścić na partyzantach za uprzednią haniebną ucieczkę.

Sytuacja ta nie wróżyła nam nic dobrego. Przez parę sekund naradzaliśmy się z Baraxem bez słów. „Zrywamy się". Sprawę ułatwiał fakt, że Reyes wyskoczył z łazika i wydawał rozkazy swoim żołnierzom, którzy zajęli stanowiska ogniowe za ciężarówkami. Ostro zaterkotała broń...

Przesiadłem się na miejsce podporucznika i dodałem gazu. W dzikim tempie pognaliśmy z powrotem. Nad naszymi głowami przeleciało kilka pocisków, z przydrożnych drzew posypały się połamane gałęzie. Bramy domów były puste, nie widać było żadnego ruchu. Z piskiem opon skręciłem w jedną z bocznych ulic. Później w inną. Wkrótce jechaliśmy na południe równolegle do Avenida de la Paz. Nawet poprzez warkot silnika słyszałem huk broni.

Zapadła pełna zdumienia cisza, a później:
- Medina?... To niemożliwe, przecież go rozstrzelano...
- Pan jeszcze wierzy takim typom jak Negades? Nie dzwonię przecież z tamtego świata.

Oficer z wolna przychodził do siebie.
- A więc pan żyje?...
- Niech się pan o tym przekona. Jestem tu, na ostatnim piętrze. I znajdzie pan tu jeszcze kogoś, kto.. No, zobaczy pan sam.

Odłożyłem słuchawkę. Spoglądając na naszego więźnia pomyślałem, jakie wrażenie odniesie Reyes, gdy go zobaczy w tym stanie...
- Barax, połóż Kilyosa do łóżka - powiedziałem szybko. W samą porę, bo na stole Kilyosa odezwały się małe elektryczne brzęczyki.
- Sygnalizatory czujników umieszczonych na klatce schodowej - powiedziałem. - Ale, Barax, jak ty przeszedłeś między nimi niezauważony?
- To drobnostka - odpowiedział. - Bioczujniki reagują tylko na promieniowanie charakterystyczne dla ludzkiego organizmu.

Podporucznik Reyes wpadł do pomieszczenia. W jego ciemnych oczach kryły się zatroskanie i ciekawość, ruchy zdradzały zmęczenie i napięcie:
- Medina, to naprawdę pan?
- Nie jestem duchem, niech pan patrzy!
- Madre de Dios! - zdębiał oficer. - To prezydent Ramirez! Więc i on żyje?
- Tak. Zbiry tego nędznika Negadesa zabiły i wystawiły na widok publiczny sobowtóra prezydenta. Ten tutaj to Gallego Ramirez, nieco oszołomiony. Swego czasu przysięgał mu pan wierność - wskazałem na leżące na łóżku ciało. - Od chwili zamachu ukrywaliśmy go tu przed organizatorami puczu. Podporuczniku Reyes, pana obowiązkiem jest pomóc prezydentowi!
- Tak... oczywiście - jąkał zupełnie nie po wojskowemu. Jego śniada twarz wyrażała bezradność, ale trwało to tylko przez chwilę. Później wyprężył się, wyuczona lojalność wzięła górę. Przelewająca się na zewnątrz rewolucyjna fala była dla niego czymś obcym, a nawet niebezpiecznym. Mógł przez nią stracić swój majątek, status, rangę, a może nawet i życie. Moje rachuby były słuszne - podporucznik opowie się raczej za legalną władzą. W jego mniemaniu rewolucja Frontu i pucz Negadesa były krótkotrwałymi awanturami. Z pewnością liczył na to, że później, kiedy sytuacja unormuje się, Ramirez go nagrodzi. Widział już wiele złotych gwiazdek na swojej kurtce...

Nie wątpiłem, po której stronie stoi Reyes. Kilyos wciąż jeszcze trwał w zamroczeniu. Gotowy do interwencji Barax stał w pobliżu.
- W mieście wybuchła rewolucja - szybko wyjaśnił podporucznik. - Uzbrojeni cywile napadli na koszary i inne budynki o strategicznym znaczeniu. Dookoła stacji radiowej toczą się ciężkie walki.
- Musimy się stąd wycofać!
- Ten tłum zbiera się już od kilku godzin i jest coraz większy - odpowiedział. - Jeżeli przyłączą się do niego również uzbrojeni ludzie, to zaatakują pałac. Mam tylko pięćdziesięciu żołnierzy, jeżeli będę się bronił, to nas wszystkich wyrżną.
- Macie samochody?
- Trzy ciężarówki i jeden łazik.
- To nie walczcie z tłumem. Czy chce pan ryzykować życie prezydenta? - obaj spojrzeliśmy na „Ramireza". Twarz Kilyosa była białą plamą w półmroku. - Niech pan ogłosi, że w zamian za możliwość wycofania się, odda pan ten pałac.

Widziałem, że się waha - ale w tym momencie w pobliżu zaterkotał pistolet maszynowy. Z brzękiem posypały się odłamki szyb, a z sufitu posypały się na nasze głowy kawałki tynku.
- Już wydaję rozkazy - powiedział Reyes, przełykając ślinę.
- Niech pan przyniesie trzy wojskowe kurtki i bandaż.
Spojrzał na mnie nie rozumiejąc, po czym wybiegł. Wkrótce na dole odezwał się głośnik.
Reyes wrócił ze zmierzwionymi włosami:

całem już na nich uwagi. Na czworakach podkradłem się w pobliże drogi. Byłem tak blisko wylotu tunelu, że słyszałem głosy policjantów. Wesoło żartowali, nie przeczuwając niebezpieczeństwa. Wyjąłem broń...

O godzinie dziewiątej minut czterdzieści cztery autostradą przejechał policyjny samochód z włączoną syreną, sygnalizując, że zbliża się konwój. Jednocześnie usłyszałem meldunek Baraxa:
- Roy, są! Z przodu dwa samochody policyjne, dalej jedna. ...dwie ... trzy, cztery czarne Impale. Znowu dwa samochody policyjne i kilka innych wozów ... Ruszam!
- Ja też! - odpowiedziałem. Podniosłem pistolet i wyszedłem spomiędzy krzaków. Policjanci stali zaledwie dwadzieścia metrów ode mnie. Bezgłośnie tryskający strumień promieni objął ich tylko na 0,2 sekundy - funkcjonariusze upadli, podbiegłem do policyjnego samochodu i uruchomiłem silnik. Kiedy stawiałem wóz w poprzek wylotu tunelu, słyszałem już warkot zbliżającego się konwoju... Później zapiszczały hamulce...
„Roy, jestem w tunelu, ruszam za nimi!" - zameldował Barax. Wyobraziłem sobie, jak mój towarzysz skacze z urwiska, dociera do jezdni i zwiększając trzykrotnie swoją szybkość reakcji z niewiarygodną, ponadludzką prędkością pędzi za mknącymi po asfalcie samochodami...

Przyczaiłem się za załomem betonowej ściany. Kierowcy samochodów jadących na początku konwoju zahamowali widząc przeszkodę. Dopiero wtedy wysunąłem wylot pistoletu zza rogu ściany i nacisnąłem guzik. Promień omiótł ciemny tunel - usłyszałem kilka głuchych uderzeń i brzęk szkła. Niektórzy z hamujących kierowców stracili panowanie nad samochodami. Znowu wypuściłem wiązkę promieni - nie bałem się, że trafię biegnącego za nimi Baraxa, jemu promień nie mógł zaszkodzić. Wszystko to nie trwało nawet pół minuty, potem zapadła głucha cisza.
- Chodź, Roy - powiedział Barax. Wkroczyłem w ciemność.

Kiedy oczy przyzwyczaiły mi się do mroku, dostrzegłem stojące w nieładzie samochody. Jeden z nich stał w poprzek drogi, inny miał rozbitą i uniesioną pokrywę silnika oraz roztrzaskane reflektory. Umundurowani i cywilni strażnicy leżeli na siedzeniach - jeden z nich miał zakrwawioną twarz, musiał uderzyć nosem w przednią szybę. Wszyscy żyli, lecz wiedziałem, że odzyskają świadomość dopiero za piętnaście godzin. Czternaście samochodów stojących w półmroku sprawiało dziwne wrażenie.
- Jest tu! - Barax wskazał w stronę jednej z Impali i niczym worek wyciągnął ze środka bezwładne ciało. Odwrócił twarz ofiary w stronę wylotu tunelu.
- To Lipp Kilyos.
- To znaczy pan prezydent Ramirez ...
- Chodźmy.
Barax wziął mężczyznę na ręce jakby tamten był dzieckiem. Bez żadnego wysiłku wyniósł go z tunelu. Weszliśmy między krzaki. Lorenzo i Estrella jak skamieniali patrzyli na nas, a później na ciało mężczyzny w czarnym ubraniu:
- Ramirez! - krzyknęła dziewczyna.
- Zabiliście go? - zapytał Lorenzo ochryple i przez dobrą minutę nie mógł oderwać wzroku od bezwładnego ciała.
- Ależ skąd, stracił jedynie przytomność - powiedziałem szybko. - Estrella, niech pani wsiada do samochodu. Zawiadomi pani Lopeza. Lorenzo, chcesz nam pomóc?
- We wszystkim! - odpowiedział, a oczy zabłysły mu z entuzjazmem. Potrzebowaliśmy kogoś do pilnowania Ramireza-Kilyosa i nie moglibyśmy znaleźć odpowiedniejszej osoby niż Lorenzo.
- Zawieźcie tego faceta do miasta. Barax zna drogę.
- Szum silnika na wysokości dwudziestu dwóch metrów, kierunek jedenaście stopni! - nieoczekiwanie zakomunikował Barax i wepchnął Ramireza do bagażnika naszego samochodu. Lorenzo zatrzasnął pokrywę.
- Helikopter - mruknąłem. Estrella wsiadła już do samochodu, zgarniając z niego uprzednio zielone gałęzie. Barax, jak zwykle ze śmiertelnym spokojem stanął między krzakami. Powoli uniósł prawą rękę.
- Lorenzo, wsiadaj i ty - rozkazałem.
Helikopter leciał nad autostradą w kierunku miasta. Szukał zapewne konwoju... Jeżeli pilot zauważy

samochód policyjny stojący w poprzek wylotu tunelu i leżących tam policjantów natychmiast zamelduje o tym przez radio do bazy...

Sądzę jednak, że nie miał na to czasu. Gdy metalowy kadłub pojawił się nad drzewami, z ręki Baraxa kilkakrotnie, raz za razem, wystrzelił fioletowy, oślepiający promień świetlny. Za każdym razem trafiał w cel - ze względu na wbudowany automatyczny celownik nie mogło być inaczej. Z naszej kryjówki dostrzegliśmy jedynie, że helikopter zaczyna kręcić się bezwładnie wokół własnej osi. Barax trafił w małe śmigło na ogonie maszyny, które równoważy siłę obrotową głównego wirnika. Pilot zmuszony był natychmiast lądować na którymś ze wzgórz.

- Jedziemy!

Najpierw jechał nasz samochód, w nim Barax, Lorenzo i „cenny ładunek". Z tyłu ja prowadziłem brązowy samochód Estrelli. Po piętnastu minutach zbliżyliśmy się do Boliwar. Ruch na ulicach był normalny. Przy następnym skrzyżowaniu oba samochody rozdzieliły się.

- Lorenzowi nie stanie się nic złego? - zapytała Estrella. Przejeżdżaliśmy właśnie obok śródmiejskiego parku. Ruch był już duży. Życie miasta toczyło się normalnie.

- Na pewno nie. Mój kolega będzie na niego uważał - obiecałem.

- Pański towarzysz jest nadzwyczajnym człowiekiem - powiedziała dziewczyna z głębokim przekonaniem w głosie. Poprawiło mi to humor. „Nadzwyczajny człowiek"!

- Señorita! Przystanę przy najbliższym telefonie. Czy jest pani w stanie skontaktować się z profesorem Lopezem?

- Oczywiście.

Przystanąłem na skraju jezdni, po drugiej stronie parku. Estrella weszła do pomalowanej na czerwono budki. Przez przezroczystą ścianę ze sztucznego tworzywa widziałem, jak rozmawia żywo gestykulując.

Estrella wróciła uradowana.

- Oddziały ruszyły!

- Jakie oddziały?

- No, przecież partyzanci! W górach. Profesor Lopez zaalarmował ich w nocy. Jeszcze dziś przed południem zajmą kilka miast, tak przynajmniej planują. Później dotrą do Boliwar.

- A co będzie tu, w mieście?

- Tutejsi partyzanci na razie się nie ruszają.

Zagryzłem wargi. W końcu cóż ja mam wspólnego z tym całym ruchem? Może tylko tyle, że Lorenzo pomaga mi pilnować Ramireza, próbowałem się sam przekonać, ale wiedziałem, że nie mam racji. Mam z nimi wiele wspólnego, wiem, jaki będzie koniec historycznego zajścia w Boliwarii, wiem, co się zdarzy następnego dnia w tym mieście. Znajomość bliskiej przyszłości stanowiła ciężki balast i w sposób nieunikniony wywierała wpływ także na moje postępowanie.

- Partyzantka miejska odczeka, czy porwanie Ramireza rzeczywiście wywoła zamieszanie. Nie chcą ryzykować. Zaatakują dopiero wtedy, gdy nadejdzie właściwy moment.

- Niech robią, co chcą, mnie tam wszystko jedno - mruknąłem. - Dokąd jedziemy, señorita?

- Niech pan będzie uprzejmy do portu, señor Medina.

Trzy kwadranse później pojechałem taksówką do dzielnicy Juventud. W samochodzie grało radio: zdenerwowany męski głos oznajmił, że nieznani sprawcy dokonali zamachu na „jednego z przywódców państwa". Dziwiłem się, że robią z tego tajemnicę i uważałem, że to zbyteczne. Bo na przykład kierowca mojej taksówki od razu wiedział o kogo chodzi:

- Señor, słyszał pan? Założę się o stówę, że usunęli z drogi Ramireza! Na pewno znowu generałowie zorganizowali pucz!

- Z pewnością ma pan rację - odpowiedziałem. W sposób wyczuwalny napięcie zaczęło ogarniać całe miasto. Po podaniu wiadomości o zamachu, wygląd ulic zmienił się. Wyjące syrenami samochody policyjne jeździły tam i z powrotem, przed budynkami rządowymi zbierały się opancerzone pojazdy wojskowe. Pod jedną z kładek dla pieszych dostrzegłem nawet pomalowane na barwy ochronne dwa czołgi. Na pędzących ciężarówkach siedzieli żołnierze w hełmach.

„Widocznie Negades miał też zwolenników w armii" - pomyślałem.

*

Nie wiem, co się działo później. Barax wyłączył telefon. Pamiętam jedynie, że siedziałem i wpatrywałem się w podłogę. Nie wiem nawet, ile czasu upłynęło.

Flora...

Ujrzałem przed sobą jej twarz. Czułem dotyk jej ręki. Flora... Nie żyje?

*

Barax był niezwykle poważny.

- Rozumiem cię, Roy, ale pomyśl jak niewiele czasu nam pozostało. O dwunastej mamy być w San Fernando... z Lippem Kilyosem.

Imię uciekiniera podziałało na mnie jak szklanka zimnej wody. Otrząsnąłem się. Kilyos?... Tak. Teraz on stanowi cel, zadanie, pracę do wykonania. Cokolwiek, co pozwoli mi zapomnieć o Florze.

Odetchnąłem głęboko. Podszedłem do okna. Widok jaki ujrzałem zaskoczył mnie: na żelaznej kracie ogrodzenia, na trawniku, nawet na chodnikach stały setki ludzi. Kilka osób miało sztandary, inni rytmicznie krzyczeli i wymachiwali pięściami. Naprzeciwko nich, na zdeptanym trawniku, pomiędzy ozdobnymi krzewami stali żołnierze z wycelowaną w tłum bronią. Domyślałem się, że niedługo nastąpi starcie. Jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie... Wygląd tłumu niepokoił mnie. Był już jasny dzień i każda akcja, którą mogliśmy rozpocząć używając naszych technicznych środków, byłaby poważnym złamaniem czasu. Jednocześnie wiedziałem, że z Kilyosem nie uda nam się przedrzeć przez tłum spokojnie bez zwrócenia na siebie uwagi. Jego twarz była twarzą Gallego Ramireza.

Kilyos zaczynał się budzić, musieliśmy się spieszyć. W jaki sposób można wydostać się z pałacu?... Strzelaninę słychać było coraz bliżej, walki toczyły się gdzieś na sąsiednich ulicach.

Raz, jeszcze raz pojawiła się przede mną twarz Flory. W dziwny sposób w tym samym momencie ujrzałem twarz szefa. I zrozumiałem. Zarząd już wtedy wiedział, że Flora umrze, kiedy przez chronotelefon donosiłem o naszym związku. Analizatory zostały ustawione na jej nazwisko i - odkryto nekrolog. Dlatego właśnie szef wykazał aż taki liberalizm, dlatego zezwolił na kontynuowanie związku. Wiedział, że nie grozi to złamaniem czasu...

Potrząsnąłem głową i rozejrzałem się. Obszedłem całe pomieszczenie. Wypuszczony przez Baraxa laserowy promień do połowy spalił Voltrans. Aparat stał bezużyteczny, zwłaszcza po tym jak jego szczątki rozebrałem na drobne części i rozrzuciłem po podłodze. Magnetyczne induktory wytwarzające pole siłowe spotkał taki sam los. Przeszukaliśmy całe pomieszczenie i zniszczyliśmy wszystkie zapiski Kilyosa. Tymczasem tłum na zewnątrz narastał, wrzawa stawała się coraz głośniejsza. Musieliśmy się jakoś wydostać. Za parę godzin major Gurow „wkroczy" w dwudziesty wiek, żeby nas stąd zabrać.

- Czy mam dać jeszcze jedną dawkę promieni? - spokojnie zapytał Barax wskazując na Kilyosa. Uciekinier oddychał głęboko, przez jego bladą twarz przebiegały kurcze. Wszelkie objawy świadczyły o tym, że szykuje się do przebudzenia.

- Nie trzeba, ale bądź w pogotowiu: jeżeli będzie zbyt ruchliwy, zwiąż mu ręce i nogi - rozkazałem nerwowo i nadal chodziłem tam i z powrotem. Moje spojrzenie padło na stojący na stole kanciasty aparat telefoniczny. A gdyby tak?... Choć nie wiązałem z tym większych nadziei, była to jakaś szansa.

Wyglądało na to, że żołnierze wciąż jeszcze trzymają pałac w swoich rękach, wszyscy byli na miejscach.

- Centrala?

- Jest tam podporucznik Reyes?

- Obecnie znajduje się w suterenie - odpowiedział głos.

- Połączcie mnie natychmist.

Podporucznik był zdenerwowany, czemu zresztą się nie dziwiłem. Gdyby taki tłum zagrażał obiektowi, który mi powierzono, ja też bym nie był ucieszony.

- Tu Reyes, kto mówi?

- Roy Medina.

przedmiot fizyczny ani promieniowanie elektromagnetyczne czy jakiekolwiek inne... Facet liczył, że nie potrwa to nawet sekundy i nie widział w mojej ręce pistoletu promiennego. Myślał więc, że jestem bezbronny. Nie wiedział też, że mogę z odległości odkryć pole siłowe. I naturalnie jego wyłączenie... Bez poruszania ręką z dokładnością do dziesięciotysięcznej części sekundy mogłem uruchomić wbudowany w moją klatkę piersiową miotacz. Tak więc gdy Kilyos wyłączył pole, żeby cię wciągnąć do środka, jako zakładnika - wypuściłem obezwładniający promień.

- I trafiłeś także mnie.

- Wiedziałem, że tak się stanie, ale nie mogłem zrobić nic innego. O ile wiem nikt jeszcze nie umarł od dwudziestoczterogodzinnej utraty przytomności - przysiągłbym, że w jego głosie czaiła się ironia. Lecz później kontynuował poważnym tonem: - W ciągu dziesięciotysięcznej części sekundy musiałem zadecydować, czy mam ująć Kilyosa, czy też pozwolić, żeby cię dalej trzymał i szantażował mnie twoją śmiercią... Ty także straciłeś przytomność, ale ważne jest, że wreszcie Kilyos naprawdę jest w naszych rękach.

Logika Baraxa jak zwykle była nieodparta i doskonała. Musiałem przyznać mu rację. Uklęknąłem na podłodze i obejrzałem schwytanego mężczyznę. Oddychał miarowo i wydawało się, że śpi...

- On też się niedługo obudzi - uprzedził mnie Barax. - Twój organizm jest młodszy i silniejszy. Dlatego ocknąłeś się pierwszy. Co z nim zrobimy?

- To zależy od tego, co się dzieje na zewnątrz - wskazałem w stronę okna.

- Nie chcę cię martwić, Roy, ale zamieszanie jest duże... Od wczoraj trwa strzelanina, partyzanci Lopeza walczą z żołnierzami. Tu, przed pałacem także było gorąco.

- Siedziałeś tu przy nas przez dwadzieścia cztery godziny?

- Przez dwadzieścia sześć i pół godziny - poprawił mnie.

No tak, znowu zapomniałem, że dla niego czas płynie zupełnie inaczej. To znaczy, w ogóle nie płynie. Później Barax odezwał się tak samo beznamiętnym głosem:

- Jest godzina szósta czterdzieści cztery rano według czasu miejscowego.

*

Tym razem chronotelefon funkcjonował wspaniale.

- Szefie?

- Tak, Roy, słucham?

- Mamy Kilyosa, wracamy do domu.

- Wkroczenie nastąpi w San Fernando - odpowiedział. - Kiedy tam dotrzecie?

- Tu jest duże zamieszanie. Ale o godzinie dwunastej czasu miejscowego będziemy na miejscu.

- W porządku, Roy. Między godziną dwunastą zero-zero, a dwunastą zero-pięć tamtejszego czasu major Gurow przekroczy granicę czasu. Spieszcie się!

- Jeszcze coś, szefie. Ta kobieta...

- Domyślam się, co chce pan powiedzieć. Kocha ją pan?

- Tak...

- I chciałby ją pan zabrać w trzydziesty pierwszy wiek?

- Tak, szefie.

- Znając przyszłość zarząd zezwolił na kontakt między panem a tą kobietą, Roy - powiedział szef. Teraz jego głos był zimny. Jakby mnie przed czymś ostrzegał...

- Znając przyszłość?

- Roy, trzymam w ręku fotokopię jednej z boliwaryjskich gazet. Ukazała się w tydzień po puczu, wydał ją już rząd Frontu Ludowego. Jest w niej...nekrolog.

Serce waliło mi jak młotem. Szef ciągnął dalej.

- Pani Florencja Baderos, lat trzydzieści cztery, zamieszkała na ulicy Algeciras 186, żona znanego dyplomaty, w drugim dniu puczu wpadła swym samochodem na nieoczekiwanie wyjeżdżający z bocznej ulicy opancerzony pojazd wojskowy... Zginęła na miejscu. Roy?...

Nie zapomniałem o ostrożności. Wysiadłem na skraju dzielnicy i po przejściu stu metrów złapałem drugą taksówkę. Tu także było włączone radio, nadawano hałaśliwy marsz, a później - po chwili denerwującej ciszy - usłyszałem znajomy głos:

- Obywatele! Rodacy! Wrogowie państwa i demokracji dokonali nikczemnego zamachu przeciwko legalnie wybranemu prezydentowi... - Pułkownik Negades nie był dobrym mówcą. Lub nie miał jeszcze doświadczenia... Aż za bardzo dało się wyczuć, że tekst swej przemowy czyta z kartki. Źle akcentował, krótkie przerwy na zaczerpnięcie oddechu robił nie wtedy, kiedy należało. Sądzę jednak, że w tej chwili byłem jedynym człowiekiem w całej Boliwarii, który zwracał na to uwagę...

Później spiker zakomunikował, że przed chwilą przemawiał pułkownik Raimundo Negades, prezydent nowego rządu. Bezpośrednio po tym ogłoszono wprowadzenie godziny policyjnej i stanu wyjątkowego.

Wysiadłem z taksówki dwie ulice wcześniej i pomiędzy dwoma rzędami opustoszałych willi pieszo zbliżyłem się do domu Flory. Brama była teraz zamknięta. Ucieszyłem się, że Barax sam przedsięwziął konieczne środki ostrożności. Mój towarzysz ukrył się gdzieś w ogrodzie i uruchomił wszystkie czujniki. Praktycznie rzecz biorąc wiedział o wszystkim, co dzieje się wokół willi w promieniu jednego kilometra.

Kamerdyner wpuścił mnie do środka i by nie budzić podejrzeń, najpierw udałem się do Flory. Właśnie zakończyła poranną toaletę. Na stole w narożnym pokoju dostrzegłem ślady skromnego, dietetycznego śniadania. Tak, jak się tego spodziewałem, Flora już dawno zapomniała, o czym mówiliśmy rano. Teraz było to nawet zrozumiałe.

- Słyszałeś? Czy wiesz co się wydarzyło? Zabili prezydenta Ramireza, zaledwie w tydzień po objęciu władzy!

- Na ile znam historię tego kontynentu, nie jest to u was rzadkością - ostrożnie odpowiedziałem.

Flora przytuliła się do mnie. Zrobiło mi się jej żal. Choć nie po raz pierwszy byłem w przeszłości, teraz dopiero poczułem jakimi zabawkami są ci ludzie w rękach przypadku. „W rękach losu", jak sami mawiają... To jest właśnie największa różnica pomiędzy naszym nowoczesnym światem, z którego przybyłem, a dwudziestym wiekiem.

Flora bała się. Bała się przyszłości, czuła się bezradna. Sądzę, że wtedy moja obecność wiele dla niej znaczyła. W pierwszych dniach nie czuła jeszcze, że to co nas łączy, to miłość - powiedziała w nocy. Prawdziwa, rzeczywista miłość. Staliśmy mocno przytuleni do siebie. Nigdy jeszcze nie znalazłem się w takiej sytuacji. W moim prawdziwym świecie - tam, gdzie się urodziłem - związki między mężczyznami i kobietami były zupełnie inne. Bardziej rzeczowe i chłodne. Nie wiem, co na mnie tak wpłynęło tu, w końcu dwudziestego wieku - czyżby tylko Flora?... A może powietrze, otoczenie, ludzie, duch epoki? Do tej pory nie wierzyłem w istnienie czegoś takiego - ale teraz dzięki Florze poczułem jego smak i ogarnęło mnie szczególne uczucie. Flora, epoka, miasto, nastrój stały się we mnie nierozerwalnym łańcuchem. A przede wszystkim miłość.

Czy i Kilyos nie odczuwał czegoś podobnego?... Może i on spotkał jakąś kobietę? Odnalazł wreszcie prawdziwą miłość? A może jego miłością jest władza? Zakochał się w swych możliwościach. W tym, że może się stać - i rzeczywiście się stał panem życia i śmierci. Że znając przyszłość miasta, kraju i ludzi może się stać ich panem, a przez to - zdobyć władzę nad czasem.

Flora uwolniła się z moich objęć:

- ...Jeżeli to prawda, jeżeli rzeczywiście nastąpił pucz, to wkrótce przybędzie mój mąż! - w jej oczach była trwoga.

- Na jego miejscu zaczekałbym, aż sytuacja się wyjaśni - odpowiedziałem.

W radiu znowu przerwano nadawanie muzyki i jakiś głos oznajmił, że do czasu wydania innych zarządzeń zamknięto granice i lotniska. Na razie nikt nie może opuścić kraju... Nas to nie interesowało.

*

Lorenzo siedział w piwnicy małego domku w ogrodzie. Na prymitywnym, żelaznym łóżku leżał Kilyos-Ramirez.

- Śpi - szepnął nasz przyjaciel.

- Jest oszołomiony. Możesz mówić głośno i tak się teraz nie obudzi.
- Twój kolega, Barax... To bardzo silny facet.
- Właśnie dlatego go ze sobą przywiozłem - odparłem i zbadałem Ramireza. Oddychał miarowo, mięśnie miał rozluźnione, serce funkcjonowało normalnie. Zwróciłem uwagę na kolor jego skóry. Musiał się intensywnie opalać od chwili, gdy przybył w dwudziesty wiek - przemknęło mi przez myśl.

Spojrzałem na zegarek:

- Zbliża się południe. Do jutra rana na pewno nie oprzytomnieje. Do tej pory nie mamy nic do roboty.
- A co będzie, jak... jak ocknie się?
- Zobaczymy. Nie niecierpliw się, Lorenzo. Zobowiązałeś się, że będziesz nam pomagać!
- I nie wycofuję się z tego! - spojrzał mi w oczy. Nie mogłem wątpić w jego intencje. Powiedziałem mu, gdzie rozstałem się z Estrellą. Później zaczęliśmy rozmawiać o miejskiej partyzantce.
- Oczywiście, że masz rację, Roy. Teraz i oni mogliby zaatakować. Ale brakuje ludzi, a i broni jest mało. Dlatego Lopez ociąga się z atakiem w stolicy. W górach mamy wielu ludzi w stanie gotowości, łatwiej jest uzupełnić straty... Te oddziały już ruszyły - pokazał na radio - dziś po południu będzie już o nich słychać.

*

Lorenzo miał rację. Wieczorem już nawet boliwaryjska państwowa rozgłośnia nie mogła zaprzeczyć temu, o czym zagraniczne radiostacje trąbiły od południa.

Wieczorem przyniosłem Baraxowi z willi obfitą kolację, którą naturalnie zjadł Lorenzo. Nawet w trakcie jedzenia chłopak kręcił gałką radia: aktualna sytuacja polityczna wciąż jeszcze nie była jasna. Co prawda w stolicy panem był nazywający siebie prezydentem Negades, lecz w południowych prowincjach dotychczasowy zastępca ministra obrony, generał Castellano przeprowadził kontrpucz. Wykorzystując aktywizację ruchów partyzanckich powołał się na „wewnętrzne zagrożenie" i stworzył tymczasowy rząd wojskowy. W oświadczeniu radiowym nazwał stołeczną grupę Negadesa bezsilną i nielegalną.

Barax stał nieruchomo obok ozdobnego krzewu między domkiem w ogrodzie a willą. Było już ciemno, niebo zasłaniały chmury, nie widzieliśmy księżyca. Światła z ulicy nie docierały do ogrodu.

- Co się dzieje, Barax?
- Nic, okolica spokojna.

Jednakże z jego głosu - a może mimowolnie odebranego „nastroju" - wyczułem, że coś jest nie w porządku.

- Mów, stary.
- Kilyos z pewnością przestudiował wydarzenia najbliższego tygodnia i miesiąca, zanim wyprawił się w przeszłość. Wiemy, że zna przyszłość. Wie też jak kształtować się będzie sytuacja polityczna w Boliwarii. Ponieważ sam odgrywa tu jedną z kluczowych ról, musiał wiedzieć, że dwudziestego dziewiątego maja przed południem padnie ofiarą zamachu...
- A więc jeżeli świadomie trafił w nasze ręce, jeżeli z własnej woli wpadł w pułapkę, to możemy się spodziewać jakiegoś kontruderzenia. Może nawet dzisiejszej nocy.

Spojrzałem na ciemne niebo i pomyślałem, że na razie i tak nie możemy nic zrobić. Odczekamy, aż więzień odzyska przytomność, a do tej pory będziemy się mieć na baczności. Miałem nadzieję, że gdy Ramirez-Kilyos przyjdzie do siebie, wszystko się wyjaśni.

Rozdział 7

- Roy, kochasz mnie?
- Kocham - słowo to znaczyło teraz więcej niż gdziekolwiek i kiedykolwiek w życiu.
- Boję się o ciebie - szepnęła Flora.
- Nie bój się. Wykonuję swoją pracę.
- Wiem, ale nie jesteś handlarzem. Nie handlujesz kwiatami... Prawda?
- Prawda, ale na razie nie mówmy o tym.

Baraxowi i ten środek okazuje się bezskuteczny. W tym samym momencie dwukrotnie, raz za razem, błysnął cienki, liliowy promień światła. Tryskał z palca Baraxa. I nagle poczułem, że obce, niewidzialne pęta spadają ze mnie...

Przy pomocy laserowego promienia Barax spalił Voltransa.

Lipp Kilyos nie tracił czasu. Pomimo pola siłowego zaczął poruszać się szybciej. Stał już pomiędzy mną a Baraxem ciężko dysząc:

- Wciągnę inspektora pod pole siłowe! Potem zabiję go, jeżeli pan stąd nie wyjdzie.

W obliczu pola siłowego i Barax był bezradny. W półmroku z trudem dostrzegałem jego twarz. Czułem ulgę, lecz wciąż jeszcze nie mogłem się poruszyć, w mięśniach pulsowało odrętwienie. Barax odezwał się zdecydowanym tonem:

- Jestem funkcjonariuszem GALPOL-u. W imieniu inspektora Roya Mediny aresztuję pana, Lippie Kilyos.
- Nie! - wrzasnął Kilyos. Skoczył ku mnie, wyciągnął w moją stronę rękę... Wciąż jeszcze byłem słaby. Ręce i nogi miałem jak z waty. Nie opierałem się, kiedy chwycił moją dłoń...

W tym momencie poczułem ból. W moje ciało wdarł się ogień. Wydawało się jakby zarwał się pode mną most. Spadałem...

Spadałem w czarną otchłań.

Rozdział 10

Pierwszą rzeczą, którą ujrzałem w chwili, gdy przyszedłem do siebie, był wlewający się przez okno blask świtu. Od razu się zorientowałem, że wciąż jeszcze jesteśmy na ostatnim piętrze letniego pałacu.

Leżałem w wygodnym łóżku. Powoli odwróciłem głowę - na podłodze dostrzegłem Lippa Kilyosa. Spał. A może był martwy?

Barax pochylił się nade mną.

- No wreszcie - stwierdził z pewną wymówką. - Myślałem już, że dopiero w przyszłym tygodniu dojdziesz do siebie.
- Cześć, Barax. Bądź tak dobry, daj mi szklankę wody, w ustach całkiem mi zaschło. - Usiadłem. Woda bardzo mi pomogła. Dostrzegłem, że Barax zanim mi ją podał, wsadził do środka mały palec.
- Barax, nie wygłupiaj się. Nie jesteś niewychowanym dwudziestowiecznym kelnerem.
- Nie wygłupiam się - odpowiedział i wyczułem w jego głosie pretensje. - Sprawdzam czy skład chemiczny wody nie jest szkodliwy dla ludzkiego organizmu. Muszę przecież na ciebie uważać...

Wypiłem i dopiero potem wróciłem do rozmowy.

- Dlaczego się na mnie wściekasz? Jest przecież ranek, spałem najwyżej dwie godziny.
- Plus dwadzieścia cztery, Roy.
- Proszę?...
- Dostałeś dawkę promieni obezwładniających i to silną. Jest już drugi czerwca.
- Kto mnie oszołomił?
- Ja - odparł ze stoickim spokojem.

Tak mnie to zaskoczyło, że z miejsca zerwałem się na nogi. Teraz ciało funkcjonowało mi nienagannie: w mięśniach nie było ani śladu paraliżu. Rzeczywiście musiałem spać dłużej niż dzień. O mały włos nie nadepnąłem na leżącego na podłodze Kilyosa. Zaczynałem przypominać sobie wydarzenia.

- Chwileczkę, kolego. Pamiętam, że Kilyos wyciągnął w moją stronę rękę. A nawet chyba mnie złapał. I... i więcej nic nie pamiętam.
- Tak było - Barax spokojnie pokiwał głową. - Z powodu pola siłowego nie mogłem go zaatakować. Ale kiedy zaczął grozić, że wciągnie cię pod pole, zorientowałem się, że wreszcie mogę go załatwić.
- W jaki sposób?
- Twoje ciało mogło się dostać w obszar pola siłowego tylko wtedy, gdyby Kilyos wyłączył to pole - choćby na krótką chwilę. Wiadomo, że w żaden inny sposób granicy pola nie może przekroczyć ani


YARPS DRITT' ADR-ATTA JEST UWIĘZIONY W STEROWNI PRZEZ YARPSA LAAR' UT-TANNA!
ZNOWU KŁAMIESZ!
SKĄD ON TO WIE?!


NIE KŁAMIĘ! WIDZIAŁEM I SŁYSZAŁEM ZANIM ZABRAŁEŚ MI...
?
COOO?!... JASNE! GOGLE SĄ TAKŻE ŚRODKIEM ŁĄCZNOŚCI! -CZYM JESZCZE???
!
WYGADAŁEM SIĘ JAK GŁUPI...
JAK TO DZIAŁA?


!... NIE DO WIARY!!! TO MÓWI!?
MOGĘ TYM STEROWAĆ!
...DAJ PRAWĄ RĘKĘ, BRENDA!


FUNKY, NA PEWNO WIESZ, CO ROBISZ?
TO JEST TRANSMITER... JESZCZE NIE MAM WPRAWY... ALE... -DO STEROWNI, START!
JEDEN YARPS MNIE SKOTŁUJE, A I DRUGI NIE POCHWALI...


!
...NIE ZDOŁAŁEM GO WYPŁOSZYĆ! ŚCIĄGNĄŁEŚ GO NA NASZĄ ZGUBĘ!!! NIENAWIDZĘ CIĘ, YARPS DRITT'!
JESTEŚ I GŁUPSZY I BARDZIEJ SZKODLIWY NIŻ MYŚLAŁEM, YARPS LAAR'. PO TWOICH ŁAJDACTWACH ON PRAWIE NA PEWNO ODMÓWI...
UCIEKAJMY. JEŚLI YARPS DRITT' ADR-ATTA POSKARŻY SIĘ WIELKIEMU PLANIŚCIE...


TRZYMAJ SIĘ, DRITT'!
ŚMIAŁO, FUNKY!


DZIĘKUJĘ CI, ŻE NIE POMYLIŁEŚ MNIE Z TYMI KRĘTACZAMI! ZASKOCZYLI MNIE TUŻ PRZED WEJŚCIEM W PRZESTRZEŃ!


ACH, MISS BRENDA, PANI STRÓJ... WIDZĘ, ŻE PORADZILIŚCIE SOBIE. ALE TERAZ PROSZĘ TO PRZYJĄĆ.
LA ROBE
L'Étoile


DOKĄD ?! Z TOBĄ TEŻ MAM DO POMÓWIENIA !
NIECH IDZIE, FUNKY. ON PRZEGRAŁ. WIELKI PLANISTA WYSŁUCHA CIĘ I NAPEWNO PRZYZNA MI RACJĘ.
?
GDYBYŚ BYŁ JAK INNI LUDZIE, JUŻ DAWNO GRYZŁBYŚ ZIEMIĘ...


MIMO KRZYWD, JAKICH DOZNAŁEŚ OD STELLAR FOX I DROLLI, PROSZĘ CIĘ, NIE ODMAWIAJ MI...
?!?
CO TU SIĘ DZIEJE ? TE MIRAŻE... WYCZYNIACIE TAKIE SZTUKI A POTRZEBUJECIE MOJEJ POMOCY ?


TAK, FUNKY. CZAS WSZYSTKO WYJAŚNIĆ... DO WASZEGO ŚWIATA MOŻEMY DOSTAWAĆ SIĘ TYLKO W TEJ STREFIE, CYKLICZNIE CO 144 LATA NA 5 LAT... NASZA ŚMIESZNA POSTAĆ; PRZYBRALIŚMY JĄ DLA WAS, ABYŚCIE MOGLI NAS W OGÓLE ZOBACZYĆ I ZAAKCEPTOWAĆ... NASZ ŚWIAT UMIERA, POTRZEBUJEMY POMOSTU – ALBO ZBUDUJEMY GO WSPÓLNIE PRZEZ 3 LATA, ALBO NASZE DROGI ROZEJDĄ SIĘ ZNOWU NA DŁUGO I NIE WIEM, CZY BĘDZIEMY JESZCZE ISTNIEĆ... MAMY ZA SOBĄ WIELE BŁĘDÓW I ZBRODNI... JUŻ RAZ ZBUDOWALIŚMY PRZYCZÓŁEK NA DB4... WSZYSTKO POSZŁO W GRUZY... WY NAZWALIBYŚCIE TO PRZEKLEŃSTWEM...
I VISA-VIÑEGO OBIECAŁ ZBUDOWAĆ TEN... POMOST ?


TO OLBRZYMIE PRZEDSIĘWZIĘCIE. KONIECZNA MOBILIZACJA ~30% TECHNICZNYCH ZASOBÓW LUDZKOŚCI. VISA-VIÑEGO ZAŻĄDAŁ ZA TO NOWYCH TECHNIK, BRONI, LEKÓW, WSPARCIA LOGISTYCZNEGO, NO I WŁADZY NAD ZIEMIĄ. TY POMIESZAŁEŚ MU SZYKI.
!? DALIŚCIE MU WŁADZĘ ?! W CZYIM IMIENIU ?!!!


NIE CZAS NA PRETENSJE, FUNKY... POZNAŁEM CIĘ JUŻ W CZASIE AFERY ZODIAKALNEJ. TO BYŁ NASZ TEST... WTEDY ZETKNĄŁEM SIĘ Z TOBĄ I TWOJĄ "NIEPRZENIKALNOŚCIĄ" DLA NASZYCH TELEPATÓW. STĄD TWOJE SUKCESY W POTYCZKACH Z NAMI. TO ZWRÓCIŁO MOJĄ UWAGĘ... ZROZUMIAŁEM, ŻE NIE WSZYSCY LUDZIE SĄ TACY, JAK VISA-VIÑEGO. OD TEJ PORY OBSERWUJĘ CIĘ I POSTĘPUJĘ INACZEJ NIŻ STRONNICTWO YARPS LAAR'UT-TANNA.
ALE GRASZ PO STRONIE DROLLI !


PRZECIEŻ JESTEM DROLLEM – ALE JA CI SPRZYJAM, FUNKY... I POTRZEBUJĘ POMOCY LUDZI UCZCIWYCH, JAK TY... YARPS LAAR'UT-TANN NAJPIERW KAZAŁ CIĘ ZABIĆ, A TERAZ, PO ZASTRASZENIU MIRAŻAMI CHCIAŁ CIĘ UŻYĆ JAKO DEFETYSTY DO ZŁAMANIA DUCHA TWOICH ZIOMKÓW I WYMUSZENIA BUDOWY POMOSTU... FUNKY, WIELKI PLANISTA ZARAZ CIĘ WEZWIE. BŁAGAM, NIE ODMAWIAJ MU WSPÓŁPRACY... – JUŻ CZAS.
DAJ MI SIĘ SKUPIĆ... I WYŁĄCZ TE MIRAŻE MILITARNE.


TO POTRWA. TECHNICY UCIEKLI GDY PRZYBYŁEŚ. ALE ZAŁATWIĘ... – LECIMY.
?
TO ŁĄCZE TELEKOMU PRZERZUCONE W WASZ ŚWIAT. NIE OPIERAJ SIĘ. POZOSTAŃ SOBĄ, FUNKY... PROSZĘ, OCALISZ SIEBIE I MNIE. JEŚLI NIE...


CHCĘ Z WAMI MÓWIĆ. Z TOBĄ, DRITT' I Z TOBĄ LAAR'! POTEM Z KOVALEM I VISA-VIÑEGO. RESZTY LUDZI NIE ZAMIERZAM NAWET OGLĄDAĆ.


VISA? STRZEŻ SIĘ, MORDERCO!
OCH, KOVAL, JESTEŚMY JEDYNYMI PRAWDZIWYMI LUDŹMI TUTAJ! RESZTA TO BŁOTKI. WYCIĄGNIJ Z TEGO WNIOSKI.


SĄDZISZ, ŻE ZBUDUJĘ IM COKOLWIEK? GUZIK PRAWDA. ROZGRZEBIĘ TYLKO ROBOTĘ, WYCIĄGNĘ OD DROLLI CO SIĘ DA, A PO 3. LATACH, BAJ, BAJ!... KIM CHCESZ BYĆ? MOIM ZASTĘPCĄ? SZEFEM SIŁ ZBROJNYCH? DOSTANIESZ TO... ALE TERAZ NIE PRZESZKADZAJ W ROZMOWIE!!!
ROZWAŻĘ PAŃSKĄ PROPOZYCJĘ.


CO JEST, DRITT'? TEN TWÓJ KOVAL CIĄGLE UTRUDNIA. POWIEDZ MU, ŻE NIE MOŻE WCIĄŻ STAWAĆ NAM NA DRODZE!... TY, LAAR', POWŚCIĄGNIJ GWAŁTOWNOŚĆ VISA-VIÑEGO. STARCZY TYCH ZABÓJSTW!... PRZYSTĄPCIE WRESZCIE DO BUDOWY PRZYCZÓŁKA!
!
DOBRZE MÓWI... TO JEST SŁUSZNE!


BREDNIE! NIE BĘDĘ TEGO SŁUCHAĆ! TO NIEGODZIWE!
USPOKÓJ SIĘ, KOVAL!


FUNKY, PROSZĘ CIĘ...
BARDZO DOBRZE, DURNIU.
ZABIŁ KILKUDZIESIĘCIU LUDZI I MAM SIĄŚĆ Z NIM DO GRY?!
KOVAL JEST NIEPOCZYTALNY! PROSZĘ GO W OGÓLE NIE BRAĆ POD UWAGĘ!


NIEZALEŻNIE OD CENY, CZY ZAPŁATY, NIE WYSTĄPIĘ PRZECIW SWOJEJ RASIE, TAK JAK ZROBIŁ TO VISA. JEŚLI ON ZDRADZA NAS, CZEMU NIE MIAŁBY ZDRADZIĆ I WAS ?
RZECZYWIŚCIE, KOVAL **NIE DAJE** SIĘ CZYTAĆ! TYLKO GO SŁYSZĘ.
INTERESUJĄCE! VISA-VIÑEGO, CHCEMY ZAPOZNAĆ SIĘ Z TWOIMI MYŚLAMI. ZBLIŻ SIĘ !


TYMCZASEM 1200 M NIŻEJ.
DO KITU Z TAKIMI SOJUSZNIKAMI !... ZABILI RHOTAXA ...
SPOKOJNIE, WIELKI PLANISTA DROLLI POGADA Z VISA-VIÑEGO I SKRÓCI KOVALA. ZOBACZYCIE, ŻE WYJDZIE NA NASZE !
SZYBCIEJ! TYM WRÓCIMY NA ZIEMIĘ. NIKT NAM SIĘ NIE OPRZE!


NIE, NIE !


NAGLE !
CO SIĘ STAŁO ?! WSZYSTKO ZNIKNĘŁO!
TAM ! JAKIŚ CZŁOWIEK !
TO VISA ?!


OOOCH!... WCALE TAK NIE MYŚLAŁEM. JA TYLKO TAK... ŻEBY ZMYLIĆ KOVALA... PRZYSIĘGAM!
ZWARIOWAŁ ?!


SZEFIE, PAN NAS W TO WPAKOWAŁ !
I CO TERAZ VISA ?!
MUSIMY PROSIĆ O WSTAWIENNICTWO KOVALA, BO NAS ZAŁATWIĄ !
JA BYM GO!...


5 MINUT PÓŹNIEJ.
TAM ! CO TO ZA LALUNIA ?!
CICHO! TO DZIEWCZYNA KOVALA. MOŻE ONA NAS URATUJE? SPRÓBUJMY...
...FUNKY NIE MOŻE ODMÓWIĆ...


... A MY NIE MOŻEMY WAS SKRZYWDZIĆ. JESTEŚCIE GOŚĆMI WIELKIEGO PLANISTY I SOJUSZNIKAMI YARPSA DRITT'ADR-ATTY... TAK, WEDŁUG MNIE WYGLĄDA SYTUACJA, MISS BRENDA.

– Nie uda się panu uciec, Kilyos. GALPOL nigdy się nie pogodzi ze stratą agenta. Kiedy pociągną za sznurki, wyjawi się, że to nie pan był Ramirezem, bo przecież cukiernik mieszkał tu od dawna...

– Nawet jeżeli się zorientują, to do tej pory ja zniknę bez śladu. Cały epizod boliwaryjski był mi potrzebny jedynie po to, by zaaranżować własną śmierć. Teraz, gdy mam to już za sobą, wyjeżdżam stąd. Do jakiegoś innego kraju. Dzięki Ramirezowi zdobyłem ogromne fundusze, w moim ręku jest znaczna część skarbu państwa. Zniknę tak, że nie zostanie po mnie żaden, ale to żaden ślad.

*

„Roy, jestem tu" – poczułem w mózgu sygnał.

„Działaj" – rozkazałem bez wahania.

– Czy bardzo by się pan zdziwił, gdybym powiedział, że jednak pan przegrał? Że nigdzie już pan nie ucieknie? – zapytałem. Jednocześnie poczułem zbierające się na moim czole krople potu.

– Wyśmiałbym pana, inspektorze. Mnie już nikt i nic nie zatrzyma.

– Całą naszą rozmowę nagrałem na dźwiękowy kryształ, Kilyos. Mikrofon mam za klapą marynarki, może pan zobaczyć... Odbiornik jest na ulicy, w moim samochodzie.

Para ciemnych oczu spojrzała na mnie niepewnie. Powoli ciągnąłem dalej:

– Agenci GALPOL-u wysłani z zadaniem odzyskania mnie, znajdą samochód i nagranie. Będą pana ścigać w nieskończoność. – Wie pan przecież, że zamordowanie człowieka z przyszłości i to w dodatku oficera policji rozwścieczy GALPOL i zarząd...

Zaczął się nad tym zastanawiać. Gdzie może być Barax – przebiegła mi przez głowę niecierpliwa myśl.

– Czy nie rozumie, że moje życie jest znowu w niebezpieczeństwie? Kontynuowałem oblany potem:

– Niech się pan podda, Kilyos. Zabiorę pana z powrotem w trzydziesty pierwszy wiek, być może sąd wyda łagodny wyrok...

– Dziesięć lat na bezludnej wyspie? – roześmiał się. – W takim razie wolę się ukrywać! Ale z tego co zaszło, wyciągnąłem już nauczkę: nigdy więcej się nie „wynurzę", to pewne. Na zawsze pozostanę na drugim planie i w ten sposób zmienię świat. Stanę się panem prymitywnych dwudziestowiecznych tubylców, ich nauki, ich pieniędzy a nawet ich nuklearnej broni!...

Byłem coraz bardziej pewien, że jest chory. Nie mógł być zupełnie normalny, skoro zdecydował się na taki krok. Wziął ze stołu promienny pistolet i ruszył w moją stronę...

Wtedy odezwał się Barax.

– Niech się pan nie rusza, Kilyos!

Głos dochodził od strony drzwi. Nie mogłem odwrócić głowy w tamtą stronę. Szyję miałem sparaliżowaną – w polu mojego widzenia znajdował się tylko Kilyos.

Historyk nie usłuchał wezwania. Błyskawicznie odwrócił się z pistoletem w ręku i strzelił... Widziałem jak błysnął wskaźnik emisji.

Słyszałem kroki Baraxa. Zbliżał się spokojnie. Krok po kroku. Tup. Tup.

Kilyos czterokrotnie wystrzelił w Baraxa śmiercionośną dawkę, zanim zrozumiał, że nic to nie da.

– Niech się pan podda, albo włączę dezintegrator – beznamiętnie oświadczył Barax.

– Nie! – wrzasnął uciekinier z niespodziewaną mocą. – Jestem w zasięgu działania pola siłowego i nic nie możesz mi zrobić!

Barax zbliżał się. Od chwili, gdy wszedł do pokoju, bez przerwy mówił i pomału szedł w stronę Kilyosa. Jednakże ja zdawałem sobie sprawę z tego, że wszystkie jego urządzenia czekają na odpowiedni, na jedyny nadarzający się moment. Dla niego może on trwać krócej niż tysięczna część sekundy... I wtedy uderzy.

Próbowałem się poruszyć, ale wpływ Voltransa nie zmniejszył się. Byłem więźniem. Moja wola była skuta kajdanami mocniejszymi od stali.

Kilyos jednym skokiem znalazł się przy stole.

– Ciebie też sparaliżuję, sukinsynu...

Mój towarzysz i tego nie musiał się obawiać. Podszedł bliżej. Kilyos na próżno zwiększał moc aparatu, na próżno kierował na Baraxa wiązkę promieni. Twarz mu się wykrzywiła: zrozumiał, że przeciwko

– Dobrze mi z tobą, Roy.

– Dobrze mi tobą, Floro.

„Mógłbym ją zabrać ze sobą" – pomyślałem i od razu uświadomiłem sobie, jaki wybuchłby skandal. Wszyscy by się zwrócili przeciwko mnie. Szef, rząd, GALPOL, wydział czasu, a nawet przyjaciele. Ten, kto sam świadomie łamie czas, nie może być pracownikiem wydziału, w którym pracuję.

– Kocham cie Roy.

– Kocham cię, Floro.

*

Do rana nic się nie wydarzyło. Flora spała spokojnie, lecz ja zbudziłem się wcześnie. Widziałem przez okno, jak na skraju kopuły nieba pojawił się wąski, biały pasek. Starałem się nie poruszyć, miałem nadzieję, że jeszcze zasnę. Czułem dziwny lęk. Bezruch sprawiał mi przyjemność. Na jakiś czas straciłem poczucie czasu. Nie wiedziałem, w którym wieku jestem. Może w trzydziestym pierwszym, gdzie wyrosłem?...

Otworzyłem oczy. Wiedziałem, gdzie i kiedy się znajduję. Czułem, że już nie zasnę. Leżąca obok Flora oddychała miarowo. Po cichu wstałem. Gdy wyszedłem spod zimnego prysznica, poczułem, że coś się stało. Stale czuwający Barax dostrzegł przez ścianę, że się poruszyłem.

„Chodź, Roy" – odebrałem sygnał. Wyszedłem do ogrodu. Gdy się zbliżyłem, drzwi małego domku otworzyły się.

– Dzień dobry, Barax.

– Cześć, Roy. Facet się budzi – odpowiedział. Wiedziałem, że facet to nikt inny, jak Ramirez-Kilyos.

Lorenzo spał w willi w małym pokoiku na parterze. Ułatwiło nam to sprawę. Nie budziliśmy go. Po cichu zeszliśmy do piwnicy, zapaliliśmy światło. Czułem, że gdy nasza ofiara się obudzi i zrozumie, co się stało, nagie szare ściany, puste półki i ponure żelazne łóżko będą stanowiły dobrą oprawę sytuacji. W świadomości porwanego człowieka to pomieszczenie musiało wzbudzać dość przerażające wrażenie.

Ramirez-Kilyos oddychał gwałtownie i niepewnie poruszał rękami. Odwróciliśmy go na plecy. Twarz miał teraz bladą, co przypisaliśmy zwolnionemu krążeniu krwi. Oszałamiające działanie broni promiennej powodowało niewielkie zwolnienie funkcji życiowych, obaj z Baraxem widzieliśmy już kiedyś podobny przypadek.

– Rysy twarzy zgadzają się – powiedział mój towarzysz. Miał na myśli Kilyosa. Ja zaś nagle pomyślałem: czym się różni pod względem fizycznym człowiek urodzony tysiąc lat później od osobnika z dwudziestego wieku? Niczym. Ja, Roy Medina jestem dokładnie taki sam jak Lorenzo. Gdybym tu umarł i dwudziestowieczni lekarze otworzyliby moje ciało, nawet najdrobniejsza jego część nie różniłaby się od ciał współczesnych ludzi. Nic nie zdradziłoby ogromnej „różnicy wieku", jaka jest między nami. Oczywiście, sytuacja byłaby zupełnie inna, gdyby pod ich nóż trafił Barax...

Ale na szczęście Barax nigdy nie trafi do szpitala ani do prosektorium, mogłem być tego pewny.

A co z Kilyosem?... spojrzałem na jego twarz. Była bardzo podobna do tej na zdjęciach. Niewielkie fałdy pod oczami, zmarszczki obok nosa. No tak, czterdzieści osiem lat.

Nasz więzień odzyskał przytomność o siódmej dwie rano. Otworzył oczy, kilkakrotnie zaczerpnął łapczywie powietrze i oblizał wyschnięte usta. Dałem mu szklankę wody. Wypił ją i dopiero potem rozejrzał się. Ze zdumienia usiadł. Barax, niczym kamienny posąg, stał przy drzwiach. Odezwałem się w naszym języku.

– Lippie Kilyos, aresztuję pana w imieniu policji galaktycznej. Nakaz wydał rząd światowy. Pańskie prawa osobiste ulegają zawieszeniu aż do odwołania. Gdy tylko będzie można, przewieziemy pana z powrotem do trzydziestego pierwszego wieku.

Milczał. Wydawało mi się, że w jego oczach dostrzegam dziwny błysk. Ze zdziwieniem patrzył na nas, a potem...

– Co się stało? Kim panowie jesteście? – zapytał. Po hiszpańsku.

– Nie musi pan grać dalej, Kilyos – kontynuowałem w naszym języku. – Dość długo trwało, zanim trafiliśmy na pański ślad, ale teraz już nie uda się panu uciec.

Znowu spojrzał na mnie jakby nie rozumiejąc.

– Jestem Gallego Ramirez, legalny prezydent Boliwarii – oświadczył, znowu po hiszpańsku. Starał się mówić twardym głosem, ale ja i Barax czuliśmy strach, który próbował zamaskować.

– Udaje pan Ramireza, Lippie Kilyos – odparłem. – Ale to już koniec gry, rozumie pan? Niech pan da spokój z tymi przemowami po hiszpańsku i uzna, że partia jest przegrana.

Znowu mruknął coś, z czego zrozumiałem tylko słowo „Boże"... Wtedy pojawiła się we mnie pierwsza wątpliwość. Spojrzałem na Baraxa: „Próba! Nie ustępuj" – nadałem w jego kierunku. Odczekałem aż w ten sam sposób potwierdzi odebranie rozkazu i wtedy powiedziałem do niego głośno w naszym języku:

– Wychodzę, nie chcę oglądać krwi. Zabij tego nędznika, przynajmniej nie trzeba będzie go dalej pilnować.

Wyszedłem do ogrodu. Barax został z więźniem. Niebo się już rozjaśniło. Złoty blask słońca zalał ogród i drzewa. Cienie krzewów rozwiały się. W dzielnicy Juventud panowała cisza, jedynie kilka ptaków ćwierkało niepewnie. Poranek był piękny.

Wróciłem po pięciu minutach. Barax dał mi znak: żadnego rezultatu. Nasza ofiara nie okazała najmniejszej oznaki przerażenia. Albo ma stalowe nerwy, albo... nie rozumie naszego języka! Spojrzeliśmy z Baraxem po sobie, po czym z westchnieniem usiadłem na brzegu łóżka.

– Porozmawiajmy więc po hiszpańsku, señor...

– Porozmawiajmy – odpowiedział z widoczną ulgą, że jednak możemy się dogadać.

– Nie zrozumiał pan tego, co przed chwilą powiedziałem do mojego kolegi?

– Nie. Nie wiem nawet w jakim języku pan mówił. Nigdy jeszcze nie słyszałem czegoś takiego...

– Rozumiem.

Wciąż jeszcze mu nie wierzyłem. Spojrzałem na Baraxa, który zrozumiał o co mi chodzi i rzekł:

– Nie kłamie.

Ponieśliśmy klęskę. To, co w poprzednich dniach było jedynie niejasnym podejrzeniem, teraz, trzydziestego maja 1992 roku o świcie stało się bolesną rzeczywistością. Pomyliliśmy się – lub raczej daliśmy się nabrać. Lipp Kilyos przechytrzył nas.

Wszedł Lorenzo. Z pewną rezerwą i ze stłumionym, lecz źle skrywanym gniewem popatrzył na Ramireza, po czym zwrócił się do mnie.

– Wszystko w porządku, Roy?

– Chodź na zewnątrz – przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Lorenzo ruszył za mną.

Na podwórku wszystko już było skąpane w słońcu. Ptaki ćwierkały jak oszalałe, było ciepło, cała okolica tchnęła spkojem. Spokojem, na który teraz się nie zanosiło.

– Lorenzo, podejrzewamy, że porwaliśmy nie prawdziwego prezydenta Ramireza, lecz jego sobowtóra. Słyszałeś, że prezydenci zazwyczaj mają opłacanych przez urząd sobowtórów, prawda?... No więc myślę, że on jest właśnie jednym z nich. Nie mogę ci wszystkiego powiedzieć, ale jedno musisz wiedzieć: podejrzewamy, że w Boliwarii panował nie były cukiernik, a bardzo podobny do niego mężczyzna.

– A więc prawdziwy prezydent jest jeszcze na wolności? – Lorenzo zbladł z przejęcia.

– Tak, ale niczego się nie obawiaj. Nie wpadliśmy w pułapkę. Barax zauważyłby, gdyby Ramirez miał ukryty radionadajnik lub podobne urządzenie. Poprzez sobowtóra nie mogą wpaść na nasz trop. Prawdziwy prezydent nie poszukuje nas. Z powodu puczu ma z pewnością inne sprawy na głowie. Po prostu spisze na straty opłacanego sobowtóra. Z pewnością myśli teraz, jak się rozprawić z pułkownikiem Negadesem i generałem Castellano... Co nowego u powstańców?

– Radio nic nie podaje. Ale gdybym mógł zatelefonować do Estrelli, dowiedziałbym się od niej wszystkiego, a i ona by się uspokoiła, że nie stało mi się nic złego.

– W porządku. Choć do willi, do kuchni.

Podczas gdy Lorenzo telefonował z kuchni, ja rozmawiałem ze starym kamerdynerem o tym, co ma być na śniadanie. Służący dobrze wiedział – jestem tego pewny – co zaszło między mną a panią Florą, lecz w żaden sposób tego nie okazywał. Przeciwnie, traktował mnie jak pana domu, co było miłe i zwiększało moją pewność siebie. Flora jeszcze spała. Po cichu wymknąłem się z willi. Lorenzo dogonił mnie w ogrodzie.

– Co powiedziała Estrella?

żenia! Ja będę pierwszym, panie inspektorze, pierwszym, który tego dokona. Zobaczymy, co będzie, jeżeli uda się ruszyć z posad to co nazywamy historią... Zmieniając kolejność i porządek rzeczy uważanych za nieodwracalne, bo zdarzyły się w przeszłości, stworzę nowy świat. Nowy świat, inspektorze!

– Konsekwencje...

– Konsekwencje mnie nie interesują!

– Nie pozwolą panu na to, Kilyos. GALPOL zrobi wszystko, żeby pana zabrać z dwudziestego wieku.

– Sądzi pan, że o tym nie wiem? Przygotowałem się do tego, bo przecież GALPOL wysyła agentów za każdym uciekinierem w czasie. Dlaczego właśnie ja miałbym być wyjątkiem? Lecz tak samo jak zmyliłem was, mogę się rozprawić z każdym następnym agentem. Nie spodziewałem się tylko, że porwiecie Ramireza i w ten sposób zorientujecie się, że nie jest mną. Sądziłem, że zabijecie go na miejscu.

– Wiedział pan, że napadniemy na Ramireza?

– Po napadzie wiedziałem, że to musieliście być wy. Pierwszym charakterystycznym dowodem było obezwładnienie bronią promienną eskorty prezydenta. Znam arsenał trzydziestego pierwszego wieku. Słyszałem, że zawsze działacie we dwójkę. Co się dzieje z pańskim towarzyszem?

– Zabili go.

– A więc to był on?... Przed godziną wspominali o tym w radiu. Jakiś Medina?

– Inspektor Roy Medina – powiedziałem i przełknąłem ślinę.

– Radio podało, że za napad na prezydenta rozstrzelano „zagranicznego agenta" ... wynikało z tego, że jego towarzysz jest na wolności i wkrótce do mnie przyjdzie. Nie było trudno się domyślić, że tu się ukrywam, prawda?

– Prawda.

Do głowy przyszła mi pewna natrętna myśl: Negades znowu skłamał. Tym razem oszukał opinię publiczną. Przecież wyrok nie został wykonany. Może sądził, że tą fałszywą wiadomością wywoła zamieszanie wśród moich ewentualnych sojuszników? Przyszli mi na myśl Lorenzo, Lopez i Estrella – więc dla nich jestem już martwy. Jedynie Flora... Żeby tylko ona nie uwierzyła.

– A więc wpadłem w pułapkę – powiedziałem wyraźnie, czysto. Miałem po temu swoje powody. Wszak Barax również słuchał moich słów. – Kilyos, wiedział pan, że Ramirez zostanie dziś zabity?

– Oczywiście, że wiedziałem. Dość starannie przestudiowałem historię Boliwarii z 1992 roku. Z głębi archiwów wygrzebałem stare, zakurzone materiały, po które żaden badacz nie sięgał przynajmniej od ośmiuset lat. Z punktu widzenia przyszłości był to całkiem nieistotny region... I właśnie dlatego mnie pociągał. Uciekając ze sterylnego świata, tam mogłem odnaleźć samego siebie. Oczywiście, przywiozłem parę schematów. Ale jedynie po to, by móc być panem własnego losu. Wiedziałem, że trzydziestego pierwszego maja po południu postrzelany jak sito Ramirez zostanie odnaleziony na jednej z ulic dzielnicy Juventud. Tak więc GALPOL i wszystkie inne instytucje z przyszłości, które mnie szukają będą przekonane, że to mnie zabito i zaniechają pościgu...

A więc miałem rację. Taki był plan Kilyosa. Ale... Serce mi zamarło. To oznacza zarazem, że...

Kilyos dostrzegł zdumienie na mojej twarzy. Wyszczerzył zęby w bezlitosnym uśmiechu:

– Domyśla się pan już, inspektorze? Oczywiście, że nie może pan wrócić w przyszłość. Nie może pan ujawnić, że wciąż jeszcze żyję... GALPOL wyśle agentów, żeby pana odnaleźli – dowiedzą się oni, że pan i pański przyjaciel co prawda zlikwidowaliście Ramireza-Kilyosa, lecz sami padliście ofiarą bezlitosnego wojskowego systemu. Jeżeli wraz z jego śmiercią zniknę z pola widzenia GALPOL-u, to wygrałem. Następnym razem pojawię się dopiero wtedy, gdy będę mieć w ręku władzę i będę mógł zgodnie ze swą wolą przekształcić ten świat! Ale na razie zniknę w tym olbrzymim tłumie ludzi. Zniknę bez śladu, inspektorze.

Obserwowałem jego oczy. W ciemnych źrenicach pojawił się dziwny blask. Pomyślałem, że chce mnie zabić. Byłem jedynym świadkiem, który mógł pokrzyżować jego rachuby. Sądził, że jestem jedynym świadkiem...

Nie wiedziałem, w którym momencie zdecyduje się na ostateczny krok. Ale chyba się nie spieszył. Jeszcze nie. Najpierw chciał się nasycić zwycięstwem.

I język... Tak, nasz język. Teraz wreszcie mógł go znowu używać. Wiedziałem, że coś zmusza go do tego, by usłyszeć płynące z własnych ust dawne, dobrze znane słowa. Wiedziałem, że bedzie mówić. Musiałem wykorzystać czas, gdy Kilyos jest w takim nastroju.

– Wiedział pan, że GALPOL wyśle nas za panem.

– Oczywiście, że wiedziałem. Na tym opierałem swój plan: zorientujecie się, że Ramirez to ja. Kiedy poprzez prawdziwego Ramireza otrzymałem wiadomość, że w jego dawnym mieszkaniu na ulicy Królowej zjawili się dwaj superagenci, których nie udało się schwytać – byłem z siebie zadowolony. A więc ludzie GALPOL-u chwycili przynętę. Przybyli we dwóch i szukali mnie... – roześmiał się. Jego głos nadal był antypatyczny.

– Kilyos, naprawdę pan sądził, że może pan zmienić bieg historii?

Odpowiedział spokojnie, choć nie wprost na zadane pytanie.

– Opanowała mnie zawodowa choroba. Wie pan, że w ostatnim czasie często zdarza się, że historycy tęsknią do badanych przez siebie, a więc znanych im epok. Być może dzieje się tak dlatego, że odkryto podróże w czasie i tęsknoty takie w każdej chwili mogą zostać zrealizowane. Ja także wpadłem w tę pułapkę. Gdy jako historyk i badacz czasu dostałem kilka pozwoleń i mogłem przekroczyć granicę czasu, choćby nawet na parę tylko godzin, mogłem fizycznie znaleźć się w dwudziestym wieku – wtedy się zmieniłem. Bardzo się zmieniłem. Zorientowałem się, że wraz z opracowaniem techniki podróżowania w czasie stworzyliśmy właściwie system równolegle istniejących światów. Rozumie pan, inspektorze? Dawniej czas płynął tylko w jedną stronę. To, co przeminęło, na zawsze zanurzało się w przeszłości, było nieosiągalne. Natomiast my w każdej chwili możemy wskrzesić którykolwiek z minionych okresów, osiągnęliśmy więc stan, w którym wszystkie stulecia istnieją dla nas jednocześnie. Niemal za naciśnięciem guzika możemy się zjawić w wybranym miejscu i czasie. Niech pan pomyśli o badaniach paleontologów i geologów w świecie sprzed dwudziestu i więcej milionów lat... A niektórzy pracują już nawet nad takimi technikami, które umożliwią im podróż do okresu Wielkiego Wybuchu oznaczającego początek całego wszechświata – do okresu, w którym być może nie istniał jeszcze czas...

Lipp Kilyos zorientował się chyba, że nie jest w uniwersyteckiej sali wykładowej. Po krótkiej przerwie ciągnął dalej, już spokojnie.

– Nie odnalazłem swego miejsca w trzydziestym pierwszym wieku. I to nie tylko jako historyk, lecz także jako człowiek. Właściwości i reguły fachu sprawiają, że historyk może jedynie rejestrować przeszłość, opracowywać epoki, procesy, ścieranie się idei, może je klasyfikować w oparciu o takie czy inne kryteria. Jednakże nie widziałem większego sensu w takiej pracy. Gdyby nie ja – zrobiłby to ktoś inny. Albo nikt i też byłoby dobrze. Ta bezcelowość bolała mnie. Coraz bardziej pociągała mnie żywa, prawdziwa przeszłość, pragnąłem tam żyć, zanurzyć się w niej, tak by wokół mnie rozgrywały się prawdziwe cierpienia i namiętności, prawdziwe walki...

– Dlaczego nie udał się pan do średniowiecza? – zapytałem z ironią. – Powiedzmy jako galernik. Miałby pan dość cierpień.

– Nic pan nie rozumie. Nasze nowoczesne życie jest takie jak zamknięty w krysztale superfilm, nagranie wideo. Ostry obraz w doskonały sposób zakonserwowany na doskonałym materiale, znakomity dźwięk, bezbarwna, bezwonna akcja... Możemy to odtworzyć tysiące razy, a jakość będzie dokładnie taka sama. W trzydziestym pierwszym wieku nie ma nawet niespodzianek, bardziej nudna i beznadziejna będzie jedynie epoka, w której ludzie pokonają śmierć i życie stanie się wieczne...

– Niech pan zostawi te bajeczki, Kilyos! – sytuacja w jakiej się znalazłem denerwowała mnie już. – Nie po to przywiózł pan ze sobą pole siłowe i schemat Voltransa, żeby „wtopić się w dawną epokę" i „zjednoczyć z żyjącymi tu ludźmi"... Bzdura! Chciał się pan znaleźć w lepszej sytuacji niż tubylcy, to znaczy: panować nad nimi. To był pański prawdziwy cel!

– To także! – Kilyos uśmiechnął się do mnie z nieoczekiwaną szczerością. W jego zimnych oczach rozjarzył się teraz płomień. – Jeżeli już podjąłem się takiego ryzyka i musiałem się podwójnie ukrywać – z jednej strony przed agentami GALPOl-u, zaś z drugiej przed tubylcami mogącymi mnie zdemaskować – to nie chciałem być jednym z pięciu miliardów robaków, które w każdej chwili mogą być starte z powierzchni ziemi przez potężniejszą siłę lub choćby przez głupi przypadek! Nigdy jeszcze żaden historyk nie miał możliwości kształtowania procesów i wydarzeń według własnej woli i własnego wyobra-

– Powstańcy zbliżają się już do Boliwar. Na wschodzie i północy zajęli najważniejsze miasta. Generał Castellano ogłosił się prezydentem, ale poszła za nim jedynie część sił lądowych. Tu, w mieście, władza jest w ręku pułkownika Negadesa. Nie zmobilizowano jeszcze partyzantki miejskiej. Ludzie Lopeza czekają, aż oddziały powstańcze z gór podejdą bliżej do miasta.

Weszliśmy do warsztatu. Lorenzo usiadł na brzegu łóżka i odezwał się.

– Proszę powiedzieć jak się robi tort „Maddalena". Co jest potrzebne?

Ramirez ożywił się. Po raz pierwszy tego dnia przez jego twarz przemknął grymas przypominający uśmiech.

– Mielone orzechy, migdały, cukier puder, śmietana, jajka, masło, trochę rumu, no i oczywiście najdelikatniejsza mąka tortowa... – Powiedział dokładnie jak się przygotowuje i piecze ciasto, a później mówił dalej.

– Kiedy jest już gotowy, kładę na wierzch kulkę marcepanową. Niektórzy polewają go czekoladą, ale moim zdaniem jest to duży błąd, nadaje mu zupełnie inny smak...

Lorenzo pociągnął mnie do kąta.

– Roy, to na pewno cukiernik Ramirez... Przed chwilą zapytałem Estrellę, jak się robi tort „Maddalena"... A jeżeli ten człowiek tak dobrze wie, to w takim razie nie ulega wątpliwości, że on jest prawdziwym prezydentem Boliwarii!

Spojrzałem na zegarek.

– Teraz dostanie pan śniadanie. Przyjdę przed dziesiątą i wysłucham historii, którą mi pan opowie.

– Historii?

– Tak, o tym człowieku, który jest tak bardzo do pana podobny.

Obserwowałem jego oczy, same oczy. I dostrzegłem ten błysk. Dobrze znam te proste reakcje.

– Wszystko nam pan o nim opowie. W przeciwnym wypadku będziemy zmuszeni pana zabić – powiedziałem i zostawiłem go w piwnicy.

*

Tym razem Flora nie była w tak dobrym humorze, jak w poprzednich dniach. Podczas śniadania zrywała się na każdy szmer, jadła nerwowo i mówiła więcej niż zwykle.

– Roy, jeżeli w mieście wybuchną rozruchy, my także znajdziemy się w niebezpieczeństwie. Mój mąż był ambasadorem byłego prezydenta i ci żołnierze, czy Bóg wie kto, którzy teraz znaleźli się u władzy, mogą się wedrzeć do domu. Mój mąż ma wielu wrogów w ministerstwie.

– Nie bój się, kochanie. Niczyja noga tu nie postanie. Tobie nie może się stać nic złego. Mam wpływowych przyjaciół.

– Sądzisz, że można na nich liczyć?

– Na jednego spośród nich na pewno.

Myślałem o pułkowniku Negadesie. Ten typ spod ciemnej gwiazdy znowu mi chyba bedzie potrzebny. Zwłaszcza że przecież Lipp Kilyos nadal jest na wolności i Bóg wie, gdzie się znajduje. Musimy go schwytać. Nie możemy zaniechać walki, nie możemy wrócić bez niego. Po to przeprawiliśmy się przez czas, po to cofnęliśmy się o ponad tysiąc lat...

– Jak myślisz, czy mogę wyjść na miasto? – zapytała Flora już nieco spokojniej. – Trzeba kupić parę rzeczy, bo a nuż ogłoszą stan oblężenia. No i biedna mama... Próbowałam się do niej dodzwonić, ale w tamtej okolicy była podobno strzelanina, telefony nie działają, nie ma prądu. Muszę zobaczyć, czy się biedaczce coś nie stało.

– Możesz spokojnie iść. I przynieś gazety – ucieszyłem się, że nie będzie jej w domu przed południem. Dzięki temu będę mógł w spokoju porozmawiać z mistrzem cukiernictwa Ramirezem.

*

W piwnicy byliśmy tylko my dwaj. Lecz nawet przez ściany czułem na sobie spojrzenie Baraxa. Wiedziałem też, że nagrywa naszą rozmowę.

Ramirez był jeszcze bledszy niż rano. Ze strachem patrzył na mnie. Wiedziałem, że boi się mnie, nas. Nagle zrobiło mi się go żal. Był tak nieszczęśliwy, tak samotny. Czyżby to on miał być tym strasznym dyktatorem?...

Oczywiście, na stołek prezydencki trafił dopiero przed tygodniem. Nie zdążył jeszcze popełnić wielu nikczemności, nie zabrudził jeszcze rąk. A choć nie miał jeszcze pięćdziesięciu lat, wyglądał na co najmniej sześćdziesiąt.

– Niech się pan nie boi, señor Ramirez. Wiemy, już, że właściwie nie jest pan tym, kogo szukamy. Schwytaliśmy nie tego, kogo chcieliśmy. Zaszła pomyłka.

– Ale... ja jestem prezydentem Ramirezem... – rozpaczliwie próbował podkreślić wagę swojej osoby mając nadzieję, że uznamy go za cennego zakładnika i nie zrobimy mu krzywdy. Nie wiedział, że mam inne plany.

– Zagrajmy w otwarte karty, Ramirez. Potrzebuję informacji o drugim Ramirezie. Niech mi pan powie o nim wszystko.

Kącik jego ust zadrżał.

– Groził mi... żebym nigdy nic z tego nie wyjawił. Zemści się na mojej rodzinie.

– Niech go pan zostawi nam. Im więcej pan o nim opowie, tym prędzej wpadniemy na jego trop. Potrzebujemy jego, nie pana. A tylko poprzez pana możemy do niego dotrzeć. Nie będziemy przebierać w środkach. Jeżeli nie chce pan źle skończyć, to niech pan mówi. Kiedy spotkał go pan po raz pierwszy?

Zaczerpnął głęboki oddech, jak pływak przed skokiem do wody. Decyzja była trudna, ale już się z nią pogodził.

– To było ze dwa tygodnie temu. Pewnego wieczoru miałem dziwny telefon. Mężczyzna mówiący z obcym akcentem oznajmił, że zaraz przyjdzie do mnie do domu w ważnej sprawie. I przyszedł. Od razu zauważyłem, jak bardzo jest do mnie podobny. Powiedział, że jest moim bratem. Zdziwiło mnie to. Ale on twierdził, że moi rodzice mieli jeszcze jednego syna, to znaczy jego, który wyjechał za granicę, tam wychowali go inni ludzie, dlatego źle zna język. Historia była niejasna, ale moi rodzice dawno umarli, nie mogłem więc tego sprawdzić. W każdym razie wielkie podobieństwo zdawało się to potwierdzać. Poprosił o nocleg, a także o to, by poza moją żoną nikomu na razie nie mówić, że jest u nas. Powiedział, że jest wynalazcą i pracuje nad sensacyjnym urządzeniem, którego jeszcze nie skończył. Potrzebuje spokoju. Mówił też, że ktoś chce wykraść jego wynalazek, że ścigają go agenci, którzy przed niczym się nie cofną, żeby tylko zdobyć opis lub pierwszy egzemplarz urządzenia, które niebawem będzie gotowe.

Przy „zdecydowanych na wszystko agentach" głos mu się załamał. Odwrócił głowę. Sądzę, że dopiero teraz pojął znaczenie tak często powtarzanego i słyszanego wyrażenia. W jego mniemaniu słowa Kilyosa teraz znalazły potwierdzenie: no proszę, okrutni agenci naprawdę istnieją, napadli na niego... Spośród nas jedynie Baraxa można by nazwać zdecydowanym na wszystko, lecz jego odwaga była całkiem innej natury... Jednocześnie dobrze wiedziałem, o jakim wynalazku mówił Kilyos. Chodziło o aparat do przenoszenia woli – Voltrans. A więc mamy już jeden punkt zaczepienia: w ciągu pierwszych sześciu tygodni ukrywania się Kilyos nie zdołał zmontować urządzenia. Czyżby nastąpiło to dopiero tutaj, w Boliwarii?

– Niech pan mówi dalej.

Przyjąłem go. Żona go polubiła. I... no tak ja też go polubiłem. W pierwszych dniach był skromny i zgodny. Mieszkał w pokoju na strychu, nigdzie nie chodził. Czasami prosił mnie, żeby mu przynieść jakiś katalog z częściami elektronicznymi, zaznaczał tam różne elementy i drobne przyrządy i prosił, żeby je kupić. Zawsze za wszystko płacił. Miał dużo pieniędzy. W międzyczasie ja przygotowywałem grunt dla mojej kariery politycznej.

– A kiedy zaczął z panem rozmawiać o polityce?

– Gdy tylko skończył pracę nad tym urządzeniem.

Skinąłem głową, wargi miałem spierzchnięte. No oczywiście, tego się należało spodziewać. Bez Voltransa Kilyos byłby w tym kraju nikim, ukrywającym się, drżącym z przerażenia człowiekiem. Ale teraz!...

– Słyszałem, że wysłano policjantów, żeby pana aresztować. Już wcześniej zajmował się pan polityką?

– Tak. Choć wiele osób uważało mnie tylko za cukiernika, działałem już od dawna. Nie powiem,

wokół siebie pole siłowe! Przewody magnetycznych induktorów owinął wokół bioder i głowy, skąd biegły do metalowego pierścienia okalającego jego bujne włosy.

No proszę, oto jedno z urządzeń, które jak powiedział szef, zabrał ze sobą w przeszłość poza aparatem Voltrans. Mogłem się tego domyślić – wszak dbał o swe bezpieczeństwo.

Bezradnie opuściłem broń. Wtedy Kilyos uniósł wzrok i z tym samym krzywym uśmiechem na twarzy odezwał się.

– Niech pan wejdzie, inspektorze. Czekałem na pana.

Z progu jeszcze raz strzeliłem, choć wiedziałem, że nic to nie da. Ogarnęło mnie dziwne uczucie. Mdłości zaczęły się w żołądku, lecz rychło ogarnęły także klatkę piersiową i gardło. Wydawało mi się, że czuję je nawet w mózgu... Palce mi się rozwarły – broń upadła na podłogę. Chciałem się po nią schylić lecz zamiar nie przerodził się w czyn. Czułem się jakbym brodził w morzu ołowiu, najdrobniejszy ruch przychodził mi z trudnością. Wymagał wielkiego wysiłku. Dyszałem. Oblałem się potem.

– Źle się pan czuje, inspektorze?... – zapytał Kilyos ze zjadliwą ironią.

– Moje nogi... – odpowiedziałem głupkowato. Nasz język z trzydziestego pierwszego wieku tak normalnie brzmiał w tych o tysiąc lat wcześniejszych ścianach.

– Niech się pan daremnie nie trudzi. Jest pan w mojej władzy. Sparaliżowałem pańską wolę...

Fotel stał w odległości paru zaledwie metrów – a jednak gdy tam dobrnąłem, byłem tak wyczerpany, jakbym dźwigał na ramionach górę. Dysząc opadłem na siedzenie.

– Co pan chce ze mną zrobić? – zapytałem. Na szczęście mówienie i myślenie nie sprawiało mi trudności. W tej chwili nie mogłem poruszyć już ani ręką ani nogą – Kilyos zwiększył siłę emisji aparatu. Mdłości z wolna ustąpiły. Przypominały mi się dawne lektury – tak właśnie wyglądały doznania ludzi, którzy się znaleźli pod wpływem działania aparatu do przenoszenia woli.

– Długo trwała ta gra, Kilyos – powiedziałem.

– Tak, ale teraz już dobiega do końca. – Dziwiłem się, że mimo paraliżu wykazuję odwagę. Jednak część ciała była mi posłuszna: mówiłem, ruszałem ustami, szyją, głową.

– Tylko, że koniec nie będzie wyglądał tak, jak to się wydawało GALPOL-owi. – Położył przed sobą na stole pistolet. Wzrokiem oszacowałem odległość – broń wciąż jeszcze była w zasięgu jego ręki. On także spojrzał na rewolwer.

– Takie zabawki przypominają mi moją przeszłość.

– To znaczy: przyszłość – poprawiłem, lecz on potrząsnął głową.

– Dla mnie to przeszłość. To, co minęło. Moją przyszłością będzie dwudziesty i dwudziesty pierwszy wiek.

– To, co mi się nie udało, uda się innym – powiedziałem. – GALPOL przyśle tu po pana choćby stu agentów.

– Nie przyślą już ani jednego – powiedział Kilyos z uśmieszkiem. Jego spojrzenie było zimne i twarde. Zdeterminowane. Wrogie.

Nie dyskutowałem z nim. Jednakże Kilyos miał ochotę na pogawędkę. Ostatnie tygodnie bardzo źle na niego wpłynęły. Z kim mógł teraz rozmawiać?... Nawet się mu nie dziwiłem: od kiedy przekroczył limes tempori musiał się przez cały czas ukrywać. Od chwili gdy usidlił Gallego Ramireza, nie mógł się nawet pokazywać publicznie – przeklęte fizyczne podobieństwo stało się jego więzieniem. Zapewne od dwóch tygodni nie był na świeżym powietrzu, nie mógł spacerować po ulicach i parkach Boliwar, jadać w restauracjach. Ślady tego wszystkiego widziałem na jego popielatej twarzy, w zmęczonych ruchach. Sam zamknął się w więzieniu – najstraszliwszym, jakie człowiek mógł sobie wyobrazić. Czy to w dwudziestym czy w trzydziestym pierwszym wieku... Ukrywał się, by GALPOL uwierzył, że Ramirez i Kilyos to jedna i ta sama osoba. A więc to, co przydarzyło się prezydentowi, przydarzyło się jemu. Czy – jeżeli Ramirez zostanie zabity – Kilyosowi uda się zniknąć bez śladu z powierzchni ziemi? Czy na to liczył?

Teraz niespodziewanie zjawiłem się ja – człowiek przybywający z jego dawnego świata. Ktoś, przed kim nie trzeba, nawet nie można, ukrywać swoich myśli, ani swej prawdziwej tożsamości. Miniony okres wydawał się być długim, tragicznym i ryzykownym balem maskowym, w czasie którego musiał walczyć w obcym i często wrogim świecie bez towarzyszy, sprzymierzeńców, przyjaciół czy wspólników.

– Miej oczy otwarte, Barax – szepnąłem.
– To znaczy, że mam uważać?... Będę uważał – obiecał i zniknął.
Ja zaś ruszyłem przed siebie.
Na szczęście drzwi balkonowe były otwarte, nie musiałem tracić czasu na ich wyważanie. W czasie ciepłych nocy w ten sposób wietrzono zapewne staroświecki pałac. Znalazłem się w sporej sali, niemal zupełnie pozbawionej mebli. Oczy przyzwyczaiły się do półmroku. Byłem uzbrojony i czułem się bezpieczny, lecz mimo wszystko uważałem, żeby nie spowodować hałasu.
Za salą był korytarz, ruszyłem przed siebie szukając schodów prowadzących na górę. Przez drzwi przenikało światło, usłyszałem jakieś głosy. Drzwi nie były zamknięte. Przycisnąwszy się do ściany podkradłem się bliżej i zerknąłem do środka. W pokoju siedzieli dwaj żołnierze i słuchali radia:
– „... wrogowie demokracji zamordowali Gallego Ramireza. Jego zwłoki zostały dziś po południu wystawione w sali parlamentu..."
Po cichu przemknąłem się w przeciwnym kierunku. Znalazłem schody. Na schodach wisiały słabo świecące, rozmieszczone w regularnych odstępach lampy elektryczne imitujące świece. Na następnym piętrze przyjęła mnie cisza i półmrok. Wiedziałem, że i tu zapewne nie ma Kilyosa.
Na tym piętrze mieściły się pomieszczenia biurowe. Na drzwiach wisiały tabliczki z nazwiskami i liczbami. Przypomniała mi się wiadomość sprzed paru dni: w tym właśnie budynku Ramirez przekonał prezydenta Veruzzy i jego świtę do idei zjednoczenia obu krajów...
Tak, Voltrans. Jeśli tu jest Kilyos, to urządzenie musi tu być także. Najprawdopodobniej uciekinier w czasie nie porusza się bez niego nawet na krok. Przy pomocy aparatu może wywierać wpływ na mózg każdego człowieka...
Odetchnąłem głęboko. Ja też mam ludzki mózg... Starałem się jednak nie myśleć o tym zagrożeniu.
Na ostatnie piętro prowadziły znacznie węższe schody. Choć bardzo uważałem, to jednak nie udało mi się uniknąć hałasu. Od czasu do czasu stawałem wstrzymując oddech. Słyszałem bicie własnego serca. Znowu uświadomiłem sobie, że jestem w dwudziestym wieku. Dotarłem do pomalowanych na biało drzwi. Nasłuchiwałem. W pałacu panowała cisza. Lippie Kilyos, jesteś gdzieś tutaj, musisz tu być. Zaskoczę cię, może się uda...
Powoli otworzyłem drzwi. Jedną rękę trzymałem w kieszeni – ściskałem w niej pistolet promienny. Znajdowałem się w ciemnym pomieszczeniu. Korytarz? Sala? Z wahaniem ruszyłem dalej. Drewniana podłoga skrzypiała pod moimi nogami. Przede mną wyrosła kolejna ściana, obmacywałem ją. Z daleka dobiegł mnie bardzo słaby blask światła. Powoli zacząłem się skradać w tym kierunku.
Znalazłem się w kolejnej sali. Po jeszcze grubszym, miękkim dywanie szedłem dalej wymijając skryte w półmroku fotele i szerokie stoły. Zmierzałem do uchylonych staroświeckich, dwuskrzydłowych drzwi, za których na podłogę padał żółtawy blask.
Spojrzałem przez szczelinę i – choć byłem przygotowany na ten widok – poczułem, jak mój oddech staje się szybszy: w pokoju za szerokim stołem... siedział Lipp Kilyos.

*

W ustach mi zaschło, serce waliło mi w gardle. Poruszałem się powoli. W ręku czułem chłodny dotyk gładkiej kolby pistoletu. Nie widziałem już nic poza tym człowiekiem. Był bardzo podobny do Ramireza. Muszka pistoletu powoli przesłoniła głowę Kilyosa.
W chwili, gdy uruchomię broń – nasze kłopoty się skończą. W ciągu jednej sekundy uciekinier znajdzie się w naszych rękach...
Nacisnąłem wyzwalacz promieni.

*

Nic się nie stało. Lipp Kilyos siedział za stołem. Pomyślałem, że promień nie wytrysnął i strzeliłem ponownie. Wskaźnik dowodził, że wypromieniowana dawka wystarczyłaby, żeby pozbawić dorosłego człowieka przytomności na co najmniej dwadzieścia godzin...
Kilyos uniósł głowę. Dopiero teraz, w pełnym świetle zobaczyłem jego twarz. Zdumiałem się – Kilyos się uśmiechał.
Był to karykaturalny uśmiech – dziwny, obcy. Na głowie miał metalową obręcz. Kilyos wytworzył

przygotowanie gruntu pochłonęło dużo pieniędzy... Ale pozyskałem znaczących zwolenników. Teraz jednak sądzę, że bez niego niczego bym nie osiągnął.
– Czy nie czuł pan czegoś szczególnego, kiedy namawiał pana na ten dziwny i śmiały krok?
– Skąd pan wie? – zdziwił się. – Rozmawialiśmy w pokoju na strychu, on grzebał przy maszynie. Przez chwilę poczułem nudności, takie jak w windzie, kiedy zbyt szybko rusza się w dół, zna pan to uczucie, prawda? A później nagle wszystko zaczęło mi się wydawać proste i łatwe. Nie widziałem przed sobą przeszkód. Wszystko to, co mówił, wydawało się możliwe, a nawet po prostu sam tego chciałem... Faktycznie, dlaczego nie mógłbym być prezydentem tego kraju od razu, teraz, skoro planuję to już od tylu lat? Nie chciałem być cukiernikiem, ojciec mnie do tego zmusił. Zawsze interesowała mnie polityka. Wiedziałem, że muszę jedynie wykonać pierwszy krok i mogę znaleźć się wysoko, bardzo wysoko!
Patrzyłem na jego twarz. Był podniecony. Dopiero po chwili przyszedł do siebie, rozejrzał się po piwnicy. Kurczowo chwycił brzeg łóżka.
– Gdybym wiedział, że znajdę się tutaj...
– Polityka to śliska sprawa, señor Ramirez. Mamy jednak mało czasu, skróćmy więc tę opowieść. Czy on też pomagał czasem namówić niektóre osoby, by stanęły po pana stronie?
– Tak się zdarzało, zwłaszcza w ostatnich dniach przed przejęciem władzy. Zawsze był w sąsiednim pokoju, razem ze swoją maszyną.
Wszystko było jasne. Urządzenie do przenoszenia woli działało bez zarzutu i stosując je, Kilyos popełnił przestępstwo złamania czasu. Co można osiągnąć za pomocą takiego aparatu nie trzeba było mi tłumaczyć. Nawet w epokach i społeczeństwach o znacznie bardziej rozwiniętym poczuciu etyki trafiało się sporo osób, które przynajmniej próbowały w ten sposób narzucić swą wolę innym...
– Tak więc szybko doszedł pan do przekonania, że za pomocą swojego sobowtóra potrafi pan rozwiązać wszystkie problemy Boliwarii.
– Więcej! Mógłbym na nowo stworzyć, przekształcić cały świat! – krzyknął. Po chwili ciągnął dalej. – Zanim owego pamiętnego dnia wyruszyliśmy do parlamentu, udowodnił do czego jest zdolny. Oświadczył, że odtąd ze swoją maszyną będzie mi służył. W zamian za to, jako przyszły dyktator miałem zapewnić mu ochronę. Zawsze, w każdej sytuacji... To on zaproponował, by za pomocą maszyny namówić posłów, by mnie wybrali. A potem, by zwołać szefów ościennych państw, których w czasie wizyty napromieniuje tak, że podpiszą wszystko, co im podsuniemy. W ten sposób moglibyśmy jednoczyć coraz większą liczbę krajów, rzecz jasna, pod moim przywództwem...
– Naiwny pomysł.
– Na początku i ja tak sądziłem. Ale on mnie uspokoił, że od czasu do czasu i my możemy złożyć wizytę w innych krajach i przekonać choćby milionowe zgromadzenie ludności, by przyjęło nasze żądania...
A więc Kilyos planował już zbudowanie urządzenia o większym zasięgu.
– Tak więc wprowadził się pan razem z rodziną do Pałacu Prezydenckiego. Tam ukrycie go było już trudniejsze.
– Trudniejsze, ale nie niemożliwe.
– Gdzie on jest teraz? – zadałem najważniejsze pytanie.
– Nie wiem – potrząsnął głową – wczoraj rano, kiedy opuszczałem miasto, był w letnim pałacu.
– Tam też namówiliście prezydenta Verruzy na zjednoczenie obu krajów... – wstałem i podszedłem do drzwi. – O pańskim losie zadecydujemy później, panie Ramirez – i wyszedłem.

*

Tym razem uzyskanie połączenia przez chronotelefon było bardzo trudne. Aparat trzeszczał – skomunikowanie się przez eter i przez stulecia było prawie niemożliwe. Jednakże w końcu udało się.
– Medina...
– Witam szefie.
– Co nowego?
Opowiedziałem mu wszystko, rzecz jasna, w skrócie. Szef milczał. Wiedział, że nie może mi nic poradzić, co najwyżej jest w stanie udzielić mi informacji.
– Roy, ma pan jeszcze parę godzin. Później w mieście rozpoczną się walki. Tylko w jeden sposób

może pan wpaść na trop Kilyosa... Niech pan szuka Voltransa!... – na linii coś zgrzytało i trzeszczało. Nie rozumiałem dokładnie wszystkich słów. Domyślałem się jednak, co sugeruje. Gdy ponownie usłyszałem wyraźnie jego głos, z pewnym zdziwieniem podchwyciłem imię Flory.

– ... zarząd zaakceptował związek z tą kobietą.

– Dziękuję – wysapałem. Na sekundę zapomniałem nawet o Kilyosie. Co im się stało? Czy to szef ich namówił, żeby wydali takie pozwolenie? Coś takiego nie zdarzyło się nigdy wcześniej. Policja czasowa nie zezwalała na takie związki. Co prawda i tak musiałbym zameldować o całej sprawie, komisja badająca przebieg misji dowiedziałaby się wszystkiego przez Baraxa. Ale to, co powiedział szef, było zdumiewające. A może nawet mógłbym zabrać Florę ze sobą w trzydziesty pierwszy wiek?...

Połączenie przerwało się.

*

Barax również słyszał rozmowę. Inaczej nie dało się jej przeprowadzić – jedynie przez niego. Zgodnie ze swym zwyczajem nie zareagował. Oświadczył jedynie, że w czasie gdy ja rozmawiałem, Flora wyjechała samochodem do miasta.

– Czy Kilyos jest jeszcze w mieście? – zapytał później. Wiedział, że teraz to jest najważniejsze.

– Być może. Z powodu walk trudno się teraz stąd wydostać.

Zastanawialiśmy się, co robić. W ciągu kilku sekund racjonalnie myślący mózg Baraxa przeanalizował setki możliwych kombinacji. Po chwili odezwał się.

– Tak jak powiedział szef, Kilyos zabrał ze sobą aparat. Możliwe, że był zmuszony go użyć.

– Rozumiem, nie musisz kończyć – pospiesznie wszedłem do willi. Usłyszałem, że Lorenzo i stary kamerdyner słuchają w kuchni radia: jakiś męski głos donosił właśnie, że partyzanckie oddziały Frontu zbliżają się do miasta... Zamknąłem drzwi i usiadłem przy telefonie.

W książce telefonicznej było mnóstwo numerów Pałacu Prezydenckiego. Wydział protokołów, sekretariat, służba bezpieczeństwa i przynajmniej dwadzieścia innych wydziałów. Rzecz jasna, domyślałem się, że – na ile znam dwudziesty wiek – naprawdę ważne numery są utajnione i nie ma ich w książce.

Sądziłem, że najlepiej poinformowani ludzie są w służbie bezpieczeństwa i z pewnością są wypróbowanymi zwolennikami Negadesa. Tak więc zadzwoniłem właśnie tam. Odezwał się męski głos.

– Służba.

– Chcę rozmawiać z prezydentem – zacząłem ze znamienną dla mnie bezpośredniością. Jednakże tamten musiał mnie chyba uważać za zwykłego wariata, bo odłożył słuchawkę. Znowu wykręciłem numer.

– Służba.

– Jestem Roy Medina i nie radzę panu ponownie odkładać słuchawki – powiedziałem całkiem innym tonem. – Nie dzwonię do pułkownika dla przyjemności, ale mam mu do przekazania wiadomości wielkiej wagi.

– Nigdy nie słyszałem pańskiego nazwiska... señor – odpowiedział facet po drugiej stronie linii. Jednakże w jego głosie wyczuwałem już pewien szacunek, który przyjąłem z zadowoleniem.

Musiałem czekać kilka minut, w słuchawce rozbrzmiewał jedynie szum wynikający z prymitywizmu techniki w tej epoce. Później zgłosił się jakiś inny mężczyzna.

– Señor Medina?

– Tak. Muszę zamienić z prezydentem parę słów w nadzwyczaj ważnej sprawie.

– Nie sądzę, żeby to była najodpowiedniejsza pora...

– Na to nigdy nie będzie odpowiedniejszej chwili, hombre. Niech pan powie Negadesowi, że Medina jest na linii i chce powiedzieć coś ważnego o cukierniku...

Sekretarz podejrzewał zapewne, że słowo to jest jakimś tajnym hasłem i po minucie połączono mnie wreszcie bezpośrednio z prezydentem. Rozległ się dobrze znany głos.

– Negades.

– Witam, pułkowniku. Przepraszam, zapomniałem, że już został pan prezydentem.

– Señor Medina, powiedziałem panu uprzednio, żeby pan do mnie nie dzwonił.

– Sądzi pan, że w obecnej sytuacji dopuszczono by mnie osobiście do pana? Mój cudzoziemski akcent jest zbyt podejrzany i nie mam dokumentów... Ale zostawmy to.

Wyobraziłem sobie ten widok. Barax potrafi biegać niesamowicie szybko, jeżeli włączy trzeci stopień. Oddala się od punktu startu, jak sprinter na przyspieszonym filmie.

– Tak więc zostawiłem Ramireza. Przebiegłem przez ulicę Algeciras, a później, kiedy żołnierze zniknęli mi z oczu, zwolniłem do normalnej prędkości. Lekko oszołomiłem Lorenza, tak by nie zdawał sobie sprawy z tego w jaki sposób uciekamy. Przyszedł do siebie znacznie później. Powiedziałem mu, że to z powodu rany w ramieniu czuje się tak dziwnie. Opatrzyłem mu obrażenia i złapałem taksówkę. Powiedział, że jedzie do portu, gdzie czekają na niego Estrella i profesor. Zaś ja poczekałem na następną taksówkę i pojechałem nią w stronę letniego pałacu. W pobliskim parku oczekiwałem aż się ściemni. Myślałem, że jesteś tam...

– A później nagle doszedł do ciebie sygnał SOS...

– Ale nie stamtąd, lecz z przeciwnego krańca miasta. Szybko ustaliłem miejsce. Ponieważ już było ciemno, spokojnie mogłem unieść się w powietrze. Nie musiałem się obawiać, że mnie zauważą. Szef poinstruował mnie, żeby tej metody używać wyłącznie w nocy.

W parku panowała cisza. Wdychałem zapach róż. Drzewa wyglądały jak czarni strażnicy.

– Chodźmy, Barax.

– Dokąd?

– Do letniego pałacu. Po Lippa Kilyosa...

*

Po drodze obmyśliliśmy plan akcji. Teraz mieliśmy przeciwko sobie nie prymitywnych tubylców w rodzaju Negadesa, lecz współczesnego nam, godnego przeciwnika. Mogliśmy się spodziewać, że Lipp Kilyos nie podda się bez walki. Musieliśmy obmyślić bardzo zręczny plan.

– Sądzisz, że tak będzie dobrze? – sceptycznie zapytał Barax pod koniec narady.

– Czego się obawiasz?

– Że stanie ci się coś złego, Roy.

Poczułem dziwne ciepło. Żaden z kolegów nigdy się o mnie nie niepokoił. A teraz właśnie Barax?... Przez chwilę ujrzałem znowu twarz szefa. „Kogo bierze pan ze sobą, inspektorze?". „Tylko Baraxa, proszę pana." „Baraxa?" Oto dowód, że dokonałem słusznego wyboru. Barax był dobrym kompanem na Kasjopei-beta i na Marsie, i tak samo mogłem na niego liczyć w dawnych epokach na Ziemi. Cokolwiek by mówiono w 3044 roku, Barax jest nie tylko maszyną wypełniającą konkretne i logiczne polecenia...

– Nie bój się, stary. Tylko wtedy możemy zwyciężyć, jeżeli wszystko postawimy na jedną kartę.

– Czy to jest znowu jakiś idiom?

– Tak, zabiorę go dla szefa... Ale teraz mówię poważnie, Barax. Jeden z nas musi wpaść w przypuszczalną pułapkę, żeby drugi mógł później zwyciężyć.

– Zbyt wiele mi powierzasz, Roy.

– Jestem pewny, że dasz sobie radę. Jeżeli Kilyos jest jeszcze w pałacu, tylko w ten sposób możemy go ująć. Nie zapomnij – nie otrzymasz ode mnie żadnego sygnału. Musisz działać sam. Przez cały czas będziesz wiedział, co się dzieje.

– Letni pałac ma grube, stare ściany. Już wieczorem zrobiłem próbę – nic przez nie nie widzę.

– Nie szkodzi. Potrafisz wiele innych rzeczy, Barax. Pomyśl, że w ten sposób obaj możemy wrócić do naszej epoki. Możemy wrócić do domu, Barax.

Zastanawiał się. Lecieliśmy teraz nad miastem. Zbliżaliśmy się już do letniego pałacu, widziałem ulicę, ogrodzenie.

– Przy bramie stoi parę osób. Ogrodzenie nie jest pilnowane.

– A w środku?

– Nie wyczuwam istot żywych.

– No to... na dół!

Po cichu, niepostrzeżenie przelecieliśmy nad ogrodzeniem i wylądowaliśmy obok ściany budynku.

– Zanieś mnie na balkon.

Przez sekundę bezgłośnie lecieliśmy. Usiadłem na barierze balkonu i odwróciwszy się do środka stanąłem na kamiennej posadzce.

Rozdział 9

- Wylądujemy w jakimś parku.
Bezgłośnie, miękko opadliśmy na ziemię.
- Opowiadaj Barax.

Staliśmy na trawie, pomiędzy krzakami róż i ozdobnymi krzewami. Drzewa parku dzieliły pogrążoną w półmroku okolicę na regularne kwadraty. W oddali błyszczały światła wielkiego miasta. Nad ziemią unosił się gęsty zapach kwiatów.

- ... Nie zgłaszałeś się całe przedpołudnie i domyślałem się, że coś się stało. Ale psychoczujniki nic nie odbierały. Odległość między nami musiała być zbyt wielka...

Lorenza także niepokoiła twoja nieobecność. Z Ramirezem nie było żadnych kłopotów. W ten sposób upływał czas. Później nagle - po godzinie piętnastej czasu miejscowego - moje czujniki odebrały jakiś niewyraźny sygnał, ale był on zbyt słaby, żeby ustalić koordynaty...

Wtedy dali mi ten przeklęty zastrzyk, przebiegło mi przez myśl. Niedługo potem stwierdziłem, że ze wszystkich kierunków jednocześnie zbliżają się pojazdy.

- Otoczyli ulicę Algeciras - szepnąłem. - Zbiry Negadesa otrzymały posiłki. To były wojskowe pojazdy?
- Tak. Szybko się zorientowałem. Szczelnie zablokowali okolicę na wysokości drugiej czy trzeciej ulicy. Ale jeszcze nie byliśmy pewni, o co toczy się gra. Czy rzeczywiście polują na nas. Wyprowadziliśmy samochód z garażu. Lorenzo usiadł z tyłu z Ramirezem, ja prowadziłem.
- Dobrze zrobiłeś. Czekanie, aż przeprowadzą skoncentrowany atak na willę, nie byłoby rozsądne - pochwaliłem go.
- Tamci ruszyli ławą jak na polowaniu z nagonką. Szybko zbliżali się przez ogrody i podwórka. Dodałem gazu i pojechaliśmy w dół ulicy Algeciras.
- Zastawili drogę?
- Oczywiście. Zaledwie ujechaliśmy sto metrów, naprzeciw nam wyjechały na asfalt dwa wojskowe łaziki, a obok nich biegło wielu umundurowanych piechurów z bronią skierowaną na nas... Natychmiast włączyłem pole siłowe.
- Dobrze zrobiłeś.
- Nie zrobiłem dobrze, ale to się okazało dopiero po paru sekundach. Tak prowadziłem samochód, żeby przejechać między łazikami. Oczywiście strzelali do nas. A nasz samochód zwolnił.
- Zwolnił?
- Tak, bo pod wpływem magnetycznego oddziaływania pola siłowego, elektryczny zapłon wyłączył się, silnik nie działał... Dostaliśmy mnóstwo kul, postrzelali samochód jak sito. Błyskawicznie musiałem podjąć decyzję: czy zostawić pole siłowe, które przynajmniej osłoni nas przed pociskami ale wtedy utkniemy na skraju drogi i samochód zaraz się zapali, czy też je wyłączyć i próbować stamtąd czym prędzej się wydostać?... Wyłączyłem pole siłowe i ponownie włączyłem silnik. Przyspieszyłem. Lorenzo krzyczał, ale nie zwracałem na niego uwagi. Żołnierze zaczęli nas ścigać. Użyłem broni promiennej, w ten sposób zdobyliśmy pewną przewagę. Ale przedziurawili już koła samochodu. Zaś Ramirez dostał dwa strzały, jeden w głowę, zostały mu tylko minuty życia.
- A Lorenzo?
- Lekko ranili go w ramię. Kiedy samochód się zatrzymał, musiałem podjąć decyzję, bo zbliżały się nowe oddziały nieprzyjaciela - pieszo i w samochodach. Ramirez czy Lorenzo? Tylko jeden z nich mieścił się w polu siłowym. Którego więc mam zabrać ze sobą: półżywego dyktatora czy naszego przyjaciela?

Przełknąłem ślinę.

Ramirezowi i tak „była pisana śmierć" - wyszeptałem.

- Ja też tak myślałem - powiedział Barax. - Ale tak naprawdę, nie miałem czasu, żeby się zastanawiać. Bioczujniki wykazywały, że akcja serca u Ramireza ustała. Umarł w chwili, gdy wciągałem Lorenza pod pole siłowe. Włączyłem trzecią prędkość reagowania i ruszyłem przed siebie.

- Chciał pan mówić o cukierniku.
- Tak, pułkowniku. Niestety chybiliśmy.
- Co pan przez to rozumie? - w jego głosie wyczułem zaniepokojenie.
- Że to nie ten człowiek, rozumie pan? Wczoraj rano wysłał na prowincję swojego sobowtóra. Człowiek, którego porwaliśmy z konwoju, to nie był on.

Przez chwilę panowała cisza, słyszałem jedynie oddech Negadesa.

- Żyje? - zapytał później.
- Oczywiście, nic mu się nie stało. I jestem pewien, że to nie jest nasz człowiek. W przeciwnym wypadku nie trwoniłbym swojego cennego czasu, żeby do pana dzwonić, może mi pan wierzyć. Mam dość własnych kłopotów z tego powodu.
- Ale w takim razie gdzie jest... on? - zapytał głucho.
- Cukiernik nie może się na razie pokazywać publicznie. Powody tego są zupełnie oczywiste. Ukrył się w mieście i czeka na odpowiedni moment. Moim zdaniem jest w mieście, co więcej - prawdopodobnie w letnim pałacu. Niech się pan dowie, czy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin nie wydarzyło się tam coś niezwykłego. Czy nie zniknęli strażnicy, czy nikt nie zemdlał? Czy ktoś z personelu nie poczuł się niedobrze? Niech się pan nie dziwi moim pytaniom, pułkowniku. Wiem, jakie objawy wskazują na jego obecność.
- Zanim się tego dowiem, upłynie trochę czasu. Domyśla się pan chyba, że mam też inne sprawy na głowie...
- Niech się pan spieszy, to leży teraz także w pańskim interesie. Czas definitywnie zakończyć tę sprawę.
- Podam panu numer, niech pan pod niego zadzwoni za dwie godziny.

★

Lorenzo odstawił filiżankę. Spojrzał na mnie - w jego czarnych oczach błyszczał entuzjazm.

- Wszystkie zagraniczne rozgłośnie twierdzą, że nasi prą do przodu! Wokół miasta zaciska się pierścień Frontu.
- A co mówi państwowe radio Negadesa?
- Niemal nie wspomina o partyzantach. Obrzuca obelgami oddziały generała Castellano, nazywa je „podłymi buntownikami" i twierdzi, że generał sprzymierzył się z „warcholstwem". Próbuje w ten sposób wrogo nastawić do generała inne jednostki armii i wahających się oficerów.
- A ludność?
- Czeka. Słuchaj, Roy, u nas ludzie przeżyli już wiele takich puczów. Nie są skorzy do wyrażania swoich opinii, nauczyli się, że lepiej być ostrożnym.
- Ale czas ucieka - powiedziałem ze zdenerwowaniem. Lorenzo nie wiedział, co mam na myśli. Na jego opalonej twarzy nie było śladu troski, uśmiechał się.
- Po co się mamy spieszyć?... Za parę dni Castellano i Negades rzucą się na siebie. Kiedy obaj będą już osłabieni, dowództwo Frontu da znak. Miejscy partyzanci połączą się z naszymi górskimi oddziałami i w ciągu pół dnia miasto będzie nasze.
- A co robicie na prowincji?
- Kilka okręgów jest w naszych rękach. Gdy tylko zajmiemy centralne stacje radiowe i telewizyjne w Boliwar, sprawa na prowincji będzie wygrana.
- Co zrobimy z Ramirezem? - zapytał Lorenzo w przerwie między dwoma łykami wody. Wzruszyłem ramionami w geście niezdecydowania i wyszedłem do ogrodu, gdzie był Barax.
- Kilyos nie mógł chyba uciec - odezwał się.
- Ukrywa się gdzieś. Miasto pełne jest żołnierzy, donosicieli na służbie Negadesa i nadgorliwych urzędników, którzy właśnie dorwali się do władzy. Gdyby teraz wyszedł na ulicę, zaraz by go schwytali: pomyśleliby, że to Ramirez, który uciekł zamachowcom.
- Żeby mu tylko nie przyszło to do głowy, bo będziemy musieli wszystko zaczynać od początku.

Patrzyłem na korony drzew, na małe niebieskie kwiaty krzewów. Prażyło słońce. Zastanawiałem się, gdzie teraz może być Flora?...

Baraxowi przyszedł do głowy pomysł.

– Tak naprawdę Kilyos nie może znać przyszłości! Wie tylko to, co jest napisane w książkach historycznych. Z takiej perspektywy nie może dociec szczegółów. Przez ponad tysiąc lat dokumenty ocaliły dla potomnych jedynie kilka najważniejszych wydarzeń. Jednakże Kilyos z pewnością wie, co nastąpiło po puczu, która z trzech walczących sił objęła władzę i jaki był los prezydenta Ramireza!

– Ale nie może się domyślać, jaki będzie jego własny los! – wesoło klepnąłem Baraxa po ramieniu. – Wszystko, co przeczytał o Ramirezie w dawnych pracach historycznych, odnosi się do byłego cukiernika, a nie do jego niewidzialnego cienia Lippa Kilyosa! Tak więc i on, podobnie jak my, stoi bezradny w obliczu przyszłości. Nie może wiedzieć, jak dla niego zakończy się ta powikłana sprawa... Przecież w kronikach nie mógł natrafić na ślad własnego tutaj pobytu.

Barax był zadowolony. Kilkakrotnie już zauważyłem, że bardzo dobrze się czuje, jeżeli wspólnie uda nam się przeprowadzić jakiś wywód.

– Wyjąwszy jedną ewentualność: jeżeli sam nie kieruje całym rozwojem wydarzeń – ostudziłem jego zapał. – Bo możliwe, że znając najbliższą przyszłość właśnie na tym oparł swój plan. Wiedział, że GALPOL pośle za nim w przeszłość swoich ludzi, właśnie dlatego się ukrywa. Właśnie dlatego wydał przez Ramireza rozkaz, żeby agenci obserwowali dawne mieszkanie cukiernika. Wiedział, że pójdziemy tam, bo musimy rozwiązać zagadkę pod tytułem „Ramirez-Kilyos: podobieństwo czy tożsamość?" Miał nadzieję, że tam się z nami rozprawią...

– ... i z pewnością zastawił też wiele innych pułapek. Ale skoro wiedział o zamachu, to dlaczego puścił Ramireza na objazd prowincji? – zapytał Barax.

– Bieżące interesy polityczne wymagały, aby nowy prezydent objechał kraj. Taki jest zwyczaj. Nie możemy też zapominać o tym, że być może w tych dniach Kilyos nie chce jeszcze zmieniać rzeczywistego przebiegu historii... – zamyśliłem się. Sprawa ta nadal mnie niepokoiła. Bo co będzie, jeżeli...

– ...Jeżeli okaże się, że Kilyos dobrze wiedział, że porwiemy Ramireza? – szybko powiedział Barax. On też o tym pomyślał.

– Wtedy nasza sytuacja będzie żałosna – powiedziałem ze złością. – Oznaczałoby to, że w gruncie rzeczy... realizowaliśmy i realizujemy jego plany.

– Kilyos za wszelką cenę chce to wszystko przeżyć. – Barax oceniał sytuację trzeźwo. Prawda, to był jedyny pewny punkt, na którym mogliśmy się oprzeć. – Zabicie ciebie nie jest jego celem, Roy. Wie przecież, że GALPOL może tu przysłać po niego tylu zwiadowców, ilu tylko zapragnie. Moim zdaniem musimy się liczyć z jeszcze jedną możliwością: że na tym etapie rozwoju wydarzeń jedynym celem Kilyosa jest zmylenie nas. Tak długo będzie plątał nici, aż wreszcie zmuszeni będziemy do poddania się, opuścimy to przeklęte stulecie, wrócimy w przyszłość i zameldujemy, żeśmy go nie odnaleźli.

– Na próżno się łudzi.

– Ja też tak sądzę. Ale cały czas mam takie uczucie, że sprawę z Ramirezem rozpoczął jedynie po to, żeby nas sprowadzić na fałszywy trop. Wyprzedza nas stale o jeden krok i na końcu wymknie się z potrzasku.

Zwróciłem uwagę, jak dziwnie brzmiało w ustach Baraxa wyrażenie „mam takie uczucie"... Zacząłem mówić jednak o czymś innym.

– Dopóki miał przy sobie Ramireza, otrzymywał na bieżąco informacje o wszystkich ważnych wydarzeniach. Także o tych, które dotyczyły jego samego. Natomiast teraz sam zmienił się w ściganego, a jego służba informacyjna przestała istnieć. Może nawet nie wie dokładnie, co się dzieje w mieście. To go może zdezorientować, zrobi fałszywy krok...

– Czy możemy to wykorzystać?

– To się okaże.

Po chwili wahania Barax zapytał.

– Roy, co będzie z Ramirezem?

– Umrze. Jutro – odpowiedziałem. Tak właśnie było napisane w książce historycznej. Nie możemy zmienić tego co ma być.

– A... jak? – ponownie zapytał Barax.

– Dokładnie nie wiem. Pisane źródła podają o tym fakcie jedynie tyle, że został zastrzelony gdzieś w mieście. Nie wiem dokładnie, gdzie. Znajdą jego zwłoki... To już nie nasza sprawa.

się, co wymyślić, żeby tylko zyskać na czasie. Jednakże zanim zdążyłem się odezwać, oficer odwrócił się na pięcie:

– Nie ma życzeń, a więc... Sierżant!

– Tak jest! – starszy wiekiem żołnierz wystąpił z szeregu.

– Zaprowadzić skazanego pod ścianę!

Na drżących nogach powlokłem się za żołnierzem. Jednocześnie po kolejnej krótkiej, szczekliwej komendzie oddział stojący pod ścianą poruszył się i dudniącym krokiem wyszedł na środek podwórka.

To pluton egzekucyjny, zdałem sobie sprawę.

– Proszę się odwrócić. Czy mam panu zawiązać oczy? – zapytał sierżant. Zupełnie normalnym, zwyczajnym głosem. Jakby mnie pytał, czy chcę szklankę wody... Wydało mi się to tak irracjonalne, że w następnych sekundach nie mogłem się na niczym innym skoncentrować. Tamten musiał dostrzec na mojej twarzy niemy grymas sprzeciwu, bo odłożył chustkę i odwrócił się. Reflektory świeciły mi w oczy. Stałem jak na scenie w potoku świateł i nikogo już nie widziałem.

Później usłyszałem jeszcze jedną komendę, po której zapadła cisza. Głęboka, przerażająca cisza. Lampy bez mrugnięcia świeciły dalej. Świat wraz ze mną pogrążył się w nicości. Nie rozbrzmiewał huk broni, jeszcze nie. Nie dudniły podkute buty. Nikt się nie odzywał. Panowała cisza.

Stałem zdrętwiały ze strachu. Teraz nastąpi koniec, teraz, teraz!... dudniła we mnie myśl. Wydawało mi się, że słyszę salwę...

Jednak było cicho. Cicho.

Później...

– Jestem tu, Roy – powiedział znajomy głos.

*

Przerażenie z wolna opadało, było niczym wycofujący się lodowaty prąd morski.

– Barax?

– Tak – odpowiedział ze zwykłym spokojem. – Stoję między żołnierzami.

Barax czekał na mnie pomiędzy leżącymi nieruchomo ciałami.

– Zrobiłeś to przy pomocy promieni? – zapytałem cicho. Serce wciąż jeszcze biło mi mocno...

– Jasne. Zdrzemną się trochę – odpowiedział. – Ale, do diabła, co się z tobą działo, Roy?

Zanim zdołałem odpowiedzieć, z okna na pierwszym piętrze rozległ się strzał. Pocisk przemknął koło mojej skroni. Było to paskudne uczucie. Instynktownie skoczyłem za Baraxa. Także za żelaznymi drzwiami pojawił się żołnierz i zwrócił w naszą stronę pistolet maszynowy.

– Pole siłowe – krzyknąłem. Barax pomyślał chyba o tym samym. Decyzję od czynu dzieliło u niego 0,005 sekundy. Zwłaszcza jeżeli włączył „trzeci stopień". W takich wypadkach jego reakcje następowały po sobie z taką prędkością, że ludzkie oko niemal nie mogło ich rozróżnić.

Wiedziałem, że Barax niechętnie stosuje pole siłowe. Ten sposób obrony pochłaniał mnóstwo jego energii. Ale tym razem i on uznał, że nie ma innej możliwości.

W chwili gdy dostrzegliśmy wytryskujące z luf płomienie, byliśmy już otoczeni polem siłowym. Jednakże kilka strzałów dosięgnęło Baraxa, zanim je włączył. Spostrzegłem, jak na jego marynarce pojawiają się brzydkie dziury.

Odpowiedział z broni promiennej – żołnierze runęli na ziemię.

– Chodźmy stąd!

Barax silnie objął mnie ramieniem. Złapałem go za rękę i... polecieliśmy. Początkowo pionowo do góry: czułem jak żołądek obsuwa mi się w dół. Jednocześnie Barax omiótł przestrzeń wokół nas obezwładniającym promieniem. Broń zamilkła. Zabudowania koszar pogrążyły się w ciszy.

Szybko przemykaliśmy nad ulicami. Grawitacyjny silnik Baraxa bezgłośnie i swobodnie uniósł w górę ciężar naszych ciał. Widnokrąg rozszerzył się. Na ulicach świeciły girlandy lamp, bloki mieszkalne wyglądały jak ponure, czarne prostokąty.

– Co się stało w willi? – zapytałem. Barax odpowiedział po chwili wahania.

– Zabili Ramireza.

minutę później ktoś przyjechał i zachowanie oficera natychmiast się zmieniło. Na pewno otrzymał nowy rozkaz prezydenta Negadesa, który dotyczył mnie... Chodziłem tam i z powrotem po celi, coraz bardziej wściekając się na siebie i na cały świat, na dwudziesty wiek. Wpadłem w paskudną pułapkę!...

Obserwowano mnie zapewne przez ukryte kamery - podobnie jak w przypadku mojego pierwszego przebudzenia - drzwi niebawem się otworzyły. Weszło kilku umundurowanych mężczyzn. Nie byli to policjanci, wyglądali raczej na żołnierzy. Dwaj z nich skuli mi z tyłu ręce kajdankami, zaś trzeci stanął w progu celi, wyjął niedużą kartkę i surowo na mnie spoglądając odczytał:

– Boliwaryjski specjalny sąd wojskowy skazuje zagranicznego szpiega i wrogiego agenta Roya Medinę na karę śmierci za zamach dokonany przeciwko byłemu prezydentowi Ramirezowi. Wyrok zostanie wykonany natychmiast.

*

Nogi się pode mną ugięły. Śmierć?... Nagle zdałem sobie sprawę, że przecież jestem w przeszłości. Śmierć jest jedną z dawnych form kary. Rzecz jasna, w naszych czasach nie istnieje już od dawna, ale tu i teraz... Oni mnie naprawdę gotowi są zabić. Nie będą widzieli w tym nic niezwykłego, dla nich jest to naturalne. Rutynowa robota. Ale ja... ja mam tylko jedno życie. Jestem tak samo śmiertelny. Jedynie Barax jest wieczny.

Barax!

Nie wiedziałem, gdzie znajduje się budynek, w którym jestem zamknięty. Może poza miastem?... Jak daleko może być Barax? Pewne jest, że drogą telepatyczną nie mogę go zawiadomić. Gdyby odbierał moje fale, już dawno by mnie oswobodził. Tak - Barax musi być gdzieś daleko. Muszę pokonać tę odległość, szybko.

Językiem wymacałem dolną ósemkę po prawej stronie. Ostatni, szeroki ząb. Język natrafił na drobny przycisk. Ileż to razy ćwiczyłem, jak zdejmować z niego pokrywkę. Udało się. Jest przycisk sygnalizacyjny. Kod... jak brzmi kod? Ale nie chodzi przecież teraz o zwykłą sygnalizację położenia. Przy pomocy miniaturowego, lecz mającego duży zasięg radionadajnika, jaki swego czasu wmontowano w GALPOL-u w ząb każdego inspektora, muszę nadać najpilniejszy sygnał SOS. Trzy długie, trzy krótkie, trzy długie - nieprzerwanie płynie automatyczna sygnalizacja.

*

Droga wiodła przez pusty korytarz, twardy tupot kroków odbijał się od szarych ścian. Czułem, jak idący za mną żołnierze obserwują moje plecy. Zeszliśmy schodami w dół. Przed nami otworzył się następny korytarz. Żołnierz stojący na straży przy okratowanych drzwiach przez dłuższy czas szukał klucza, później z trudnością trafił nim do dziurki. Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem, za nimi słabe, sufitowe lampy rzucały skąpy blask. To, co widziałem, przypominało scenerię przygodowych wideofilmów. Te jednakże oglądałem w domu, siedząc w wygodnym fotelu, natomiast teraz kaci-oprawcy-strażnicy-żołnierze wiedli mnie na miejsce straceń, mnie - inspektora trzeciej kategorii, Roya Medinę, funkcjonariusza GOLPOL-u...

Nie wiem, ile minut to trwało. Zasięg mikronadajnika wynosił dwadzieścia pięć - trzydzieści kilometrów, teraz wszystko zależało od tego, czy Barax odebrał moje sygnały i czy zdąży na czas. Nie wiedziałem, na którym jesteśmy piętrze, pojawiały się coraz to nowe schody, okratowane bramy, długie korytarze i zimne, zamknięte drzwi.

Oficer wydał rozkaz, żebyśmy się zatrzymali. Dotarliśmy do kolejnych żelaznych drzwi. Jak się zachowam w ostatnich minutach? Dumnie, odważnie? A może?... I co się stanie z moim ciałem - zostanie tutaj tysiąc lat wcześniej, tu je pochowają, choć zgodnie z nieubłaganymi prawami czasu nie urodził się jeszcze nawet mój pra-pradziadek...

– Otworzyć! - krzyknął oficer. Dwóch żołnierzy uchyliło drzwi. Wyszliśmy na otoczone ze wszystkich stron ścianami budynku wąskie podwórko. Była noc, światła paliły się jedynie w kilku oknach. Pod ścianą czekał oddział żołnierzy. Stali nieruchomo jak posągi.

Rozejrzałem się. Barax, gdzie jesteś?... W tobie cała moja nadzieja.

Zdjęto mi kajdanki, po czym oficer podszedł do mnie. Jego smętną twarz skrywał półmrok:

– Czy ma pan jakieś życzenie? - zapytał krzykliwie.

To zapewne owo ostatnie życzenie, przypomniały mi się dawne lektury. Gorączkowo zastanawiałem

*

W umówionym terminie na próżno dzwoniłem do Negadesa. Odebrał jego sekretarz, który oświadczył, że prezydent wyjechał poza miasto na przegląd wojsk i dotychczas jeszcze nie powrócił. Pełnym szacunku głosem poradził mi, bym zadzwonił jeszcze raz pod wieczór.

Dopiero późnym wieczorem udało mi się skomunikować z Negadesem. Zmęczonym głosem zakomunikował mi, że rozpoczął śledztwo we wskazanym przeze mnie kierunku, lecz na razie nie ma rezultatu. Dał mi do zrozumienia, że chwilowo, w obecnej sytuacji ma kilka ważniejszych spraw na głowie... Wtedy przywołałem do telefonu Baraxa i za jego pomocą odtworzyłem do słuchawki kilka zdań nagranych na dźwiękowy kryształ. Potem znowu wziąłem słuchawkę.

– Dobrze pan słyszał, drogi kolego, to pański głos. W kościele Nuestra Senora. Nagrałem całą rozmowę, kiedy informował mnie pan, dokąd wyjedzie prezydent Ramirez i gdzie można wykonać na niego zamach. Jak pan sądzi, ile za to nagranie dałby generał Castellano albo przywódcy Frontu? Albo zagraniczne rozgłośnie?

– Nędzniku!... - zasyczał ze wściekłym i bezradnym gniewem, niczym wąż, który znalazł się pod obcasem. - Chce mnie pan szantażować?

– Spokojnie, kolego. Jeżeli to nagranie dostanie się w ręce pańskich politycznych przeciwników, ci bez wahania przekażą je do publicznej wiadomości. To będzie dowód, że to pan wydał prezydenta Ramireza w ręce zagranicznych agentów.

Wtedy przyszło mi coś do głowy. Pomysł ten poruszył mnie: przecież mam w ręku więcej atutów. Ramireza także mogę wykorzystać przeciw Negadesowi. Przecież tylko ja wiem, że tak czy siak jutro umrze...

– No i niech pan nie zapomina o tym, że mam w ręku sobowtóra Ramireza. Jest cały i zdrowy, w każdej chwili mogę go wypuścić lub posłać do generała Castellano. Jest bardzo podobny do cukiernika i tylko my dwaj wiemy, że to nie ta sama osoba. Pan i ja. Dlatego nie radzę panu wykonywać żadnych kroków przeciwko mnie.

Milczał. Jednakże niemal czułem buchającą z telefonu nienawiść. Ciągnąłem dalej.

– Niech pan zdobędzie potrzebne informacje - reszta to już moja sprawa. Znajdę i wywiozę prawdziwego Ramireza. Zniknę z tego kraju i więcej pan o mnie nie usłyszy.

Odpowiedział po krótkim milczeniu.

– Teraz i tak jest godzina policyjna, a więc nigdzie nie może pan pójść, Medina. Niech pan do mnie zadzwoni rano o piątej, do tej pory zdobędę informacje.

Zadowolony odłożyłem słuchawkę. A jednak pomimo to, że przybyłem z przyszłości, nie znałem, nie mogłem znać swej przyszłości osobistej. Nie wiedziałem co się ze mną stanie w najbliższych godzinach. Nie domyślałem się, co planuje przeciwko mnie nowy prezydent Boliwarii, pułkownik Negades. Lecz nawet jeżeli się stanie rzecz najgorsza i tu zakończę swą biologiczną egzystencję - nie będzie to złamaniem czasu. Jestem nikim... Dla współczesnych mi ludzi - jedynie inspektorem trzeciej kategorii przebywającym na służbie. Jeżeli zginę w czasie operacji, poślą zamiast mnie kogoś innego.

Zaś dla żyjących tutaj nie znaczę nawet tyle. Nie jestem niczym więcej niż zagranicznym włóczęgą nieznanego pochodzenia, którego wrzuci się jedynie do nieoznakowanego dołu i koniec. Nikt mnie nie będzie opłakiwał.

Nikt? Może tylko Flora.

Rozdział 8

Barax obudził mnie za piętnaście piąta. Lorenzo i Ramirez spali. Zmarszczki na twarzy byłego prezydenta wygładziły się. Spał jak dziecko.

– Ze wschodu słychać huk broni - zakomunikował Barax. Oczywiście ja, choćbym nie wiem jak nadsłuchiwał, niczego nie słyszałem.

– Odległość od źródła hałasu wynosi około trzydziestu pięciu kilometrów - ciągnął. Dla niego było to naturalne, że odbierał dźwięki, których na przykład ja nigdy bym nie usłyszał. Wrażliwość jego czujników znacznie przewyższała wrażliwość ludzkich zmysłów.

– Jadą czołgi. Po asfaltowej drodze. Wyczuwam też pięć czy sześć helikopterów – dodał i jako że uznał te hałasy za niegroźne dla nas, zaczął mówić o czymś innym.
– Jakie masz plany, Roy?
– To zależy. Jeżeli Negades natrafi na jego ślad, pójdę w wyznaczone miejsce.
– Sam?
– Ty musisz pilnować Ramireza. Dopóki cukiernik jest w naszych rękach, Negades będzie robić to, co mu każę.
– Nie bądź tego taki pewny.

★

Zadzwoniłem dokładnie o piątej. Ponad krzewami w ogrodzie powoli rozlewał się słoneczy blask. Żywe złoto spływało po koronach wyższych drzew. Łagodny wietrzyk kołysał kwiatami i gałęziami krzewów rosnących na skraju przystrzyżonego trawnika. Miałem nadzieję, że Florze nie stało się nic złego.
– Tu Medina.
– Dzień dobry panu – grzecznie odpowiedział sekretarz. – Pan prezydent zostawił dla pana wiadomość.
– Słucham.
– Wczoraj patrol dwukrotnie chciał przeczesać najwyższe piętro pałacu letniego. W obu wypadkach żołnierze wrócili nie wykonawszy zadania. Jeden z nich wyznał swoim kolegom, że w chwili gdy zbliżał się do najwyższego piętra, ogarnęły go mdłości. Podoficer prowadzący patrol wydał rozkaz odwrotu, czego później w żaden sposób nie umiał uzasadnić. Na rozkaz prezydenta straż pałacowa przerwała wszelkie akcje, ale została podwojona. Pan prezydent powiedział, że może pan wejść do środka. Wydał już rozkaz, żeby pana wpuszczono. Prosi tylko, żeby dla uniknięcia sensacji przyszedł pan sam.
– Rozumiem. W porządku, będę za pół godziny.

★

Ulice miasta były niemal puste. Gdzieniegdzie stali żołnierze, na skrzyżowaniach dostrzegłem czołgi i opancerzone samochody. Jednakże nikt mnie nie zatrzymał. Pomimo szybko zbliżającego się dnia także na chodnikach niewielu było przechodniów. Boliwar wyglądało na niemal wymarłe miasto.
Śnieżnobiały, naszpikowany wieżyczkami i łukowatymi oknami pałac letni nie był potężną twierdzą i nawet nie starał się sprawiać takiego wrażenia. Stanowił wesołą plamę pośrodku ciemnozielonego parku pełnego kwiatów. Żelazne ogrodzenie biegło wzdłuż skręcającej łukiem drogi. Na chodniku stali żołnierze. Przezornie zaparkowałem z dala od bramy i pewnym krokiem ruszyłem w stronę wejścia.
– Jestem Roy Medina. Dowódca straży oczekuje mnie – oświadczyłem. Po ich zachowaniu od razu zorientowałem się, że sekretarz prezydenta nie kłamał. Mojego przybycia rzeczywiście oczekiwano.
Naprzeciw mnie wyszedł młody oficer o śniadej cerze. Podał mi rękę.
– Jestem porucznik Reyes – powiedział. – Otrzymałem rozkaz, by udostępnić panu najwyższe piętro pałacu.
– Co się stało z patrolem?
– Z niejasnych powodów zaniechali swoich planów i nie dotarli na najwyższy poziom – widać było, że Reyes uważa tę sprawę za dziwną.
Na zewnątrz przed bramę zajechał czarny samochód, Reyes przeprosił mnie i wyszedł. Wrócił po minucie, lecz wiedziałem, że coś się stało. Nie patrzył mi w oczy, a jego zachowanie jakby się zmieniło. Starał się jednak to ukryć.
– Czy coś się stało? – zapytałem. Pomyślałem o tym, w jak niezręcznej sytuacji muszą się znajdować podobni mu oficerowie wojska. W ciągu ostatnich dwóch dni kraj zyskał nowego prezydenta, lecz nikt nie wiedział co się stało z poprzednim, to jest Ramirezem. Ludzie w rodzaju Reyesa wiernie służą prezydentowi – każdemu aktualnemu prezydentowi – któremu przysięgali.
– Nie, nic – zaprzeczył zmieszany i znowu odwrócił głowę.
– W każdym razie proszę nadal pilnować pałacu i nie wypuszczać nikogo, dopóki się nie zgłoszę – powiedziałem. Za plecami, po stronie drzwi usłyszałem cichy szmer. Zanim zdążyłem się odwrócić, czaszkę przeszył mi ostry ból i straciłem przytomność...

★

... Gdy przyszedłem do siebie, zauważyłem dwie rzeczy. Pierwszą był trwający wciąż ból głowy, otrzymałem chyba solidny cios od tyłu. Drugim spostrzeżeniem było to, że leżę. Przed otwarciem oczu przez chwilę nasłuchiwałem. Wokół mnie panowała cisza. Najpierw starałem się niepostrzeżenie zaczerpnąć kilka głębszych oddechów. Ciekawiło mnie, gdzie jestem, lecz nie spieszyłem się. Powoli, ostrożnie otworzyłem oczy.
Leżałem w małym pomieszczeniu o białych ścianach. Ściany były blisko, podejrzanie blisko... Sufit też nie był wysoko, gdybym wstał mógłbym dosięgnąć go ręką. Na myśl o tym podniosłem się. Siedziałem na drewnianym łóżku z desek. Nie miałem wątpliwości, była to prycza w więziennej celi. Dotychczas jedno jak i drugie znane mi było jedynie z lektury. Pomimo to jednak nie popadłem w rozpacz – głównie dlatego, że głowa wciąż jeszcze potwornie mnie bolała i nie byłem w stanie myśleć. W celi znajdowałem się sam. Pod sufitem jaśniało maleńkie okienko. Na zewnątrz świeciło chyba słońce. A może było to sztuczne światło? Nie wiedziałem. Na ścianie naprzeciw dostrzegłem czarne drzwi. Wyglądały, jakby były zrobione z metalu.
Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak podle. Świat przed moimi oczami rozmywał się, miałem zawroty głowy. Z ulgą położyłem się na pryczy i ponownie straciłem przytomność.

★

Przyszedłem do siebie w chwili, gdy do celi weszło kilku mężczyzn. Chciałem wstać, lecz jeden z nich brutalnie popchnął mnie z powrotem na legowisko. Nie widziałem dokładnie ich twarzy – wciąż jeszcze ogarniały mnie fale złego samopoczucia.
No, ptaszku! – zaczął jeden ochrypłym, gardłowym głosem. – Szef chce usłyszeć odpowiedź na dwa pytania.
Język poruszał mi się z trudnością. Mózg też – ledwo mogłem zebrać myśli. Jednakże tamci nie zostawili mi na to czasu.
– Gdzie jest cukiernik? – huknął na mnie właściciel ochrypłego głosu. – I gdzie ukryłeś taśmę z nagraniem?
A więc... to ludzie Negadesa. Pułkownik-prezydent chciał dostać kompromitujące go nagranie. I Rameza...
Jak przez mgłę ujrzałem, że jeden z mężczyzn trzyma w ręku dziwne narzędzie. Przypuszczałem, że to strzykawka.
– Nic... nie... powiem – wymamrotałem. Nie uświadamiałem sobie grożącego mi niebezpieczeństwa.
– Będziesz mówił – zapewnił mnie tamten spokojnie. – Twoje szczęście, że nie mamy czasu, żeby połamać ci kości. Wybraliśmy szybszą metodę... – Poczułem ukłucie. W głowie zaczęło mi szumieć, ale wiedziałem, że nie jest to efekt bólu. Nagle poczułem się bardzo lekko i nic już nie czułem. Wesoło leciałem oswobodzony ze świata obowiązków, ze świata lęków, ze świata przeklętej grawitacji.
– Mów! – przynaglił głos. – Gdzie jest cukiernik? Gdzie schowałeś taśmę?
I mówiłem. Powiedziałem, że w dzielnicy Juventud. Powiedziałem, że na ulicy Algeciras. Nie zataiłem nawet, że taśmę ma mój przyjaciel Barax, który także czeka na mnie na ulicy Algeciras... Równocześnie głupawo się podśmiewałem, a nawet chichotałem. Tamci szybko wyszli – lecz ja nawet tego nie zauważyłem, tylko leciałem w bezprzytomnym, głupawym półśnie.

★

Kiedy znowu odzyskałem przytomność, był już wieczór. Czworokąt małego okienka czerniał w białej ścianie. Wisząca u sufitu prymitywna, nieosłonięta żarówka rozsiewała żółty blask.
Głowa mnie bolała. Nie czułem w ogóle nic. Ciało wydawało mi się puste, nie słyszałem nawet bicia serca. Kosztem pewnego wysiłku przypomniałem sobie, co się wcześniej stało. Byłem wściekły i wstydziłem się, że zdradziłem Baraxa. Wpadłem jak dziecko, jak żółtodziób. Nie ulegało wątpliwości, że za tym wszystkim stał Negades. Tylko on wiedział o nagraniu, tylko w jego interesie leżało zniszczenie taśmy. Podobnie tylko jemu przeszkadzał „cukiernik" – Gallego Ramirez, czy też jego sobowtór.
Co się wydarzyło w willi? I gdzie jest Barax?
Przypomniało mi się, jak serdecznie przyjął mnie podporucznik Reyes w letnim pałacu. Jednakże w

możliwość wnikania

Marek Pąkciński

Inspektor Klaus Bohm jeszcze raz obejrzał wszystko dokładnie; ściana miejscami chropowata wyglądała na solidną. Niezdecydowanie wytarł dłoń o płaszcz, chociaż była czysta. „Od tej strony na pewno nikt się tu nie dostał" - pomyślał po raz dziesiąty.

- No i co pan o tym sądzi? - zapytał praktykanta, który kręcił się z tyłu, zbierając mikroślady. Pytanie to rozległo się w niewielkim sześcianie wewnątrz znacznie większego, prostopadłościennego budynku na peryferiach dużego miasta (nie mniej niż pół miliona mieszkańców). Właściciel mieszkania zajmował mniej miejsca niż zwykle zajmuje przeciętny żywy obywatel miasta.

- Nieźle mu ktoś dołożył - odparł praktykant Butler.

Inspektor pomyślał, że podobną refleksję na temat zabójstwa znanego pisarza i krytyka literackiego, Davida Kultermanna, mógłby wyrazić zwykły duren.

- Znowu zero punktów, kolego Butler - podsumował. - Co za gruboskórny matoł! - mruknął pod nosem.

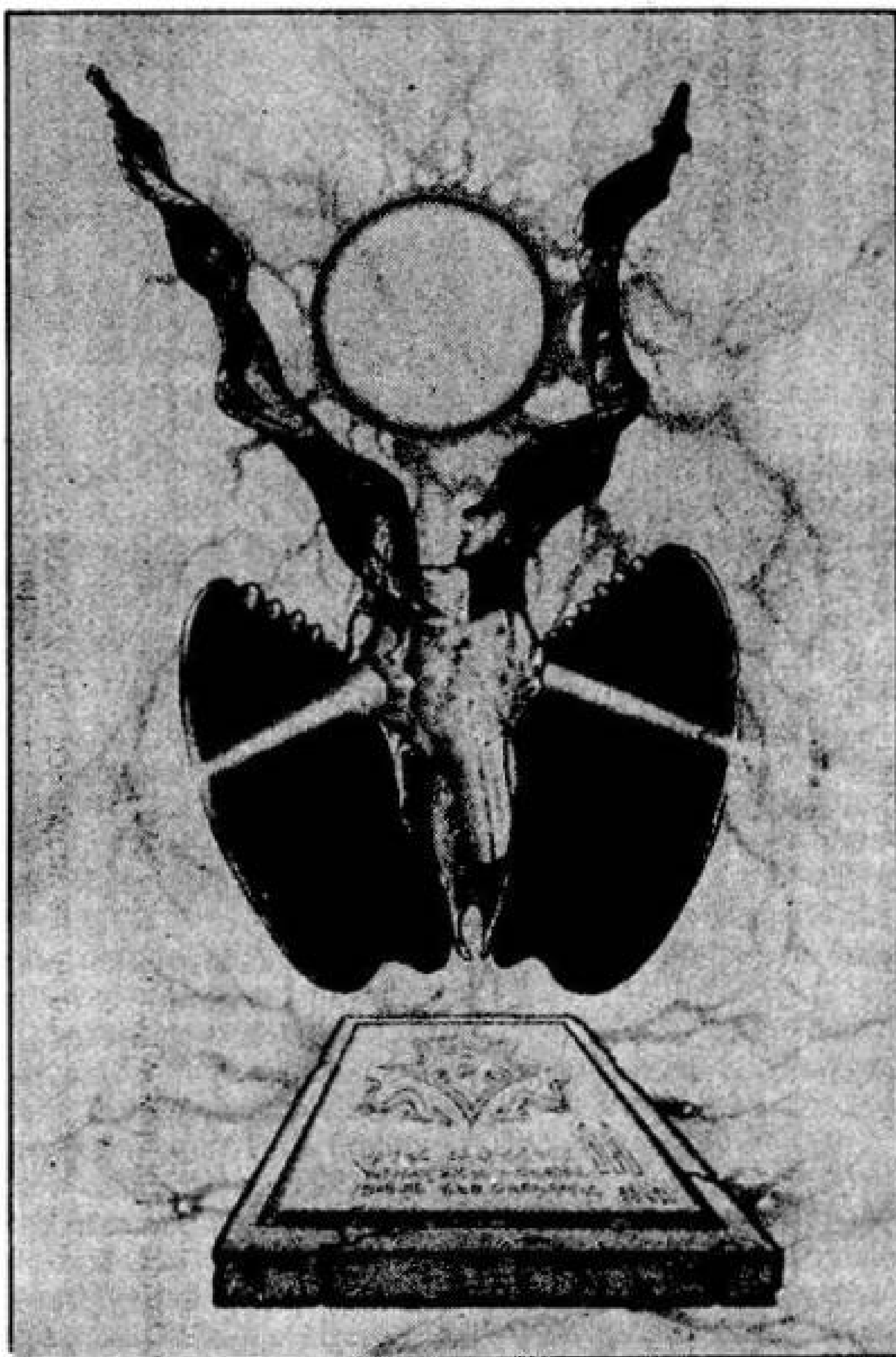
Tamten - wysoki i ospały glina - nie przejął się wcale. Dalej kursował po pokoju, wpatrując się w najdrobniejsze pyłki na dywanie.

- Zabezpieczenie mieszkania stuprocentowe - monologował Bohm. - Trzy systemy elektroniczne, sterowane niezależnie przez oddzielne komputery...

Podszedł do zasłaniającej okno żaluzji. Każde jej poruszenie było rejestrowane, we framudze znajdowała się fotokomórka. Absurdalnie przyszedł mu do głowy strzęp jakiegoś wiersza: „gdzie poety czystego gest z godnością wzbrania wstępu marzeniom, wrogom jego powołania".

- Właśnie, ciekawe dlaczego tak się zabezpieczył - powiedział cicho, sam do siebie.

Godzinę później był już daleko. Wędrował ulicą na piechotę, celowo nie wziął samochodu, aby bez przeszkód oddać się uspokajającej melancholii. „W jaki sposób nicość może nagle wtargnąć do tak uporządkowanego i tak twórczego życia?" - myślał o Kultermannie. Był smutny, przygnębiony. Czuł się jak wtedy, gdy po raz pierwszy zaprowadzono go do zupełnie zautomatyzowanej fabryki. Roboty poruszały się niemal bezgłośnie, wydając tylko ciche cmoknięcia, ale on wyszedł stamtąd tak zniechęcony, jakby sam brał udział w procesie produkcyjnym.



Grzegorz Komorowski

Oznaki uduszenia na ciele Kultermanna były zbyt wyraźne, aby jego śmierć można było uznać za samobójstwo. Zwłoki pisarza leżały na środku pokoju, z rozrzuconymi rękami, na szyi (oprócz śladów czyichś palców) widniał ślad ugryzienia. Bohm obejrzał go sobie dokładnie - to były chyba zęby jakiegoś małego gryzonia. W tej chwili inspektor nie był w stanie wymyślić rozsądnej hipotezy. Nie zdobył się nawet na przejrzenie książek Kultermanna, w których mogłaby być jakaś wskazówka. „Zresztą nawet ostatnia twarz Kultermanna wydaje mi się fałszywa" - pomyślał, żeby się usprawiedliwić. „Ten człowiek był prawdopodobnie świetnym aktorem". Grymas twarzy ofiary sugerował, że w momencie śmierci pisarz był zarazem przerażony i rozbawiony - kombinacja uczuć zupełnie niezrozumiała dla inspektora. Chyba żeby... a może to zrobiła kobieta? Nęcąca hipoteza.

Inspektor przerwał rozważania i wstąpił do pełnego zakurzonych książek antykwariatu. Przez dłuższy czas trzymał w rękach zabytkowe wydanie „De rerum natura" Lukrecjusza, po czym, zamieniwszy parę słów ze sprzedawcą, wybrał gruby, ciemnogranatowy tom w podniszczonej oprawie.

W domu po kolacji zgasił światło i podszedł do okna. Z uwagą obserwował wieczorną mgłę opadającą na domy i ulice. „Wygląda tak, jakby świat szedł na dno". Z dumy wyrwał go telefon z komisariatu. Starszy sierżant Steve Bałka zdał krótki meldunek o sytuacji w dzielnicy - nic się nie dzieje. „Ten dzień ma stanowczo kształt liścia" - inspektor nie był pewien, czy nie powiedział tego do słuchawki. Zapalił światło. Myśląc o wilgotnej, zimnej mgle za oknami, położył się na tapczanie z kupioną w antykwariacie książką. *Wilkołactwo czyli lykantropia* - czytał - *ma ścisły związek z wiarą w czary i diabła. Przekonanie, że człowiek może się zamienić w zwierzę, istniało już w starożytności; w mitologii greckiej pełno mamy podobnych metamorfoz. Potrzebna była do tego tylko jakaś siła nadprzyrodzona, która by tej przemiany dokonała. W wiekach średnich wierzono, że w ten sposób powstaje wilkołak, tj. człowiek zamieniony działaniem czarów w wilka. Wilkołak goni po lesie, gryzie zwierzęta, napada na ludzi, porywa dzieci itp. Wilkołactwo panowało we Francji, w Niemczech, na Węgrzech, w Polsce. Jeszcze w 1573 r. we Francji dozwolone było oficjalne polowanie na wilkołaki. W r. 1598 lykantropia panowała w okolicy Jura prawie epidemicznie. W r. 1603 udało się we Francji schwytać i zbadać wilkołaka; okazało się, że był to psychicznie chory.*

Inspektor Bohm na chwilę przymknął oczy; był zawiedziony ogólnikowością i naiwnością tekstu. Niestety nie dysponował żadnymi nowszymi materiałami. Była to jedyna książka, którą mógł mu zaoferować właściciel największego w mieście antykwariatu. Próby zebrania wiadomości przez domowy komputer zawiodły. Uzyskał w ten sposób jedynie obiegową definicję wilkołactwa, kwalifikującą je jako zjawisko z dziedziny psychopatologii.

Dlaczego, prowadząc dochodzenie w sprawie Kultermanna, zainteresował się właśnie tym, a nie innym zjawiskiem? Prawie zawsze - z większym lub mniejszym powodzeniem - powierzał los śledztwa właśnie intuicji. Miał wtedy uczucie, że wartość śledztwa wzrasta. Próbował powiązać swoje działanie w jednolity łańcuch z działaniami przestępcy. Wówczas zaczynał rozumieć wewnętrzną logikę przestępstwa, jego swoisty artyzm. Tak, przestępca był artystą, a inspektor - czułym i uważnym krytykiem jego dzieła. Powoli, krok po kroku, wczuwał się w nie, aż stawał się równorzędnym lub nawet lepszym artystą, oceniającym dokonania przestępcy. Nigdy nie działał zbyt wiele - raczej myślał i marzył. Albo raczej - jego działania odbywały się zawsze na pograniczu skrajnej nudy. Nie po raz pierwszy doszedł do wniosku, że praca w policji przypomina powołanie proroka. Notowanie skojarzeń i dopasowywanie ich do faktów nie było drogą najprostszą, ale... zapewniało rozwiązanie niekonwencjonalne. „Zresztą, zbrodnią

konwencjonalną, logiczną w zamyśle i wykonaniu, nikt się już nie para; rozszyfrowałby ją pierwszy lepszy komputer".

Następnego dnia inspektor zebrał w komisariacie dane dotyczące rodziny Kultermanna. Były one interesujące, choć nie zawierały rewelacji: ojcem Davida był Lamech, znany swego czasu jako marszand i krytyk malarstwa. Zmarł on przed dwudziestu laty. Brat Davida, Jabal, również zmarł przedwcześnie na nie zidentyfikowaną nieuleczalną chorobę, w rok po śmierci Lamecha. David rozwiódł się cztery lata temu z żoną, Rebeką Vansen, tłumaczką i autorką kilku zbiorków poezji. Rebeka miała siostrę-bliźniaczkę, Amarante, z którą David nie utrzymywał żadnych kontaktów; zresztą Amaranta mieszkała w zupełnie innej części kraju i przez dłuższy czas była leczona psychiatrycznie. Matka Davida pochodziła z bocznej odnogi klanu, mieszkającej w innym mieście. Zgodnie z podaną przez komputer charakterystyką była ona spokojną domatorką, uległą swemu mężowi; zmarła pięć lat po jego śmierci na zaawansowaną niedomogę krążenia. Były to wszystkie dane o ostatnim pokoleniu klanu Davida Kultermanna zawarte w pamięci Centralnego Banku Informacji. Bohm studiował je, zastanawiając się nad ich możliwymi implikacjami.

Za plecami usłyszał natarczywe pukanie, więc odblokował drzwi. Praktykant Butler; bardzo przepraszał za spóźnienie, ale przez całą noc źle się czuł. Oczy miał podkrążone, całą twarz bladą, opuchniętą, oddychał z trudem. Chciał już odejść do swoich zajęć, ale Bohm powstrzymał go nagłym okrzykiem:

– Niech pan pamięta, że przestępstwo zawsze odbywa się w c z a s i e !

– Słucham, panie inspektorze?

– W czasie. Mówiłem dokładnie to, co pan usłyszał. W czasie, niech pan zapamięta!

– No... to chyba jasne...

– Nie tak bardzo. Bo widzi pan, czas, a ściślej mówiąc równoczesność, jest warunkiem zaistnienia wszelkiej przestrzeni. Z kolei ukrytym warunkiem równoczesności jest nieustanna obecność Boga, wszędzie, w każdym miejscu. Któż bowiem, jeśli nie Bóg, może być w kilku miejscach naraz?

– Tak... Chyba rozumiem, panie inspektorze. Czy mogę odejść do swoich zajęć?

– Proszę, kolego Butler, niech pan idzie. Życzę owocnej pracy!

Kiedy Butler wyszedł, inspektor zastanowił się nad tym, co właściwie zrobił przed chwilą; nie powinien był przecież potraktować praktykanta w sposób tak apodyktyczny. Nie znajdował nic na swoje usprawiedliwienie. Nic, oprócz... może pewnej obsesji czasu, która owładnęła nim niedawno. Było to zadziwiające uczucie, że czas pędzi „na łeb, na szyję", że jego bezwzględny upływ (bezwzględny, a więc nie mierzony jakimiś zjawiskami natury) jest w istocie bardzo szybki, a nie wolny, jak to sobie wyobrażamy. Tykanie zegara, spokojny rytm kropel wody, wschody i zachody słońca o niczym nie świadczą. Inspektor wyjął z szuflady biurka notes i zapisał w nim: *Bardziej troszczyć się o Butlera; to nic nie zaszkodzi.* Potem dyskretnie przejrzał się w lusterku i wykonał jedną z od dawna trenowanych min pod tytułem „adresowane zdziwienie". Uważał, że dobry policjant powinien być przygotowany na wszystko. Kiedy wszedł sierżant Bałka z raportem, Bohmowi udało się błyskawicznie schować lusterko do kieszeni.

– No, co tam? – rzucił w kierunku nadchodzącego.

– Nic szczególnego. Parę bójek, dwa gwałty. W dzielnicy pojawił się nowy terrorysta.

– Brygada wysłana?

– Tak, ale facet na razie zniknął.

– Nie szkodzi, szukajcie go. Na pewno niedługo sam się ujawni. Aha, jeszcze jedno... nie wie pan, dlaczego Butler jest dziś taki blady? Czyżby przez pomyłkę zjadł własny totem?

– Eee... nie, inspektorze, to chyba niemożliwe...Postaram się go dyskretnie wybadać...

– To dobrze. Rozumie pan, sierżancie, powinniśmy dbać o pracowników... Może pan odejść.

Teraz dopiero przyszło inspektorowi do głowy, że to, o co oskarżał Butlera, mogło w istocie przydarzyć się Kultermannowi. Co prawda przypadki samożerstwa zdarzały się niesłychanie rzadko, tym niemniej i to można było wziąć pod uwagę. „Nie wiem nawet, czy klan Kultermanna był endo- czy egzogamiczny". Wystukał odpowiednie pytanie, na ekranie komputera momentalnie pojawiła się informacja: *Endogamia przy równoczesnym silnym tabu kazirodztwa.* „No tak,można się tego było spodziewać" – pomyślał Bohm. „Najgorsza, najbardziej krępująca kombinacja". Może więc jakieś naruszenie tabu... Było to o tyle nieprawdopodobne jako motyw samobójstwa, że Kultermann nie przejąłby się tym tak bardzo. Co więcej, mógł to potraktować jako dodatkowy powód do dumy: zawsze starał się być człowiekiem niezwykłym, bulwersującym otoczenie. Z drugiej strony, w mieście był ostatnio wypadek samobójstwa na tle naruszenia tabu – ktoś splugawił ducha przodka przez zanieczyszczenie ognia. Znaleziono go następnego dnia z wykłutymi oczami i wyrwanym językiem. Mówiono potem wiele o podziwu godnym samozaparciu denata, który ukarał sam siebie zgodnie z prastarym obyczajem.

O jedenastej zgłosili się na telekonferencję szefowie najważniejszych okręgów Miasta. Z ich relacji wynikało, że sytuacja w metropolii jest daleka od alarmującej. Klany totemiczne na całym obszarze podległym kontroli pozostawały w stanie równowagi. Bohm poinformował rozmówców o sprawie Kultermanna, nie wspominając na razie o swoich hipotezach. Po zebraniu wyruszył na poszukiwanie nowych materiałów, mogących przybliżyć rozwiązanie zagadki.

– Panie inspektorze, czy przekazać panu wyniki ekspertyz? – spytała go sekretarka, ale Bohm tylko machnął ręką. W korytarzu natknął się na sierżanta Bałkę.

– Panie inspektorze – szepnął sierżant – rozmawiałem z Butlerem. Zdaje się... – tu chrząknął parokrotnie – zdaje się, że on czuł się źle, bo... jest urażony tym, że wczoraj w czasie oględzin w mieszkaniu Kultermanna nazwał go pan... gruboskórnym matołem.

Bohm pokręcił głową. Jeżeli tacy faceci jak Butler robią się nadwrażliwi, do czego świat może dojść? Nie będzie można powiedzieć dosłownie nic. Zaniknie komunikacja międzyludzka. Wszyscy będą do tego stopnia skrępowani tabu, że nie tylko wszelkie działanie, ale i mówienie, stanie się niebezpieczne dla otoczenia. Czy można będzie to ignorować?

Myślał o tym, jadąc służbowym samochodem w kierunku mieszkania Kultermanna. Postanowił przeprosić Butlera, choć całą sprawę uważał za absurd. Przejrzystość i rozmach ulic miasta pozwalały na chwilę zapomnieć o ogarniającej wszystko paranoi.

Drzwi mieszkania Kultermanna były zapieczętowane. Dwaj ludzie stojący na klatce schodowej wymieniali poglądy na temat śmierci pisarza. Byli ubrani w białe koszule i garnitury; nie zwrócili uwagi na Bohma.

– Nie sąd, że to jak podej spraw?

– Na pew, icja ługo to oraj działa.

– Ciek czy coś wyk...

– Żliwe, on inął z snej iny.

Z treści (a raczej formy) dialogu inspektor wywnioskował, że obaj należą do bardzo licznej sekty słowostrachów. Nie wypowiadali oni całych form wyrazów z obawy, że sprowadzą na siebie i swoich najbliższych nieokreślone nieszczęście. Był to uboczny skutek panowania w Mieście totemizmu – ci ludzie bali się, że wypowiedzą tajne imię czyjegoś totemu, co może spowodować śmierć człowieka lub agresję z jego strony. Jeszcze groźniejsze mogło być nieświadome wypowiedzenie imienia zmarłego przodka. Bohm, nie przejmując się obecnością tych dwóch, wyjął wieloczynnościowy klucz i szybko poradził sobie z zamkiem.

– Coparob? – usłyszał wykrzyknięte pod jego adresem pytanie.

– Eikengrav natusaebb! – odpowiedział bezsensownym okrzykiem.

To był najlepszy sposób na członków sekty (kto może zaręczyć, że dźwięk bezsensowny nie kryje jakiejś straszliwej zbitki głosek?). Następnym dźwiękiem, który inspektor usłyszał, był szybki, oddalający się tupot nóg zbiegających po schodach.

Mieszkanie jak zwykle onieśmieliło go: lśniąca podłoga z wtopionymi w nią mapami gwiezdnych konstelacji; na przeciwległej ścianie obszernego holu – ogromny obraz Cishaha „Przejście Ludu Bożego przez Morze Czerwone". Nieokreślona myśl zaświtała w głowie Bohma. Słyszał przecież o językowych eksperymentach Kultermanna uprawiającego twórczość awangardową. Czy mogło to mieć związek z poszukiwaniem tajemniczego imienia Boga? Hipotezę tę można potraktować jako roboczą.

W dużym pokoju z oknami zwróconymi na wschód nie starto jeszcze kredowego konturu ciała Kultermanna. Bohm usiadł w fotelu. Od strony komputera dobiegało delikatne brzęczenie. *Obca ingerencja* – odczytał inspektor na monitorze; systemy zabezpieczające działały. Właśnie tu kryła się tajemnica: jeśli systemy działały i jeżeli to nie było samobójstwo, musiał zabić albo ktoś bliski, znajomy, albo duch. Powszechnie znana była nieufność Kultermanna, który nigdy nie wpuściłby nieznajomego człowieka do mieszkania.

Inspektor otworzył szafkę przy biurku pisarza; część notatek zabrał już Butler, ale część pozostała. „To charakterystyczne dla sposobu działania współczesnej policji" – pomyślał Bohm. „Jeśli czegoś nie można upchnąć do komputera, wydaje się to zada-

Jim Burns



niem nie do wykonania". Znalazł zeszyt zatytułowany „Pomysły". Były tu zarówno cytaty z wierszy, czasem z Pisma Świętego, jak i własne koncepcje Kultermanna. Przeglądał notatki powoli, kartka po kartce, zatrzymując wzrok na interesujących fragmentach. *Domagam się ciosu wideł i kropli ognia* – przeczytał na jednej ze stron. *Grzebię umarłych w swoim brzuchu* – głosiła notatka na innej. Pod spodem zaś, całkiem niewinnie: *Spotkać się z Ethel o 16.30.* (Bohm pomyślał, że informacja ta musiała być dla pisarza bardzo ważna i poufna, skoro nie przekazał jej do pamięci komputera). Dalej, bardziej tajemniczo: *To racja. Czy poezja zna jakieś sposoby żeby zmienić życie (mówić inaczej, żyć inaczej, czuć inaczej)?* Było też kilka ciekawych cytatów z Pisma Świętego, które inspektor przeniósł do własnego notesu. Zastanawiając się nad ich znaczeniem, doszedł do wniosku, że przykładał być może zbyt wielką wagę do ugryzienia na szyi Kultermanna. Obdukcja zwłok wykazała przecież, że nie miało ono żadnego związku z bezpośrednią przyczyną śmierci. Tak czy owak, w związku z ugryzieniem należało zainteresować się, kim jest Ethel.

Zadzwonił na komisariat i poprosił o połączenie z Butlerem. Po oficjalnych przeprosinach praktykant wydawał się bardziej skory do rozmowy. Odtworzenie pamięci domowego komputera Kultermanna ujawniło coś, co było rewelacją; otóż mniej więcej w tym samym czasie, w którym pisarz został zabity, czujniki zarejestrowały pożar w mieszkaniu. Było to przedziwne, zważywszy, że kilka godzin później, kiedy policja wkroczyła do mieszkania, żadnych śladów ognia nie zauważono. Istniały dwie możliwości – albo aparatura uległa uszkodzeniu i zarejestrowała nie istniejący pożar, albo nastąpił nagły wzrost emisji promieniowania przenikliwego, co komputer mógł mylnie zinterpretować jako skokowe zwiększenie się temperatury. W kwestii ugryzienia obdukcja niczego nie wyjaśniła (tu Bohm nie omieszkał wyrazić swojego oburzenia) – ślady zębów mogą być zarówno ludzkie, jak i należeć do sporego gryzonia. Kultermann zmarł na skutek uduszenia (co podkreślono w raporcie); na pewno przyczyną zgonu nie był wzrost temperatury. Butler ustalił również, kto był ostatnią osobą, która widziała żywego Kultermanna. Była to Rebeka Vansen, jego dawna żona, z którą rozwiódł się przed kilkoma laty. Wypytywana przez Butlera, zdołała już potwierdzić swoje alibi – odnalazła człowieka, który telefonował do Kultermanna po jej wizycie. Człowiek ów, jeden z wydawców książek denata, twierdzi, iż rozmowa z Kultermannem była krótka i polegała na wymianie „czysto fachowych" informacji; poza tym pisarz stwierdził, że „u niego wszystko w porządku" i że „eksperymenty są na dobrej drodze". W tym miejscu Butler dodał od siebie, że absolutnie nie wierzy w alibi pani Rebeki. Jego sceptycyzm podyktowany jest wskazówką inspektora Bohma, aby nie sugerować się w śledztwie potocznym pojęciem równoczesności, zgodnie z którym nikt nie może być w dwóch miejscach naraz.

– No tak, ale... ja niezupełnie to miałem na myśli... – bronił się inspektor, na co Butler odpowiedział z naciskiem:

– T y l k o pani Rebeka Vansen ma motyw zbrodni: na nią zapisane są tantiemy Kultermanna w wypadku jego śmierci; pisarz miał to niebawem zmienić, ale nie zdążył.

– No dobrze, a ugryzienie?

– Może oddała mu się, żeby uśpić jego czujność – wyrzucił z siebie Butler.

To są tylko nieumotywowane domysły – chciał powiedzieć Bohm, ale przypomniał sobie, że ma oszczędzać praktykanta. – No dobrze, kolego Butler, pracujcie dalej – rzucił na zakończenie. Odłożył słuchawkę i zaczął przechadzać się po pokoju. Pozwalał przepływać myślom swobodnie, bez wysiłku, próbując ocenić

całą sprawę przy pomocy intuicji. Kobieta... możliwe, że zrobiła to kobieta, ale nie pasowała tutaj Rebeka Vansen. Jej sytuacja jest ustabilizowana, jest doskonałą tłumaczką i cenioną poetką. Zabójstwo eks-męża nic by jej nie dało oprócz nie tak znów wielkich korzyści materialnych. Znacznie ciekawszą postacią jest z tego punktu widzenia tajemnicza Ethel. Trzeba koniecznie ją znaleźć! A jest jeszcze przecież przedziwna sprawa pożaru...

Inspektor podszedł do okna, było leciutko uchylone. Delikatny podmuch wiatru poruszył zasłonę; wystarczyło to, aby światełko alarmowe na przedniej ścianie komputera zaczęło się jarzyć. „Rozumiem, że można się zabezpieczać... - pomyślał Bohm - ale dlaczego aż tak dokładnie? Czy nie zakrawa to na paranoję?" Jak uparte echo wypełniły mu świadomość słowa wiersza: „Gdzie poety czystego gest z godnością wzbrania wstępu marzeniom, wrogom jego powołania". A przecież wśród marzeń jednym z najbardziej agresywnie atakujących umysł jest marzenie o ogniu... Płomienie niekoniecznie oznaczają ciepło domowego ogniska, mogą być także synonimem zagłady... Inspektor poczuł dreszcz, jak człowiek, który dotknął zagadkowego kształtu nieznanego przedmiotu. Półmrok mieszkania Kultermanna wydał mu się obcy i groźny, przez chwilę zapragnął wyjść, ale siłą woli opanował ten odruch. Podszedł do biblioteki i wyjął jedną z książek. Był to tomik poetycki - „Sezon w piekle" Artura Rimbauda. Inspektor znów natrafił na fragment zaznaczony z boku ołówkiem delikatną falistą linią: *Wynalazłem kolor samogłosek! - A czarne, E białe, I czerwone, O niebieskie, U zielone. - Ustaliłem formę i takt każdej ze spółgłosek i w instynktownych rymach pochlebiałem sobie, że odkryłem poetyckie słowo dostępne, któregoś dnia, dla wszystkich zmysłów. Zastrzegłem sobie prawo przekładu.* Bohm zamknął tomik i pokręcił głową z dezaprobatą. Tropy, ślady... prowadzące pewnie donikąd. Czy na czymś takim można budować śledztwo?

Kiedy jechał z powrotem do komisariatu, niemal fizycznie odczuwał drażniącą bliskość rozwiązania zagadki. Było to tym bardziej irytujące, że w sposób złośliwy wymykało się ono jego świadomości. Ta irytacja pozostała w nim jeszcze, kiedy wchodził do pokoju praktykanta Butlera. Potężny i zwalisty, siedział z łokciami opartymi na biurku. Naprzeciwko niego, w fotelu, paliła papierosa ładna, trzydziestokilkuletnia brunetka.

- Inspektor Bohm - przedstawił go Butler. - A to pani Rebeka Vansen.

- Dzień dobry, panie inspektorze, Czy nie sądzi pan, że pana podwładny przetrzymuje mnie na komisariacie stanowczo za długo?

- To należy do jego obowiązków - odpowiedział chłodno Bohm. - Proszę, kolego Butler, niech pan kontynuuje...

- A więc twierdzi pani, że w środę wieczorem była pani na odczycie męża dotyczącym nowych aspektów szczególnej teorii względności... Potem, około dziewiątej, udała się pani wraz z mężem na przyjęcie do Artura Voringhema. Pani mąż może zaświadczyć, że pomiędzy zakończeniem odczytu a przyjęciem byliście państwo tylko na chwilę u siebie, nie wstępując do Davida Kultermanna. Kto jednak jest w stanie zaświadczyć, że na odczycie lub u Voringhema nie była zamiast pani siostra-bliźniaczka, którą - wedle słów pani samej - „bardzo trudno" od pani odróżnić?

- To nonsens. Siostra mieszka na drugim końcu kontynentu. Poza tym jesteśmy skłócone.

- To nie jest żaden dowód, pani Vansen. Będziemy musieli to sprawdzić.

Rebeka wzruszyła ramionami.

- No dobrze. Zacznijmy może od innej strony. Po co przyjechała pani do swojego byłego męża i o czym pani z nim rozmawiała?

- David interesował się badaniami mojego męża na temat teorii względności. Chciał dowiedzieć się, jakie są ich najnowsze wyniki, prosił też o zaproszenie na odczyt. Dałam mu je, ale nie pojechał ze mną. Powiedział, że czeka jeszcze na telefon od wydawcy...

- Czy mówił pani nad czym pracuje? A może coś w związku z teorią względności?

- Właściwie nic ... powiedział tylko, że ... „może zadziwić mojego męża praktycznymi zastosowaniami jego teorii". Nie mówił jednak na czym polegają. A przecież prace mojego męża - to tylko intelektualne modele, mające uzmysłowić konsekwencje ogólnej teorii względności. Modele, nic poza tym...

- Cóż... - stwierdził Butler z nieobecnym wzrokiem. - Czasem zdarza się, że model jakiejś teorii staje się modelem rzeczywistości ...

- Pani Vansen - wtrącił Bohm, korzystając z chwili milczenia. - Czy pani siostra nie była kiedyś leczona psychiatrycznie?

- Co to ma do rzeczy? - odparowała Rebeka z błyskiem obu-rzenia w oczach. - Może i była, ale już bardzo dawno temu. Nasz obecny spór ...

- Co to była za choroba? - przerwał obcesowo inspektor.

- Zdaje się... że jakaś forma schizofrenii.

- Jaki był pani stosunek pokrewieństwa z Davidem Kultermannem?

- Bardzo odległy, chociaż pochodzimy z tego samego klanu. Jego totemem jest wąż, symbol zła - powiedziała z dumą w głosie.

„Odpada przynajmniej jedna hipoteza" - pomyślał Bohm. „Trudno wyobrazić sobie, żeby Kultermann zjadł węża".

- Poprosimy panią jeszcze o skomentowanie zdjęć zrobionych w pokoju Kultermanna po jego śmierci. Chodzi o to, czy nie zauważy pani jakichś zmian w wyglądzie otoczenia. Kolego Butler, proszę.

Praktykant podszedł do komputera i wystukał kod. Zdjęcia, które się pojawiły, podał Rebece. Oglądała je długo i bardzo uważnie.

- Coś tu jest nie tak - powiedziała wreszcie.

- Czy coś zmieniło się w pokoju? - spytał Bohm.

- Nie, nie o to chodzi... samo ciało, to znaczy David... jest jakiś inny.

- Inny? W jakim sensie?

- Mam wrażenie, że ... jego twarz zamieniła się stronami ... Znamię, które miał na lewym policzku jest na tym zdjęciu na policzku prawym... Tak samo brwi, usta, włosy... wszystko.

- Chce pani powiedzieć, że jego twarz jest odwrócona, jak w zwierciadle?

- Chyba nie tylko twarz, całe ciało ...

W pokoju zaległo milczenie. Słychać było jedynie nieprzerwany szum aparatury informatycznej i trzaskanie drzwi w innych pomieszczeniach komisariatu. „Co się dzieje, do diabła?" - myślał gorączkowo Bohm. „O co w tym wszystkim chodzi?"

- No cóż, pani Vansen, będziemy musieli w takim razie poprosić panią na oględziny... Jeżeli to możliwe, już w tej chwili.

Rebeka w milczeniu kiwnęła głową i wstała z fotela. Butler zamówił samochód.

- Pani Rebeko, była pani przez sześć lat żoną Davida - zagaił rozmowę Bohm, kiedy jechali już do kostnicy. - Musiała go pani dobrze znać. Czy może nam pani powiedzieć, o jakichś jego nawykach, fobiach, nerwicach, czułych punktach?

- David był człowiekiem upartym, który wytrwale dążył do wytyczonego celu. Nie bał się słów, tak jak wielu ludzi obecnie. Przeciwnie, interesował się nimi. Eksperymentował, często odzywał się do mnie w jakimś zapomnianym lub nie istniejącym języku. Nagrywał słowa i dźwięki z różnych języków, a potem kompilował je.

- Chciał odkryć wspólny wszystkim ludziom prajęzyk? - wtrącił Butler zza kierownicy.

- Tak, o ile wiem pracował też nad odkryciem tajemnego imienia Jahwe. Studiował kabalistykę ...

- To jego zainteresowania. A lęki? - przerwał Bohm, aby sprowadzić rozmowę na właściwy tor.

- Wiedzą panowie, że do przesady zabezpieczał swoje mieszkanie. Poza tym bardzo interesował się historią własnego klanu. Twierdził, że odkrył w niej jakieś zafałszowania, mogące oznaczać zatuszowanie skandalu, który zdarzył się w przeszłości. To dziwne, ale nie mógł ustalić nawet tego, kto jest faktycznie jego ojcem. Podobno urodził się, gdy jego ojciec był - chyba przez pięć lat - w zupełnie innej części kraju. Jeszcze ciekawsze, że nie miał on po powrocie żadnych pretensji do matki Davida i z całą naturalnością traktował go jak własnego syna. David domyślał się, że mogło to mieć jakiś związek z tradycjami jego klanu ...

„To ciekawe" - myślał Bohm. „W pamięci żadnego z komputerów nie ma wzmianki na ten temat".

- Mawiał zawsze, że „w jego żyłach płynie krew bardzo wielu przodków" - dodała Rebeka po chwili. W umyśle inspektora ode-

Marek PĄKCIŃSKI

Urodził się w Warszawie w 1960 r. Absolwent Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Jako 16-latek wydał obiecujący tomik miniatur fantastycznych „Owadzia planeta" (Czytelnik, 1976). Niedawno ukazał się „Ogród pamięci" - jego drugi tomik złożony z dwu większych opowiadań (tytułowe oraz „Ci co ryzykują"). Pisaliśmy o tej książce w „Fantastyce" nr 12/85. Uprawia Pąkciński fantastykę niewiele mającą wspólnego z klasycznym kształtem gatunku, pełną erudycji, kulturowych odwołań i nieoczekiwanych skojarzeń. Podobnie niekonwencjonalne (choć już nie do końca) jest też jego najnowsze opowiadanie - „Możliwość wnikania". Oryginalną konstrukcję literacką opiera tu autor, m.in. na interpretacji Starego Testamentu, zaczerpniętej z pracy Artura Sandauera: „Bóg, Szatan, Mesjasz i..."

(mp)

zwało się jakieś odległe skojarzenie. To była jedna z notatek Kultermanna z zeszytu „Pomysły": „Grzebię umarłych w swoim brzuchu". Mogło to oznaczać, że Kultermann uważał się za kogoś wyjątkowego, spadkobiercę wielu pokoleń.

Przygnębiająca scena w kostnicy nie była pozbawiona dramatyzmu. Najpierw droga wśród rzędów żelaznych łóżek z nieskazitelnie białymi prześcieradłami, przykrywającymi nieruchome kształty ciał, potem – odsłonięcie jednego z prześcieradeł i zdławiony okrzyk Rebeki, kiedy odkryła, że jej podejrzenia się sprawdziły. Butler musiał podtrzymywać przerażoną kobietę. Obaj, z pewnym trudem, zaprowadzili ją do samochodu.

– Zaczekajcie na mnie chwilę. Muszę porozmawiać z lekarzem – powiedział Bohm i zawrócił ku pawilonowi kostnicy.

Przyszedł do samochodu wzburzony. Okazało się, że wyniki sekcji były bardzo ciekawe. Wszystkie narządy wewnętrzne denata były tak samo „poprzestawiane" jak jego twarz i skóra na całym ciele. Nie poinformowano o tym policji, sądząc, że dawno już o tym wie, jako że cecha ta musiała być zanotowana w komputerowej „kartotece" Kultermanna zaraz po jego narodzinach. Bohm podejrzewał, że celowo zatajono ten fakt, aby móc swobodnie przeprowadzić badania naukowe ciała.

– A więc twierdzi pani, że Kultermann nie był taki ... nawet wtedy, gdy przyszła pani do niego parę godzin przed śmiercią?

– Oczywiście, że nie. Zauważyłabym to!... To straszne! – głos Rebeki drżał. – Zresztą mogą panowie to sprawdzić na wszystkich jego poprzednich zdjęciach.

Odwieźli Rebekę do domu, nie dręcząc jej już pytaniami. Kiedy wysiadła z samochodu, Butler odwrócił twarz w kierunku Bohma.

– Sprawy się komplikują – stwierdził. – Czy ma pan, inspektorze, jakąś koncepcję, zdolną objąć te wszystkie fakty?

– Nie, takiej koncepcji jeszcze nie mam – odparł Bohm. – Dlatego pójdę teraz do domu trochę pomyśleć. A pan niech wraca do komisariatu. Niech pan zorientuje się dokładnie, na czym polegały prace męża Rebeki nad teorią względności. Ja spróbuję zbadać, kim była tajemnicza Ethel, zajmę się sprawą domniemanego zafałszowania drzewa genealogicznego i przestudiuję resztę notatek denata. Spotkamy się na komisariacie jutro rano. To wszystko. Życzę powodzenia!

Idąc wolnym krokiem w kierunku domu, Bohm intensywnie myślał. Jakkolwiek fakty były dziwne i pozornie niespójne, można je było ułożyć w kilka hipotetycznych ciągów. Pierwszy ciąg tworzyły fakty z dziedziny demonologii. Po pierwsze, ugryzienie na szyi Kultermanna. Mogło ono świadczyć o tym, że zabiła go kobieta. Siła tego ugryzienia (wyraźne ślady zębów, które wgryzły się w skórę na dużą głębokość) wskazywałaby jednak na interpretację psychopatologiczną. Mogła to być kobieta-psychopatka, a takie obciążenia istnieją w rodzinie Rebeki. Mogła zrobić to Ethel. Inna sprawa – to tajemnicze pochodzenie samego Kultermanna. Czy jego ród był naznaczony „odwiecznym przekleństwem", które starano się ukryć? (Tu Bohm uśmiechnął się w duchu). Drugi ciąg faktów był związany z „eksperymentami" pisarza nad szczególną teorią względności. Może Kultermann chciał dokonać swego eksperymentu celowo przed samym odczytem męża Rebeki, aby zaskoczyć go i zadziwić rezultatem? Jest to jeszcze bardziej prawdopodobne, zważywszy, iż w rozmowie ze swoim wydawcą mówił, że „eksperymenty przebiegają pomyślnie". Jeśli ten eksperyment polegał na jakiejś transformacji, w czasie której wydzieliła się energia pod postacią promieniowania przenikliwego, wytłumaczony byłby również efekt „pozornego pożaru" w mieszkaniu denata. Tylko kto w takim wypadku udusił Kultermanna? Mąż Rebeki? A może ktoś, kto nie chciał, żeby rezultaty eksperymentu zostały ujawnione? Tak czy owak, pozostawał jeszcze trzeci ciąg faktów, związany z przejawianym przez zmarłego pisarza zainteresowaniem językiem. Czy David zajmował się nim tak aktywnie tylko z racji swojej profesji? Może – choć to fantastyczna hipoteza – Kultermann odkrył jakąś metodę „fizycznego uobecniania słowa", rozwijając w ten sposób poetyckie próby Rimbauda i symbolistów? Może „uobecnił" w ten sposób kogoś, kto go następnie zabił? No tak, ale uobecnienie słowa nie musi przecież oznaczać koniecznie odtworzenia jego desygnatu – strofował się Bohm w myśli. Przyłapał się na tym, że zaczął rozważać hipotezy zupełnie już absurdalne. Widział Kultermanna jako ofitę, czciciela węża-kusiciela lub jako członka sekty sławiącej Stwórcę przez uczestnictwo w wyszukanych orgiach. W dodatku miał wrażenie, że wszystkie te hipotezy są mu w jakiś sposób podsuwane przez ... samego Kultermanna. Będąc w mieszkaniu denata odczuwał czyjąś niepokojącą obecność, tak jakby pokój był nasycony jakąś jaźnią... Bohm tak się zamyślił, że niemal nie zauważył gwałtownego ruchu na ulicy wokół niego.

Był właśnie pod miejscowym Bankiem Informacji, którego przeszklona fasada odbijała jaskrawe światło słońca. Oślepiony, nie od razu zobaczył uciekającego człowieka w brązowym swetrze i masce na twarzy. Człowiek ten był uzbrojony i co chwila odwracał się, oddając po kilka strzałów do ścigających go strażników. Tamci odgryzali się i wyglądało na to, że przestępca zostanie osaczony.

– Bądź przeklęty, synu lisicy! – wrzasnął nagle w kierunku pościgu. – Niech pochłonie cię Dwanaście Przepaści!

Biegnący strażnik złapał się za piersi i opadł na kolana. W tym momencie kula terrorysty trafiła go prosto w głowę, rozłupując czaszkę.

– Przerwać ogień, bo wszystkich wykończę! – krzyknął przestępca. Znam wasze totemy i mogę je splugawić!

Strażnicy przystanęli, niezdecydowani. Korzystając z tego, terrorysta zranił jeszcze jednego z nich. Przez nikogo już nie ścigany, wbiegł w przecznicę prowadzącą do wieży telewizyjnej.

Inspektor, jak zawsze w takim momencie, poczuł ogromne zniechęcenie; sytuacja zmuszała go do działania. Nie znosił tego, gdyż działanie wymaga dokonywania wyborów, a on wolał pozostawać w sferze czystych możliwości. Wyszarpnął jednak rewolwer i ciężkim krokiem pobiegł uliczką równoległą do tej, w której zniknął terrorysta; chciał odciąć mu drogę. Jezdnia delikatnie wznosiła się do góry, co świadczyło o zbliżaniu się do wieży telewizyjnej. Bohm uznał, że najwyższy czas wbiec do jakiegoś budynku i zorientować się, w jakim miejscu jest uciekinier.

Był niedaleko, jakieś trzydzieści metrów od inspektora, drogę zagradzała mu wielka ciężarówka, stojąca w poprzek ulicy. Zastanawiał się właśnie, jak pokonać tę nieoczekiwaną przeszkodę. Inspektor wymierzył i strzelił kilkakrotnie. Kule, choć minimalnie, chybiły jednak, bo terrorysta błyskawicznie wczołgał się pod podwozie ciężarówki i stamtąd oddał kilka strzałów, które zadrasnęły framugę okna, tam gdzie przed chwilą stał inspektor. Ale Bohm był już piętro niżej, gorączkowo poszukując wyjścia z budynku. Nie znalazł go i musiał skakać przez okno; koło głowy gwizdnęła mu kula.

– Klnę się na Jupitera, że twoim totemem jest Wiąz! – usłyszał okrzyk. Terrorysta był pewny siebie. Sądził, że dzięki posiadanym informacjom z łatwością rozszyfruje totem Bohma, i nawet nie kwapił się do ucieczki.

– Ty plugawa, bezmózga małpo! Niech spali cię wieczysty Płomień! – odkrzyknął Bohm żeby zyskać na czasie. Jego umysł pracował szybko. Po akcencie wywnioskował, że przestępca pochodzi z południowej części miasta, a rozszyfrowane dotychczas totemy panujących tam klanów to: Żaba, Ptak z Krwawiącym Skrzydłem, Mucha, Zwierzę Pustynne, Anioł bez Głowy, Róża w Gorączce. Teraz pytanie brzmiało: do którego z tych klanów może należeć terrorysta (przy założeniu, że należy do klanu rozszyfrowanego), i jakie jest słowo-klucz, które zdolne jest go obezwładnić. Do każdego z tych totemów inspektor znał kilkadziesiąt takich słów-kluczy. Ostatecznie, jak zwykle, musiał się więc kierować intuicją.

– Co mówiłeś, Zdechły Nietoperzu? – dobiegło go pytanie przestępcy.

– Różo! Przywołuję przeciw tobie Biały Liść Mgławicy! – odkrzyknął precyzyjnie. Nie doczekał się odpowiedzi, gdyż nad głową usłyszał łoskot i szum wirnika policyjnego helikoptera. „No tak, tego jeszcze tu brakowało!" – pomyślał z niechęcią. „Jak mam prowadzić z tym facetem pojedynek na słowa, skoro on nawet nie usłyszy moich inwektyw?"

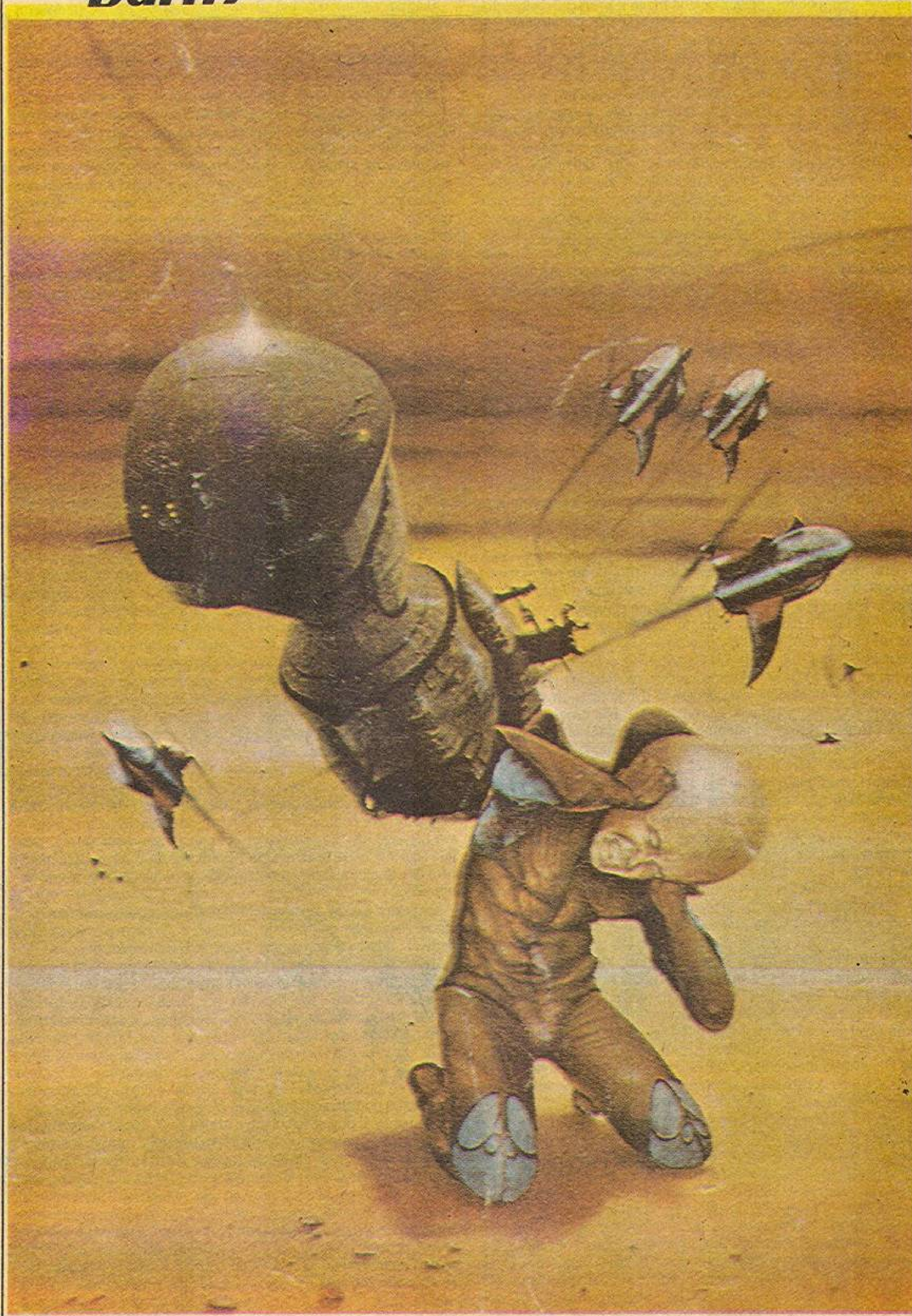
Inspektor zaczął „odganiać pilota" energicznie teatralnymi gestami. Helikopter pokręcił się nad uliczką, po czym pilot zasygnalizował „udaję się po pomoc" i odleciał w kierunku bazy.

Bohm wyjrzał zza metalowego pojemnika, który stanowił jego osłonę. Gdy kurz opadł, inspektor stwierdził, że pod ciężarówką nie ma już nikogo. „Niech to wszyscy diabli!" – zaklął w duchu. „Wiedziałem, że to się tak skończy!" Starając się kryć pod ścianą domu podbiegł do ciężarówki i przeczołgał się pod podwoziem na drugą stronę. Kiedy chciał wstać, usłyszał kilka strzałów. Kule wbiły się w nadwozie ciężarówki, ponad jego głową.

– No co tam, Ptaku?! – krzyknął. – Wziąłeś chyba pod skrzydła zbyt wiele przestrzeni! Pochłonie cię Straszliwe!

Nie usłyszał odpowiedzi, choć czekał dość długo. „Czyżby źle się poczuł?" – pomyślał o terroryście. Poczekał minutę i spróbował jeszcze raz wychylić głowę. Reakcji nie było. Nie wstając, jednym susem rzucił się za metalową beczkę, którą zobaczył z lewej strony. Poczuł ból łokcia i prawego kolana, ale wokół panowała nadal cisza. Pobiegł jeszcze kawałek, chcąc znaleźć schronienie w drzwiach szarego budynku po prawej stronie. Nie od razu zauważył brązowy kształt, leżący w płytkim otworze wentylacyjnym. Zapamiętał go jednak i kiedy odwracał głowę wiedział już, co się stało. Podszedł do niego i powoli, jakby z lękiem, zdjął mu maskę. Twarz, którą ujrzał, była zwykła, przeciętna, tylko nienaturalnie rozwarte oczy wpatrzone były w wąski skrawek nieba

Jim Burns



pomiędzy dachami domów. Bohm wstał z klęczek i zaczął iść powoli ku głównej ulicy miasta, tam, gdzie czekali na niego ludzie.

Przyszedł do domu znacznie później niż przewidywał. Był bardzo zmęczony, nie miał zupełnie nastroju do pracy. „Nawet nie zamknąłem mu oczu – myślał – jeśli istnieje jakieś piekło, niech zostanę ukarany tak jak on – patrzeniem przez całą wieczność w jeden punkt, bez możliwości zamknięcia powiek".

Żeby zmusić się jakoś do pracy, usiadł przed pulpitem komputera. „Niech twoje ciało będzie domem dla pór roku!" – powiedział na głos, cytując fragment liturgii pogrzebowej klanu Ptaka. Ten dźwięk, który rozległ się w pokoju, przywrócił mu poczucie rzeczywistości. Zadał komputerowi pytanie dotyczące możliwości zafałszowań genealogii rozszyfrowanych totemów, na przykład genealogii klanu Biblijnego Węża. Wprowadził do maszyny dane o wątpliwościach Kultermanna co do swego pochodzenia – fragment rozmowy z Rebeką, cytaty, podkreślone w książkach z biblioteki pisarza. Na oba pytania otrzymał odpowiedzi negatywne, ale nie zniechęcił się tym. Nacisnął klawisz z napisem „dodatkowe wyjaśnienia". Na monitorze pojawiła się informacja: *Istnieje pogląd, że w starożytnej Judei panował zwyczaj, zgodnie z którym młode mężatki oddawały się w noc poślubną kapłanom, przebranym za Boga. Dzieci pochodzące z tych związków zabijano w pierwszym miesiącu roku, podczas pełni, ofiarowując je Bogu-Księżycowi. Dopiero później, po przymierzu Jahwe z Mojżeszem Bóg zgodził się omijać (po hebrajsku pasach) domy izraelskie, których odrzwia posmarowane były krwią ofiarną baranka. Stąd wzięło się święto Paschy. Ma to związek ze sprawą Kultermanna: można sformułować hipotezę, że był on poczęty w świątyni (dlatego nie znał swojego prawdziwego ojca) i był poświęcony Bogu. Nikt nie mógł złożyć za niego ofiary zastępczej (np. baranka) – dlatego Kultermann musiał zginąć. Wnioski: zabójca nieokreślony, być może ktoś z jego klanu.* „Anachronizm"! – wystukał inspektor w odpowiedzi „To zwyczaj sprzed tysięcy lat!" Komputer zareplikował: *„Nie wiadomo, jakie zwyczaje panują w klanie Biblijnego Węża. Być może wskrzeszono rytuał sprzed tysięcy lat.* Bohm pokiwał głową. Replika komputera była logiczna i sensowna, ale nie widział żadnej możliwości rozstrzygnięcia, czy w klanie Biblijnego Węża panował istotnie taki zwyczaj. Klany strzegły swych obyczajów bardzo zazdrośnie, podobnie jak słów-kluczy przeciw ich totemom. Wydobycie od kogoś takiej informacji było tak samo niewykonalne, jak zafałszowanie genealogii jakiegoś klanu. Inspektor zaczął znów przeglądać notatki Kultermanna, licząc, że znajdzie w nich inspirację. Nie mogąc wyeliminować żadnej z hipotez, poruszał się niemal po omacku. Być może zabójczynią była siostra Rebeki Vansen, psychopatka fanatycznie przywiązana do obrzędów swojego klanu. Raczej nie zrobiła tego sama Rebeka, sądząc po jej psychologicznym portrecie, jaki Bohm stworzył po rozmowie z nią. Tajemnicą była także transformacja Kultermanna, która dokonała się w momencie śmierci. Rozmyślając, inspektor natrafił na fragment wiersza, wynotowany równym pismem Kultermanna: *Śpiewać o ukochanej – to jedna sprawa. A inna, biada, o utajonym, obwinionym bogu – rzece krwi.* „Właśnie" – powiedział Bohm do siebie. „Komputer nie mógł przecież wysunąć jeszcze jednej hipotezy, tej, która o zabójstwo oskarża samego Jahwe". Wiedział, że liczni mistycy religijni stanowczo odróżniali Boga miłosiernego i Boga sprawiedliwego, ale mściwego, utożsamianego z Jahwe. Jednym z nieodłącznych atrybutów tego ostatniego jest związek z ogniem.

Z zamyślenia wyrwał inspektora telefon. Dzwonił Butler. Był bardzo podniecony i twierdził, że znalazł lub „niemal znalazł" rozwiązanie zagadki. Pragnął zrelacjonować swoje dokonania, ale inspektor przerwał mu: „Jutro porozmawiamy, Butler! Na razie nie chcę się sugerować pańskimi pomysłami".

Po tej rozmowie Bohm znów usiadł nad notatkami. Kultermann interesował się twórczością mistyków religijnych. Uważali oni między innymi, że praźródło życia tkwi w śmierci i że jest ona wstępem do nowego, jeszcze pełniejszego życia. Kultermann wynotował również zdanie Jakuba Böhmego, potwierdzając podejrzenia inspektora: *Bóg jest wiecznością siły i światłem i zostaje nazwany podług światła i siły światła, podług ducha światła, a nie ducha ognia, ponieważ duch ognia jest jego złością i gniewem; nie jest przeto nazywany Bogiem, lecz niszczącym ogniem potęgi bożej.* Około drugiej w nocy inspektor położył się spać.

Dzień był wietrzny i pochmurny; Bohm przywołał samochód z najbliższego postoju. Był w komisariacie wcześniej niż zwykle, nie wiedząc, z jaką właściwie hipotezą ma wystąpić w czasie konferencji z Butlerem. Praktykant przyszedł punktualnie. Był zmęczony, ale zadowolony z siebie. Bohm stwierdził na wstępie, że – biorąc pod uwagę totalne „odwrócenie" ciała denata – rozwiązania można poszukiwać albo w sferze hipotez nadnaturalnych, albo łączyć je z domniemanym „eksperymentem" przeprowadzonym przez Kultermanna.

– Mam teorię łączącą oba te elementy – powiedział Butler. – Kluczową rolę odgrywa w niej eksperyment. Jak pan wie, wiązał się on z teorią męża Rebeki, pana Lewisa Steina. Polega ona na propozycji, aby potraktować czas jako wymiar, który nie „porusza się", lecz w którym „my się poruszamy". Wedle tej teorii pierwotnie Wszechświat składał się z czterech równorzędnych wymiarów. Następnie coś spowodowało, że wszystkie cząstki świata materialnego zaczęły poruszać się w czterowymiarowej czasoprzestrzeni z prędkością światła, jedyną prędkością „dopuszczalną" we Wszechświecie. Jak wiadomo, z teorii względności wynika, że jeśli jakiś obiekt porusza się z prędkością bliską prędkości światła, przestrzeń „kurczy się" w kierunku ruchu tego obiektu. Jeśli więc wszystkie cząstki Wszechświata pędziły z prędkością światła, to przestrzeń w ich kierunku ruchu skurczyła się do tego stopnia, że całkowicie zniknął jeden z wymiarów pierwotnej czasoprzestrzeni. Zostały trzy wymiary przestrzeni i resztka, jakiś cień czwartego wymiaru, który odbieramy jako czas. Rozumie pan, inspektorze?

– Rozumiem – odparł Bohm, wspominając nieokreślone uczucie, jakie miał poprzedniego dnia. – Znaczy to, że posuwamy się w czasie z prędkością światła.

– Właśnie. Tłumaczy to doskonale fakt, że czas „zwalnia" jeśli poruszamy się w przestrzeni z prędkością bliską prędkości światła. Ponieważ nie można jej przekroczyć, musimy wówczas „zwolnić" swój bieg w czasie.

– No dobrze. Ale jaki to ma związek z Kultermannem?

– Z tej teorii wynika również, że obiekt, który poruszałby się całkowicie w s t e c z w czasie, wyglądałaby jak swoje zwierciadlane odbicie. Uważam, inspektorze – Butler wypalił to jednym tchem – że Kultermann w jakimś celu nadał sobie ruch „pod prąd" czasu, z przyszłości ku przeszłości.

– Czyli wynalazł maszynę czasu... Śmiała hipoteza. Co prawda, wiem, że próby w tej dziedzinie są już robione przez naukowców. Ale oni mają kolosalne zaplecze techniczne. A gdzie, pana zdaniem, podziała się cała aparatura potrzebna do takiego eksperymentu?

– Mogła w kluczowym momencie zamienić się w energię lub w wolne neutrony... Komputer domowy pisarza zarejestrował pożar...

– Dlaczego w neutrony nie zamienił się również sam Kultermann? Dlaczego zginął? Jak zdołał sam skonstruować tak potężną aparaturę? Wreszcie p o c o wybierał się w przeszłość?

– Mogę tylko spróbować odpowiedzieć na te pytania inspektorze... Wie pan, że Kultermann bardzo interesował się Biblią, a zwłaszcza Starym Testamentem. Miał nawet obsesję na tym punkcie. W jego egzemplarzach ksiąg Starego Testamentu podkreślone są fragmenty mitu o Adamie i Ewie oraz o Enoszu z dynastii Setytów. W notatkach denata odnalazłem spostrzeżenia wskazujące na daleko idące podobieństwo mitu o Adamie i Ewie oraz o Enoszu. Oba te imiona znaczą po prostu „człowiek" i prawdopodobnie oba mity odnosiły się pierwotnie do kreacji rodzaju ludzkiego. Dopiero w późniejszej redakcji Starego Testamentu Adam stał się dziadkiem Enosza. Ale jeszcze ciekawsze są konsekwencje tej hipotezy. Wynika z niej, że pierwotnie w Starym Testamencie była mowa o tym, iż Jahwe „zrodził" Adama „na swój obraz i podobieństwo". Rozumie pan, inspektorze? „Zrodził", a nie „stworzył".

– Czyli Adam był po prostu synem Jahwe...

– Właśnie... a syn Boga nie może być zwyczajnym człowiekiem. Dlatego dopiero Enosz „zaczął wzywać imienia Jahwe", uznał jego zwierzchnictwo... Koresponduje z tym również zdanie ze Starego Testamentu, wedle którego „synowie boży" pojmowali za żony „córy ludzkie", a więc córki Adama. Ze związków tych powstawali „mocarze, których imiona pamiętne są od wieków". Kultermann bardzo interesował się tym mitem. Pisał o nim jako o dowodzie na to, że była kiedyś epoka, gdy bogowie żyli na Ziemi. Czasem sądził nawet, że żyją do tej pory i że ukrywają się wśród nas. Nie mógł jednak ich odnaleźć. Często wahał się i nazywał potomstwo Adama „zwyrodniałymi demonami".

– Myśli pan, że jego obsesja była na tyle silna, że zdołał pokonać wszystkie trudności i zbudować maszynę czasu...

– Lepiej powiedzieć: „nadać sobie prędkość światła o wektorze skierowanym w przeciwnym kierunku czasowym, niż kierunek ruchu Wszechświata". Tak, myślę, że to uczynił. A dlaczego zginął...? Cóż, można snuć bardzo różne przypuszczenia... Może zginął dlatego, że żywy organizm nie jest w stanie poruszać się pod prąd czasu. Może zobaczył coś, co nie jest dane zobaczyć człowiekowi. A może dotarł tam, do społeczeństwa bogów lub „zwyrodniałych demonów" i powrócił do naszego czasu – już martwy,

„odesłany" przez nich jako ostrzeżenie... Rebeka Vansen twierdzi stanowczo, że kiedy widziała się z Kultermannem, nie miał jeszcze na szyi tych śladów.

– Taak... – inspektor zamyślił się. Wbrew własnym zamierzeniom był teraz pod wielkim wpływem hipotezy Butlera. Ale nie mógł pozwolić, żeby ten wpływ pozbawił go poczucia krytycyzmu, tym bardziej że potwierdzenie hipotezy znajdował jedynie w sobie, we własnym odczuciu bardziej nieuchwytnym niż pulsowanie teraźniejszości na granicy między przeszłością a przyszłością.

– Kolego Butler, widzę, że bardzo się pan przejął moją początkową sugestią dotyczącą czasu. Jednak jest jeszcze pewien drobny szczegół: dowody. Jakie ma pan dowody na poparcie swojej hipotezy?

– Wydaje mi się, że mam dowód – oznajmił Butler, wyciągając z teczki złożony po wielokroć arkusz papieru. Był to potężny, niesamowicie rozgałęziony schemat, którego każdy milimetr kwadratowy mógłby być stuprocentowo wiernym planem średniej wielkości miasta. Butler podał inspektorowi lupę. Bohm rozpoznał gdzieniegdzie powszechnie stosowane w elektronice symbole.

– Co to jest?

– Pokazałem to znajomemu fizykowi. Twierdzi, że jest to schemat złożonego układu elektroniczno-mentalnego, którego niektóre fragmenty przypominają podzespoły urządzeń, stosowanych do eksperymentalnych przemieszczeń w czasie.

– Jak Kultermann zdołał zbudować sam taką aparaturę?! Czym ją zasilał?

– Specyfika technologii elektroniczno-mentalnej polega na tym, że nie musi być zasilana, gdyż opiera się na energii umysłu operatora. Co ciekawsze, Kultermann nie musiał nawet b u d o w a ć tej aparatury, jeśli miał duże zdolności psychotroniczne. Wystarczył sam schemat! Energia umysłu musi być odpowiednio ukierunkowana, ale nie potrzebuje nośników jak na przykład energia elektryczna. Fizycy, z którymi się kontaktowałem, twierdzą, że technologia elektroniczno-mentalna jest jeszcze w powijakach, a tu mamy do czynienia z bardzo zaawansowanym jej wytworem.

– Ale jak Kultermann zdołał to zrobić?

– Inspektorze, wszystko wskazuje na to, że był geniuszem.

Pół roku później inspektor Bohm siedział w kawiarni, sącząc na przemian koniak i kawę. Czekał na Butlera. Owiewał go delikatny i rześki kwietniowy podmuch, niosąc zapowiedź nieoczekiwanych radosnych wydarzeń. W tej chwili inspektor nie mógł uwierzyć, że świat pędzi z prędkością światła ku przyszłości tożsamej z zatratą. Wszystko wokół – misterny cień drzew na podłodze tarasu kawiarni, triumfalne błyski słońca, przenikające przez ruchome wachlarze liści – zaprzeczało temu. Wierny nastrojowi otoczenia, inspektor ignorował teraz groźne fakty, które wydarzyły się niedawno i dotykały bezpośrednio jego osoby. Czyż mógł jednak zapomnieć chwile – choćby z poprzedniej nocy – gdy budził się nagle w przedziwnej przestrzeni bez pionu, poziomu i głębi, gdzie każdy odcinek ciągnął się w nieskończoność i nie było dwóch linii równoległych, które – gdzieś w nieskończonej odległości – nie przecięłyby się? Co gorsza, jego własne ciało zaczynało podlegać prawom tej przestrzeni, zaczynało rozciągać się, niczym rozpięte na rusztowaniu o nieskończonych wymiarach. Jego przerażenie osiągało wtedy zenit. Zawsze – a powtarzało się to wiele razy – udawało mu się uratować z opresji niemal cudem, dzięki temu, że przypominał sobie słowo mogące zniweczyć sugestię. To słowo było za każdym razem inne, gdyż nawiedzający go nocą agresor zachowywał się jak wirus – pokonany, wytwarzał mutację, odporną już na poprzednie słowo-klucz. Inspektor wiedział, kto jest agresorem. Pamiętał dokładnie informację podaną mu przez komputer: „Ludzie z klanu Ptaka z Krwawiącym Skrzydłem mogą mścić się po śmierci, jeśli zostaną pochowani z otwartymi oczami. Zaatakowany nie ma żadnych szans przeciwdziałania".

Jeśli wierzyć ustaleniom sądu, w podobny sposób, w jaki miał teraz zginąć inspektor, stracił życie Kultermann. Hipoteza Butlera została przez sąd odrzucona jako nieumotywowana, ponieważ sławni fizycy i elektronicy, których powołano jako biegłych, wypowiedzieli się przeciw. Ostatecznie – na podstawie zeznań Ethel Moran, kochanki Kultermanna, w stan oskarżenia postawiony został ojciec pisarza, nieżyjący od dwudziestu lat Lamech Kultermann. Wydało się bowiem – między innymi dzięki działaniom inspektora Bohma – że brat Davida Kultermanna, Jabal nie zmarł śmiercią naturalną, lecz zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Po ekshumacji zwłok biegli orzekli, że został zabity przy użyciu aparatury elektroniczno-mentalnej, co naturalnie rzuciło podejrzenia na Davida. Potwierdziły się one, gdy okazało się, że Ethel Moran była w istocie siostrą Davida, co zostało zatajone w drzewie genealogicznym rodu. Jabal Kultermann był jedynym człowiekiem, który o tym wiedział; przynajmniej tak sądził David, który zabił go, wykorzystując swoje zdolności. David mylił się, gdyż Jabal zdołał „prawdopodobnie poinformować ojca przed swoją śmiercią o skandalicznym zatajeniu" (cytat z orzeczenia sądowego). Prastara tradycja nakładała w takim wypadku na Lamecha obowiązek zemsty. Nie zdołał wypełnić go przed śmiercią, ale – na co wskazuje tajemniczy zgon Davida – udało mu się to po śmierci. Po ekshumacji zwłok Lamecha okazało się, że w istocie został on pochowany za płytko i z otwartymi ustami „co sprzyja przekształceniu zmarłego w upiora" (cytat z orzeczenia sądowego). Sąd wydał wyrok skazujący Lamecha Kultermanna na pochowanie dziesięć metrów pod powierzchnią ziemi, twarzą w dół. Sentencja wyroku miała i bardziej drastyczne fragmenty: polecono przebić serce Kultermanna i wyrwać mu język w celu – jak określił to sąd – „zapobieżenia dalszym destruktywnym działaniom zmarłego". Parokrotnie użyto nawet słowa „wampir", sugerując, że ugryzienie na szyi Davida było jego dziełem.

Bohma nie przekonywało takie rozwiązanie sprawy. Było zbyt podobne do hipotetycznej pierwotnej wersji mitu o Kainie i Ablu. Inspektor miał poza tym dziwne wrażenie, że zostało ono podsunięte przez samego Davida Kultermanna, który pragnął z jakichś powodów zataić przyczynę swojej śmierci. Bohm postanowił więc nadal poszukiwać rozwiązania – na własną rękę. Wziął z pracy zaległy urlop i kontynuował studia książek i notatek pisarza, a także zawartości pamięci jego domowego komputera. Po pewnych czasie doszedł do przekonania, że prawidłowe rozwiązanie zostało wskazane przez hipotezę Butlera, która nie wyczerpywała jednak całkowicie przyczyn śmierci pisarza.

Zdaniem inspektora kluczem do zagadki były zdania wypowiedziane wedle Starego Testamentu przez Jahwe o ludziach: „W przyszłości nic nie będzie dla nich niemożliwe, cokolwiek zamierzą uczynić", oraz o Adamie, który – po spożyciu owocu z Drzewa Wiadomości „stał się jako jeden z nas". Jahwe obawiał się, żeby Adam „ręki nie wyciągnął i nie uszczknął też z drzewa żywota i nie zjadł, a nie żył wiecznie". Zdania te były wielokrotnie analizowane przez Kultermanna. Był on również autorem powieści na kanwie podania o wieży Babel i relacji żydowskiego historyka, Flawiusza, o królu Nemrodzie, który porwał się do walki z Bogiem. Zaprowadził on w swym państwie tyranię i bojąc się, aby Jahwe nie sprowadził na niego i jego naród powtórnego potopu, zbudował gigantyczną wieżę. W powieści Kultermanna wieża ta była cyklotronem, który miał rozpędzać cząstki „pod prąd" czasu w celu zaatakowania Boga wtedy, gdy najmniej się tego spodziewał – jeszcze przed stworzeniem świata.

W trakcie pracy inspektor odczuwał rosnącą potrzebę, aby zdać komuś relację z jej rezultatów. Wiedział jednak, że nikt ze zwierzchników mu nie uwierzy; sentencja wyroku sądowego była jasna i dostatecznie umotywowana. Jedyną osobą nasuwającą się w tej sytuacji, był Butler jako autor hipotezy, która zainspirowała Bohma. Dlatego właśnie inspektor czekał teraz na praktykanta, chłonąc całym sobą odcienie i zapachy otaczającego świata. Ich dzisiejsze spotkanie miało być już ostatnie; inspektor miał wyjawić swoje końcowe wnioski. Ale oto Butler przyszedł. Odszukał wzrokiem Bohma i podszedł do jego stolika.

– Zamówiłem dla pana kawę, jak zwykle – powiedział Bohm.

– Dziękuję, inspektorze. Jak pana przeciwnik?

– Nie wygląda na to, żeby zamierzał zrezygnować. Ostatnią noc miałem znów koszmarną.

– Niech pan się trzyma, inspektorze. Wszyscy jesteśmy z panem.

– To miło. Niestety, nie możecie mi pomóc.

– Wiem – ze smutkiem odpowiedział Butler i odwrócił wzrok.

– No, ale przejdźmy do rzeczy. Czuję, że czasu mamy niewiele. Pozwoli pan, że na początku zadam pytanie: co by pan zrobił, gdyby ktoś panu zagrażał? Gdyby pan wiedział, że na razie jest pan od niego silniejszy, ale w przyszłości on może stać się silniejszy od pana i zaatakować?

– Sądzę, że... starałbym się odgrodzić od niego jakąś barierą. Uniemożliwić mu przyszły kontakt ze mną.

– Właśnie. A jaka bariera jest nieprzekraczalna dla kogoś, kto w przyszłości będzie wszechmocny?

Butler zastanowił się chwilę.

– Chyba tylko bariera pomiędzy „być" a „nie być". Starałbym się ją zlikwidować.

– A jeśli to nie byłoby możliwe? Jeśli byłoby to, na przykład, synobójstwo?

Dłuższa chwila milczenia.

– Wówczas... zamknąłbym go w jakimś sztucznym świecie, z którego nie ma wyjścia. Na przykład – Butler ożywił się – mógłbym przetransportować jego osobowość na kod komputerowy. On istniałby w jakiejś formie (choć nie w świecie realnym), a ja byłbym bezpieczny.

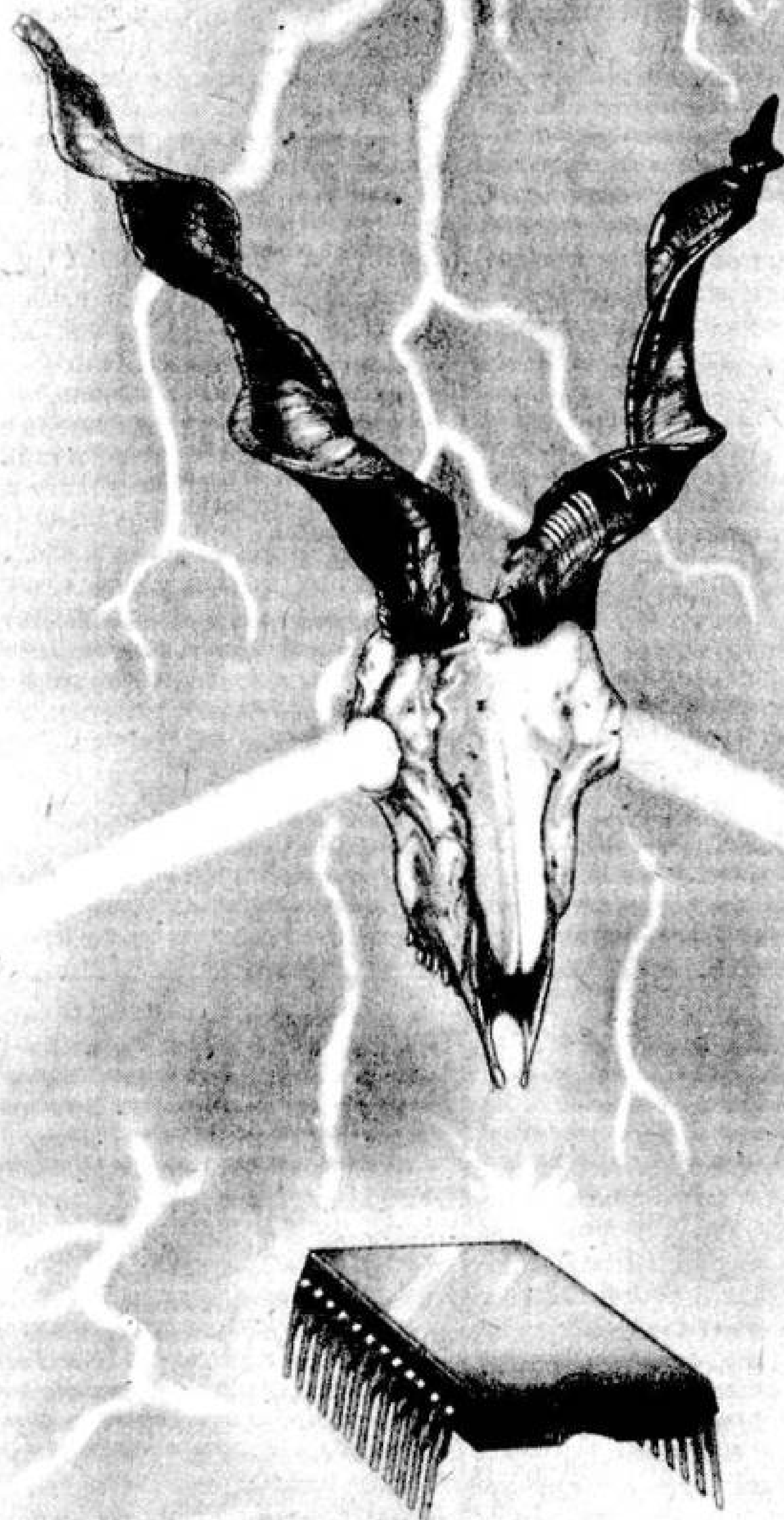
– Znakomicie. Dzięki pana inteligencji mam już właściwie niewiele do powiedzenia. Otóż ze Starego Testamentu wynika, że Jahwe – wtedy jeszcze w dużej mierze prymitywny bóg, który pragnął krwawych ofiar – bał się, aby stworzeni przez niego ludzie nie obrócili się w przyszłości przeciw niemu. Zakazał im spożywania owoców z Drzewa Wiadomości i Drzewa Życia. W Księdze Rodzaju jest wyraźnie powiedziane, że dopiero po spożyciu owocu z Drzewa Wiadomości Adam i Ewa „poczuli, że są nadzy". Zgodnie z teorią Kultermanna, która w Adamie widzi s y n a , a nie s t w o r z e n i e Jahwe, owoc z Drzewa Wiadomości miał w istocie znaczenie seksualne. Chodziło o to, aby Adam i Ewa się nie rozmnażali.

Butler uważnie patrzył na Bohma, chłonąc każde jego słowo.

– A teraz pytanie z innej trochę dziedziny. Jak pan sądzi, kolego Butler, dlaczego Jahwe „pomieszał języki" ludziom budującym wieżę Babel? Czy tylko po to, aby nie została wzniesiona...? – Mógł ją przecież zniszczyć. Ale on chciał zahamować badania ludzi, dotyczące znaków, symboli i kodów. Chciał je zniweczyć od samego początku. I jeszcze jedno pytanie: czy wie pan, dlaczego w naszym świecie tak dużo zależy od słowa? Dlaczego jednym słowem można człowieka zniewolić lub zabić?

– Bo jesteśmy stworzeni ze słów... – odpowiedział powoli Butler.

– Tak. – Bohm mówił teraz z pasją. – Dlatego właśnie Adam i Ewa mieli w raju pozostać niewinni! Jahwe musiał zapobiec rozmnożeniu gatunku ludzkiego, dopóki nie „wygnał ich z raju", to znaczy nie wprowadził do superkomputera pod postacią elektrycznych impulsów. Ale oni – wygnani – nie zdawali sobie sprawy z tego, że są tylko impulsami. Bo był tam cały elektroniczny świat – ziemia i niebo. Dlatego, że naprawdę raj był prawdziwym światem, a ten wokół nas jest tylko złudzeniem. Jesteśmy impulsami, Butler, impulsami poruszającymi się z prędkością światła po skomplikowanych elektronicznych układach. To, że się poruszamy, odbieramy jako płynący czas, co przeczuł Lewis Stein w swojej teorii.



Grzegorz Komorowski

Inspektor zamilkł i w tym momencie obaj dojmująco odczuli obecność świata wokół nich. Wiał lekki wiatr, szeleściły liście, refleksy słońca przemieszczały się po podłodze. To, co zostało przed chwilą powiedziane, było nie do uwierzenia.

– I David Kultermann chciał dostać się do raju... – przerwał milczenie Butler. – Chciał dotrzeć do momentu, kiedy wszystko było prawdziwe... Ale jak zdołałby zmienić się w realną, żywą istotę?

– Temu służyły jego eksperymenty językowe. Chciał zmienić kod na desygnat, słowo na rzecz.

– Czy zabił go Bóg?

– Niekoniecznie. Wystarczyłoby przecież, żeby usłyszał jedno słowo, prawdziwe słowo z tamtego prawdziwego świata, aby go zabić. Zabić, czyli zdezorganizować kod, na którym opierała się jego osobowość. Ale nie to jest najważniejsze. Niepokoi mnie to, że komputer można w każdej chwili wyłączyć. Mam niejasne prze...

David Kultermann skasował zapis tego pseudoświata. Znudziło go modelowanie własnej hipotetycznej śmierci. Opowiadanie, które mógłby napisać na podstawie tej sekwencji wydarzeń, byłoby prawdopodobnie zbyt długie i „ciężkie", a on wolał weselsze tematy. Dlatego bez żalu rozstawał się z jego bohaterami.

Marek Pąkciński

Powieść Wadima Szefnera „Dziewczyna nad urwiskiem" to historia uczonego, który wynalazł nowe tworzywo – Wszechmateriał zwany też akwalidem – rewolucjonizujące całe życie człowieka, ba, rewolucjonizujące kształt wszystkiego, co ludzkość wytwarza. Akwalid nadaje się do produkcji każdego przedmiotu, jego wynalazek czyni zbędnymi inne materiały dostępne człowiekowi. O naiwności takiego pomysłu nie trzeba chyba nikogo przekonywać, przynajmniej na tym poziomie potocznej wiedzy materiałoznawczej. Podobnych znaków opłat). Są wśród nich jednak i pomysły kiepskie, jak chociażby jadalny domek.

Szefner wyraźnie bawi się swoimi pomysłami, ale nie sprawia to byśmy mocniej wierzyli w zasadniczy wątek powieści. Oczywiście nikt nie może oczekiwać od tego typu utworów, że dowie się czegoś bliższego o Wszechmateriale, ale nie narasta też wokół niego żaden konflikt interesów, wszyscy wszystko przyjmują z aplauzem, a przecież łatwo wyobrazić sobie, że producenci tradycyjnych materiałów robiliby wszystko, by produkcję akwalidu „utrącić". Nic z tego – sama słodycz. Jakaś miłość, przedstawiona jak w powiastce dla kilkunastolatków, jakieś niewyraźnie opisane niebezpieczeństwa i wypadki – wszystko ukazane jakoś tak bez emocji, bez żaru, jakby nie dotyczyło w jakimś stopniu narratora, który przecież był przyjacielem genialnego wynalazcy i choć nie rozumiał tego, nad czym tamten pracował, to jednak jakoś uczestniczył w jego poszukiwaniach.

Bajka o Wszechmateriale

[...] nego typu naiwnością rodem z fantastyki lat pięćdziesiątych jest przekonanie o wszechświatowej przyjaźni, jedności celów i wspólnej pracy.

Tego typu wiarę fantastyka porzuciła już bardzo dawno – przynajmniej ta fantastyka, która myśli o sobie jako o pełnoprawnej literaturze. Szefner natomiast tworzy dość naiwną wizję stechnicyzowanego świata z upodobaniem wymyślając – niekiedy bardzo dowcipnie – nazwy dla coraz to innych mechanizmów służących człowiekowi. W powieści nie ma żadnych konfliktów, żadnych napięć – wszystko rozgrywa się jakby w gronie przyjaciół, wszyscy są dobrzy i szlachetni. Aż rodzi się pytanie: po co autorowi chciało się pisać tę powieść? Czy tylko po to, by „sprzedać" czytelnikowi kilka zabawnych pomysłów – np. dobroczynne wydawanie tomików poezji w nakładzie dwóch egzemplarzy czy też prawo do wydawania znaczków pocztowych w nakładzie 1 mln egzemplarzy, jakie posiada każdy obywatel świata (po likwidacji pieniędzy i in-

Napisał więc Szefner powieść, którą się czyta z pewną przyjemnością, ale bez emocji, ponieważ zabrakło w niej elementu, wokół którego mogłoby się ogniskować napięcie, powieść, po przeczytaniu której czytelnikowi nie zostaje nic poza kilkoma scenami, oderwanymi i niewiele wspólnego mającymi z zasadniczą intrygą, poza kilkoma neologizmami, z których chyba „Człopijwin" jest najbardziej udany (tu chodzi o człowieka pijącego alkohol).

W pewnym momencie lektury wydawało mi się, że Szefner rozwinie szerzej i wyostrzy konflikt pomiędzy technokratami (tak oni w powieści nie są nazywani) a humanistami, ale też nic z tego. Choć gdzieś w podtekście przez cały czas snuje się wątek krzywdy, jakiej doznają w przyszłościowym świecie humaniści, których właściwie nikt poważnie nie traktuje i którzy wraz ze swą pracą nikomu nie są potrzebni. W coś takiego mógłbym uwierzyć, ale autor „Dziewczyny nad urwiskiem" umyka przed wyraźniejszymi diagnozami, przed próbą dookreślania tego konfliktu – każdorazowo skręca w stronę drobiazgów, detalicznego opisu, np. zasad funkcjonowania wydawnictwa.

Z jednej więc strony widać u niego szczerą chęć opisania świata, jaki sobie wyobraził, jego kształtu, funkcjonowania (choć to wszystko czytankowo bezkonfliktowe), a z drugiej strony ucieka przed opisem generalnych założeń funkcjonowania tego świata, przed próbą spojrzenia nań z „lotu ptaka". Nie wiem, czym to jest podyktowane.

Krótko mówiąc: powieść Szefnera jest typową fantastyką dla młodzieży z wszystkimi wadami i naiwnościami tego odłamu SF, co nie znaczy, że nie znajdzie czytelnika. Jest to po prostu bajka o pięknym świecie, w którym ludzie są dobrzy, żyją długo, wszystko otrzymują za darmo, w którym jest możliwe to, co niemożliwe, i jest pięknie. Będzie pięknie, tyle tylko, że mało kto może dziś w to uwierzyć.

Leszek Bugajski

Wadim Szefner: *Dziewczyna nad urwiskiem, czyli wspomnienie Kowrygina*. Przeł. Ryszarda Wilczyńska. Wydawnictwo Poznańskie. Poznań 1985. Cena 130 zł.

Każdy chce żyć

W pierwszym roku istnienia „Fantastyki" niecierpliwie wyglądaliśmy w redakcji poczty z najnowszym numerem „Odgłosów". Tygodnik już w kwietniu-82 wpuścił w łamy fantastów z warszawskiego SFAN-CLUBU, a potem łódzkiego PHOENIXA. My wystartowaliśmy w październiku i od razu zrobiło się gorąco: rozparzeni i wymagający klubowicze dawali nam w „Odgłosach" krytycznie popalić. Nie przebierali w słowach, nie szczędzili autorytetów. Nasz miesięcznik prowokował urojoną, nawiasem mówiąc, pozycją monopolisty i nieuchronnymi potknięciami, toteż rubryka w „Odgłosach", a także fanziny jak „Fikcje" czy „Kwazar" szczypały nas przy różnych okazjach. Uważam, że była to zdrowa dla obu stron, a więc pożyteczna działalność.

Niestety, w przypadku „Odgłosów" nie trwało to długo. Kiedy pismo poczęło odchodzić od recenzji, od przewrotnych i smakowitych paszkwili, a postawiło na prozę, zainteresowanie łódzkim tygodnikiem znacznie u nas spadło. Jak zwykle bywa, zaczęły się schody. Wyszło na jaw, że krwiożerczy fanowie w swych bezkompromisowych kącikach też chcą żyć, drukować, wydawać. Najczęściej były to zresztą inne osoby. Dystans pomiędzy tym, co chciałoby się czytać, a tym, co można by ewentualnie napisać lub u pisarzy uzyskać stał się w „Odgłosach" dość duży. Po prostu k r y t y c y zniknęli, a pojawili się a u t o r z y. Wysoki, nieprzejednany ton krytyki okazał się z ich prozą nie do pogodzenia.

Każdy może to sprawdzić. Wyszła właśnie w stutysięcznym nakładzie reprezentatywna próbka – tomik 9 opowiadań 8 młodych autorów, przedstawionych wcześniej na łamach pisma. Rzecz wydano oszczędnie, są tu i ilustracje, ale na marnym papierze wyglądają fatalnie, a cena książki wydaje się nieproporcjonalnie wysoka. Jednocześnie nie jest to wydawnicza katastrofa, redaktorsko teksty podciągnięto do przyzwoitego poziomu. Jest to po prostu zapis małej wyobraźni, małych umiejętności pisarskich, małych wymagań, małej inwencji, małej dojrzałości i wiedzy. Choć mamy w tomiku autorów (zwłaszcza dwu – nagradzanego Kochańskiego i Nowaka, którego „Wilki" niosą narracyjną przewrotność) w innym miejscu pokazujących jednak dużą klasę.

Co to znaczy – średni poziom fantastyki? Na naszych oczach to, co nazwaliśmy kiedyś świeżością, odwagą, socjologicznością młodej polskiej SF kamienieje w konwencję, stereotyp i szablon. I ten szablon myśli teraz i obrazuje za autorów. Nieautentyczne wypiera autentyczne. Ile razy można czytać o mieszkańcu przeludnionego miasta pobudzanym i uśmiercanym, bezmyślnym, prowadzącym z sobą samym rozmowy na poziomie nastolatka? Ile razy można bawić się językiem Paska przy wydumanych opisach konfliktów w galaktycznych imperiach? Ileż można wymyślić laboratoryjnych sztuczek z morałem o zbędności cudownej formuły nieśmiertelności, skoro zrobił to już Swift? Ileż można wykreować w takim świecie instytucji fantomatycznego zaspokajania? Ileż razy można powielić dialogi Jej i Jego, rozprawiających z nostalgią w kosmosie o spopielałej i zdewastowanej Ziemi? Ile razy można powtórzyć te i podobne scenki, posiłkując się samą konwencją i nie wkładając w pisanie ani odrobiny siebie?...

Fantastyka, wbrew pozorom, nie jest wcale uznanym już i pewnym siebie gatunkiem literackim. Fantastów także dziś podejrzewa się, że nie chcą wcale nazywać, wyrażać, kreować, lecz – powtarzać, powielać, drukować. Słyszy się wciąż, że poprzeczka wymogów warsztatowych i myślowych wisi u nas zbyt nisko, a papieru i celuloidu jest mało. Tomik „Śmierć higieniczna" źle przeciwstawia się takim nastrojom. Przeciwnie – ukazuje przepaść stereotypu, nad którą wędrujemy, o którą się ocieramy, w którą każdy fantasta może wpaść, nawet najlepszy. Może wczoraj starczało powiedzieć – nie ma w moim opowiadaniu ani jednego robota, ani jednej rakiety, jestem oryginalny. Dziś to za mało. Nie wystarczy płaska perspektywa narracyjna, mały realizm, poetyka opowiadania „do gazety", fabularne odwrócenie kota ogonem i namiętna puenta za pokojem i w obronie czystości środowiska. Jednocześnie, chciałbym to podkreślić, bo czyni to ze „Śmierci higienicznej" świadectwo literackie i socjologiczne – notuje ten tomik nie tylko stan pisarskiego wysłudzenia, ale i mentalną pustkę. Widać tam niedostatek inwencji literackiej, lecz także ogólny brak perspektyw i natręctwo posępnych myśli ogarniających młodą generację. W końcu jest dziś naprawdę ogólnocywilizacyjnym problemem życie w przegęszczonych metropoliach i coraz mniejsza liczba stopni swobody, którą pozostawiono jednostce.

Fan to rozumie. Kupi tomik, kupuje przecież wszystko, przeczyta rzecz albo nie. Raz się skrzywi, dwa razy uśmiechnie, bo jak gość z anegdoty nauczył się śmiać z numerów dowcipów, a nie z ich treści, a potem puści rzecz do antykwariatu. Niefan rozedrze szaty i krzyknie – to marnotrawstwo papieru! Będzie miał rację. Prawda jest taka: każdy musi żyć, nie każdy musi pisać, na pewno nie wszystko trzeba drukować. Z chaosem zaś można walczyć, nie tylko drętwo rejestrując jego realia, lecz także przeciwstawiając mu humanistyczną perspektywę i ład. Trzeba szukać w życiu i słowie, stale od nowa. Nie tkwić w miejscu.

Tylko w ten sposób wyjdziemy na swoje.

Maciej Parowski

Śmierć higieniczna. Opowiadania fantastyczne. (M. Nowak, A. Mercik, J. Wójciak, Z. Dworak, R. Lidke, T. Lipowski, P. Tomaszewski, K. Kochański). Biblioteka „Odgłosów". Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, 1985. Cena 80 zł.

Cudowne, pożyteczne i... szokujące

Baśń to ten rodzaj literatury, z którym spotykamy się najwcześniej, bo już w okresie dzieciństwa, ale który towarzyszyć nam może przez całe życie. Niezależnie od epoki literackiej jest ona wciąż czytywana tak przez dzieci, jak i dorosłych. Różnie próbowano tłumaczyć przyczyny tej popularności.

Problemem szczególnie kontrowersyjnym jest rola i wpływ baśni na proces wychowawczy. Z górą sto lat temu Piotr Chmielowski twierdził, że *„wszelkich należy użyć środków, ażeby bajki od małych dzieci zupełnie odsunąć"* jako szkodliwe i demoralizujące!

W naszym stuleciu rolą baśni zajmowali się m.in. J. Cieślikowski, H. Skrobiszewska, K. Kuliczkowska. Efektem wielu dyskusji i sporów było włączenie baśni i mitów do programów szkolnych klasy IV i V. Jednakże problem „czytać – nie czytać" w odniesieniu do najmłodszych pozostał aktualny.

Myślę, że w dużym stopniu rozstrzyga go książka Bruno Bettelheima „Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni", która ukazała się przed paroma miesiącami nakładem PIW-u. Autor to jeden z bardziej cenionych w świecie psychologów i psychiatrów, wieloletni lekarz i wychowawca dzieci dotkniętych autyzmem, były więzień obozów koncentracyjnych.

Książka, o której piszę, jest jedną z jego licznych prac, ale pierwszą tłumaczoną na język polski. Śmiało można o niej powiedzieć, że jest pozycją nowatorską, przynajmniej na naszym rynku wydawniczym. Zawiera bowiem psychoanalityczną interpretację znanych baśni. Oczywiście, sam pomysł nie jest zupełnie świeży – do tej metody sięgali już niejednokrotnie Amerykanie, choćby H. Kupper, który tłumaczył językiem psychoanalizy występowanie motywu złej czarownicy, twierdząc, że realizuje on odwieczne, a niemożliwe w rzeczywistości pragnienie dzieciństwa (czarownica to matka oceniana przez dziecko jako zła, w momencie gdy je karze – stąd zawsze ginie).

Z podobnego punktu widzenia wychodzi Bettelheim. Podstawową zaletą baśni jest jego zdaniem to, że pozwala dzieciom zrozumieć, najczęściej na płaszczyźnie nieświadomej, wiele naprawdę trudnych problemów dzieciństwa i uczy, jak je złagodzić. Każda z baśni, jak pisze autor, podpowiada rozwiązania określonego konfliktu wewnętrznego. I tak na przykład znana opowieść o Sindbadzie Żeglarzu mówi o ścieraniu się dwóch aspektów osobowości: „id" i „ego", tematem innych jest rywalizacja między rodzeństwem, czy sytuacje edypalne. Omawiając kolejne baśnie Bettelheim tłumaczy, w jaki sposób każda z nich może pomóc w rozwiązaniu konkretnych problemów. Cenna to zaleta książki, szczególnie dla wychowawców i rodziców.

Słusznie pisze w swoim wstępie do polskiego wydania tłumaczka Danuta Danek, że „Cudowne i pożyteczne..." jest „elementarzem człowieczym". Uczy bowiem przede wszystkim szacunku i zrozumienia dla konfliktów rozgrywających się w psychice dziecka, które są – nie ukrywajmy – zbyt często bagatelizowane.

Oczywiście, nie jest to książka dla każdego. Wielu czytelników, którym przypadkowo wpadnie w ręce, z pewnością ją odrzuci, bo lektura to niełatwa. Nie chodzi tu nawet o język, który wydaje mi się prosty i obrazowy (jakże wielka to zaleta i jak rzadka w pozycjach naukowych), ale o nieprzygotowanie czytelnika. W naszym kraju na temat psychoanalizy mówi się raczej niewiele, a kontakt z „Cudownym i pożytecznym..." to 500 stron druku i jeszcze więcej psychoanalitycznych problemów. Co najmniej połowa z nich to wydobyte w naszej podświadomości odniesienia seksualno-erotyczno-płciowe, które dla wielu Polaków trącą „amerykańszczyzną".

Fakt, że przedstawione w ten sposób królestwo baśni budzi chwilami uśmiech i przywodzi na myśl opowiadanie W. Łysiaka z „M.W.", gdzie baśniowi bohaterowie demoralizują się, a Królewna Śnieżka zostaje nawet prostytutką. Ale cóż, sprawy ukryte, gdy wydobędzie się je na światło dzienne i nazwie po imieniu, szokują najbardziej. Szczególnie, gdy dotyczą nas samych...

Najcenniejszy w pracy Bettelheima wydaje mi się nowy sposób podejścia do tematu, a więc ukazanie baśni nie jako ucieczki od rzeczywistości (jak zazwyczaj była traktowana), lecz jako literatury mówiącej o problemach realistycznych, chce się powiedzieć życiowych, a ubranych jedynie w kostium fantazji. Tak więc baśnie spełniają podwójną rolę: pozwalają dziecku identyfikować się z bohaterem, utożsamiać z jego losem swoje radości i smutki i jednocześnie są wzorcem dla młodego odbiorcy – uczą poczucia sprawiedliwości, miłości itd.

Pięknie tłumaczy autor na przykład motyw zdobycia królestwa, kończący wiele utworów; jest to według niego symbol osiągnięcia wewnętrznej równowagi, niezależności następującej u progu okresu dojrzewania.

Dwa tomy książki nieco się od siebie różnią. W pierwszym Bettelheim skupia się na roli, a raczej wartościach procesu, jakim jest fantazjowanie, omawiając różne jego aspekty, np. potrzebę cudowności, tkwiącą w każdym dziecku, czy zyskiwanie integracji wewnętrznej. Drugi tom zawiera wnikliwą analizę poszczególnych baśni, rozpatrywanych oczywiście z psychoanalitycznego punktu widzenia. Jest tu więc mowa o „Czerwonym Kapturku", który przestrzega przed kierowaniem się w życiu wyłącznie zasadą przyjemności i o „Kopciuszku", poruszającym problem rywalizacji między rodzeństwem, o brytyjskiej baśni „Jacek i łodyga fasoli" uczącej akceptacji własnej płci i o wielu innych.

Oczywiście, można książce parę rzeczy wytknąć – choćby to, że jest niespójna, trochę rozgadana, jakby za długa. Autor wielokrotnie powtarza te same wypowiedzi i sądy, a niekiedy w swoich wywodach brnie chyba za daleko. Na przykład podczas omawiania „Czerwonego Kapturka", gdy „rozgrzesza" główną bohaterkę, zarzucając jej nadmierne zainteresowanie płcią przeciwną (wilkiem), w pewnym momencie czytamy zdanie *„Babcia też nie jest całkowicie bez winy"* – co wywołuje niezamierzone efekty humorystyczne.

Cokolwiek by jednak o pracy Bettelheima powiedzieć, jest to z pewnością pozycja warta przeczytania i co istotniejsze – przemyślenia.

Na zakończenie chciałabym przytoczyć wymowny fragment wypowiedzi autora, zamykający w sobie całą treść książki:

„...tylko wówczas, gdy człowiek podejmuje odważnie walkę, która sprawia przemożne wrażenie nie dającej żadnych szans, może on wymóc na swym istnieniu sens. To właśnie w najróżnorodniejszy sposób przekazują dziecku baśnie".

Czy nie piękne jest to, że słowa te wypowiada jednocześnie były więzień obozów koncentracyjnych i człowiek, który potrafi rozumieć baśnie?

Grażyna Lasoń

Bruno Bettelheim: *Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni.* PIW, Warszawa 1984. Cena 350 zł

Oko Feniksa

Pod takim właśnie tytułem ukazała się w drugiej połowie 1985 roku najnowsza, opracowana przez znanego wydawcę science fiction, Wolfganga Jeschkego, antologia niemieckiej powieści i opowiadań fantastycznych.

Rozwój niemieckiej SF różni się dość znacznie od historii gatunku w innych krajach Europy. Literatura tego rodzaju przez długi okres była determinowana w RFN przez powieści Hansa Dominika, Julesa Verne'a czy przedwojenne serie wydawnicze, takie jak na przykład „Sun Koh – spadkobierca Atlantydy" i „Jan Mayen – władca atomu". Ambicje tej literatury nie wykraczały w najlepszym wypadku poza Księżyc czy Marsa, podczas gdy twórcy na przykład amerykańskiej science fiction dawno już wędrowali po innych systemach słonecznych, a nawet galaktykach.

Powoli, z dużym trudem próbowano stworzyć w Republice Federalnej Niemiec rynek zbytu dla literatury rozszerzonego kosmosu. Jak się dziś okazuje – z powodzeniem. Jednakże działania te miały również i swoje uboczne skutki. Literatura science fiction wylądowała w wydawnictwach zeszytowych, mających wśród czytelników i krytyków jak najgorszą opinię. Jej odium wyczuwalne jest do dzisiaj. Co prawda, tylko niewielu krytyków i czytelników wie, że sztandarowy pisarz SF, Stanisław Lem, był na początku wydawany w Republice Federalnej Niemiec właśnie w tej formie, gdyż po prostu nie znano innych możliwości wprowadzenia go na rynek.

Fakt ten miał również wpływ na to, że większość utalentowanych autorów starała się trzymać z dala od gatunku, który nie przysparzał pisarzowi chwały. Literatura SF w Republice Federalnej Niemiec została totalnie zdominowana przez pisarzy amerykańskich. Twórcy niemieccy wzorowali się na nich bezkrytycznie, co też miało swoje uboczne, negatywne skutki.

Sytuacja zmieniła się w połowie lat siedemdziesiątych. Pojawili się młodzi (Karl Michael Armer, Ronald M. Hahn, Hans-Joachim Alpers); widząc ich sukcesy dołączyli do nich pisarze starszego pokolenia, tacy jak Carl Amery, prekursor niemieckiej SF Herbert W. Franke czy Georg Zauner. Niestrudzonym animatorem, wydawcą, krytykiem i twórcą tego gatunku stał się Wolfgang Jeschke.

„Oko Feniksa" jest najlepszym obecnie przeglądem tendencji panujących w literaturze science fiction Republiki Federalnej Niemiec. Śmiem twierdzić, że autorzy (choć naturalnie nie tylko oni) prezentowani w tej antologii, stworzyli całkowicie odmienny styl gatunku, mimo iż różnią się między sobą zdecydowanie. Wspaniały, gotycki, graniczący z fantasy, styl jednej z najnowszych gwiazd gatunku – Thomasa Mielkiego; zaskakujące, należące do gatunku social fiction opowiadania Karla Michaela Armera czy matematyczna logika Carla Amery'ego tworzą barwną paletę literacką.

Wspólną cechą autorów niemieckich jest surowe traktowanie rzeczywistości i wielka troska o przyszłość naszej cywilizacji. Szkoda, że polscy wydawcy tak rzadko prezentują ich utwory, ponieważ znalazłyby one z pewnością swoich zagorzałych odbiorców.

Wawrzyniec Sawicki

Das Auge des Phönix. Science Fiction aus Deutschland. Heyne Verlag, München 1985.

Kuczyński Maciej (ur. 1929)

Literat, inżynier, speleolog, alpinista, uczestnik wypraw naukowych

Urodził się 15 kwietnia 1929 r. w Warszawie. W 1948 r. ukończył liceum matematyczno-fizyczne w Krakowie, a w 1953 r. studia na Politechnice Krakowskiej otrzymując dyplom inżyniera architekta. Do 1956 r. pracował w krakowskich biurach projektów. W latach 1958–1959 był sekretarzem redakcji miesięcznika krajoznawczego „Ziemia". Od 1963 do 1973 r. pracował w Polskiej Akademii Nauk jako kierownik techniczny wypraw naukowych. Uczestniczył w formowaniu nowoczesnego taternictwa jaskiniowego, był współzałożycielem Komisji Taternictwa Jaskiniowego Klubu Wysokogórskiego, brał udział w licznych wyprawach odkrywczych do jaskiń Tatr. Kierownik techniczny kilku wypraw paleontologicznych PAN na pustynię Gobi w Mongolii; prowadził wyprawę speleologiczną KW do Meksyku; w Andy (Chile i Peru); uczestniczył w odkryciu najgłębszej jaskini Peru – Gueva del Cerro Racasmarca. W 1973 r. brał udział w polsko-amerykańskiej wyprawie naukowej w Himalaje Nepalu, a w 1974 r. był kierownikiem technicznym wyprawy peleontologicznej PAN na Spitsbergen. W rok później uczestniczy w polsko-amerykańskiej wyprawie naukowej badającej skażenia lodowców w górach Ruwenzori w Ugandzie; w 1976 r. kieruje polsko-wenezuelską wyprawą speleologiczną na płaskowyż Sarisariñama w Amazonii, uczestnicząc w odkryciu i eksploracji pierwszych znanych na świecie jaskiń w skałach kwarcytowych. W 1977 r. wchodzi w skład polsko-amerykańskiej wyprawy naukowej badającej skażenia lodowców w górach Alaski; w 1980 r. kieruje polską wyprawą speleologiczną do jaskiń Meksyku.

Jako autor debiutuje w 1963 r. Publikuje liczne reportaże z podróży drukowane na łamach prasy codziennej i periodyków, pisze komentarze do filmów podróżniczych, jest autorem zdjęć do filmów telewizyjnych-podróżniczych.

Wydał 20 pozycji książkowych, zwłaszcza powieści dla młodzieży i reportaży z podróży (m.in.: „Alarm pod Andami", 1961; „Do widzenia, słońce", 1962; „Białe palmy", 1962; „Chłopiec z Gór Organowych", 1963; „Gwiazdy Suchego Stepu", 1965 – książka wpisana na Listę Honorową Hansa Christiana Andersena; „Wyprawa po dinozaury", 1968; „Zimny brzeg", 1969; „Kayum", 1970; „Czeluść", 1972; „Rabunek", 1972; „Zwycięzca", 1976; „Obieżyświat", 1976; „Zwrotnik Dinozaura", 1977; „Nowe Przygody Obieżyświata", 1977; „Tajemniczy płaskowyż", 1981). W 1980 r. Kuczyński otrzymał nagrodę Prezesa Rady Ministrów za twórczość literacką dla dzieci i młodzieży.

Autor kilku powieści i zbiorów opowiadań SF, m.in.: **„Babcia-robot przy kominku". Dziesięć fantastycznych historii, których osobliwa akcja toczy się na Ziemi, pośród Planet, i jeszcze znacznie dalej.** (Zawartość: Babcia-robot przy kominku, Exodus, Trzy razy dziennie, Najwierniejszy przyjaciel człowieka, Czerwonogłowi, Światła biegną przez Kosmos, Niezniszczalne, Trolejbusy przed śniadaniem, Towarzyszka kosmonauty, Nasi ludzie w Kosmosie; Wydawnictwo Śląsk, 1963), **„Atlantyda, wyspa ognia"** (powieść; Nasza Księgarnia 1967, 1973, MAW – 1984), **Katastrofa** (powieść; Nasza Księgarnia 1978; 1983), **„Kask"** (powieść; Czytelnik 1978 – powieść nagrodzona w konkursie „Czytelnika").

Proza Macieja Kuczyńskiego porusza wiele uniwersalnych tematów science fiction, ale zaciekawia niebanalnym opracowaniem sytuacji fabularnych, sprawnym warsztatem literackim. Wczesne opowiadania zamieszczone w tomie „Babcia-robot przy kominku", wzorowane na groteskach Stanisława Lema, łączą motywy baśni i science fiction, a niektóre z nich umieszczają akcję w tak odległej przyszłości, że obserwacja świata możliwa jest tylko w perspektywie baśniowej. *„Tytułowa opowieść* – twierdzi Ryszard Handke – *ukazuje jak człowiek, istota nad wszystkie wyobrażenia paskudna i leniwa, hołubiona do czasu przez poczciwe roboty, zgotował sobie zagładę. Nie chcąc samemu myśleć, zbudował mózg, któremu nakazał znalezienie odpowiedzi na pytanie, co jeszcze należałoby uprościć dla całkowitego udoskonalenia świata"* (zob. pożółkłe kartki). Inne opowiadania odznaczają się żywiołowym humorem, plastycznym zarysowaniem sytuacji, doskonałą puentą, wyszydzając ułomności ludzkiego charakteru – egoizm, butę, pychę, obłudę, zakłamanie – które odegrają istotną rolę w kontakcie z innymi cywilizacjami.

Jedną z ciekawszych książek Macieja Kuczyńskiego, wpisaną na listę lektur szkoły podstawowej (propozycja Antoniego Smuszkiewicza) jest „Atlantyda, wyspa ognia", która w schemacie powieści awanturniczo-przygodowej przekazuje istotne treści dydaktyczne, wychowawcze i poznawcze. Młodociany bohater musi wykazać się predyspozycjami psychicznymi i fizycznymi, aby rozszyfrować pochodzenie tajemniczego lądu. Syn wodza Indian, Awaru przedostaje się na wyspę zamieszkałą przez cywilizację naukowo-techniczną, otoczoną wrogimi plemionami tubylców, znajdującymi się na niezwykle niskim szczeblu zaawansowania instrumentalnego. Awaru ogląda urządzenia techniczne wyspiarzy, obserwuje dziwny, nieznany świat i zamierza przekonać swoich współtowarzyszy o daremności zdobycia nowych terytoriów. Jego przemyślenia zostają zawarte w scenach wydzielonych kursywą, budzą zainteresowanie brakiem dookreślenia przedmiotów technicznych, aktywizując wyobraźnię czytelnika. Autor zabudowuje legendarną wyspę zgodnie z planem XX-wiecznej metropolii, ale nie podaje przeznaczenia cudownych instrumentów. W robinsonadzie Kuczyńskiego zakończonej totalnym kataklizmem (pochłonięciem wyspy przez wzburzone fale oceanu ważna jest aktywna postawa bohatera, który próbuje wyjaśnić i opisać obcy świat, dotrzeć do istoty cudownych urządzeń, poznać ich konstruktorów, ludzi odpowiedzialnych za ich użycie.

W kolejnej powieści „Katastrofa" porusza Kuczyński problem nadużycia władzy przez uczonego, który dowodzi, iż cywilizacja naukowo-techniczna zmierza ku zagładzie, niszczy środowisko naturalne, buduje klatki – więzienia dla jednostek, żądając reglamentacji uczuć, tożsamego wartościowania w różnych sytuacjach społecznych. Bunt zostaje zdławiony, ludzkość ocalona, ale zagrożenie zmusza do refleksji, prowokuje do wprowadzenia zmian, otwiera oczy na niedoskonałości systemu, który niszczy osobowość człowieka. W dwóch kolejnych powieściach: „Wynalazek", „Kask" opowiada Kuczyński nie tyle o historii cudownych urządzeń, ile o perypetiach młodocianych adeptów nauki. Nie doceniani przez rówieśników, występujący przeciwko obowiązującym normom społecznym i obyczajowym, skłóceni ze środowiskiem – są postaciami prawymi, szlachetnymi, obdarzonymi poczuciem własnej wartości i buntowniczej niezależności. Żywa, pasjonująca akcja powieści Kuczyńskiego czyni z nich lekturę wartościową, rozbudzającą wyobraźnię, odpowiadającą ambicjom wychowawczym.

Bibliografia

– R. Handke, *Baśń a science fiction, czyli o pewnym materii pomieszczeniu* /w:/ „Teksty" 1975/5,

– M. Łukaszewicz /w:/ „Nowe Książki" 1978/12,

– S. Grabowski /w:/ „Nowe Książki" 1978/24.

Hinie wiele, wiele lat, tak wiele, że nasze gorące słońce będzie już tylko syczącym żużelkiem na wielkim ruszcie Wszechświata, a pyzaty Księżyc zmieni się w purchawkę gotową za lada dotknięciem rozsypać się w stęchły proszek, co zapaskudzi połowę Układu.

Wtedy to, babcie-roboty grzejące się przy nukleo-kominkach, będą opowiadały bajeczki wnuczętom-roboczętom.

A jedna z nich będzie taka:

Otóż, moje kochane, dawno, dawno temu, przed erami, przed wiekami, przed dawnymi bardzo laty, świat nie był jeszcze tak doskonały jak dzisiaj. Przeciwnie, był młody, pełen fermentu, jak nieudana mieszanka olejowa i niepodobna było zgadnąć do czego zmierza. Chyba tylko sam Wielki Konstruktor raczył wiedzieć...

A wcale nie działo się dobrze. Ludzie zamiast brać przykład z robotów i pracować jak one, zaczęli się wykręcać opiłkami. Wszystko spychali na nas i wcale nie słuchali ostrzeżeń szeptanych im przez stare, skorodowane nianie-roboty, którym krajały się tranzystory na taki widok.

Wyobraźcie sobie, wnuczki moje, że nie chciało im się nawet chodzić! Łagodne roboty nosiły ich z miejsca na miejsce. Lecz skutek był taki, że zanim minął trzy razy po trzy okres Połowicznego Rozpadu, ludzie stracili zupełnie nogi. Teraz choćby chcieli, nie byli zdolni do zrobienia kroku... Hi, hi!

Nie myślcie sobie, że na tym się skończyło – czas minął sześć razy po sześć i ludziom zmarniały ręce wskutek długiej bezczynności. Ale i to nie było kalectwo w świecie przyjaciół. Nosiliśmy ich, obmywali, karmili.

A musicie wiedzieć, moje małe, że dotknięcie człowieka było rzeczą bardzo nieprzyjemną, wstrętniejszą nawet niż krótkie spięcie... Brr! te wodniste ciała w zwiotczałej powłoce... Na samą myśl blacha mi się marszczy z obrzydzenia, lecz że trzeba kochać najbardziej nawet nieudane konstrukcje, roboty bez zgrzytania trybików nosiły przeznaczenie.

Długo, długo baśń się plecie...

W tamtych bardzo dawnych czasach, za górami, za morzami, za siódmym księżycem, za dziewiątą Orbitą żył Człowiek, Który Miewał Świetne Pomysły. Mieszkał w ogromnym automacie i patrzył najczęściej w stronę czwartego wymiaru.

Ten człowiek, tak jak wszyscy inni ludzie był okropnie leniwy i tak jak inni łamał sobie głowę nad pytaniem CO JESZCZE USUNĄĆ, ABY ŚWIAT STAŁ SIĘ PROSTY JAK TABLICZKA MNOŻENIA? Ale nic wymyślić nie mógł, bo i czym? Wiedzcie wnuczki, że mózg człowieka to taki stary i zużyty obwód, co to jest polutowany z zardzewiałych drutów, ma przetartą izolację, wyżarzone włókna w lampach i w ogóle nie wiadomo dlaczego działa.

Wtedy Człowiek Który Miewał Świetne Pomysły wpadł na myśl, żeby zamiast głowić się samemu, zbudować ogromny mózg i zadać mu to ważne pytanie. Ludzie bardzo się ucieszyli, bo im się wydało, że bliska jest chwila, kiedy pozbędą się wszelkich obowiązków, a świat będzie doskonały.

Ale Ziemia była za mała i Układ Słoneczny był za mały i Galaktyka była za mała, żeby pomieścić ogromny mózg.

Wówczas Człowiek Który Miewał Świetne Pomysły i był taki niemądry, że nie cofał się przed niczym, zaprojektował rzecz, na której wspomnienie jeszcze dzisiaj zamiera w robotach pole magnetyczne... Ni mniej, ni więcej zażądał, aby wprząc do pracy cały Wszechświat, całe Niczym Nieobjęte Uniwersum.

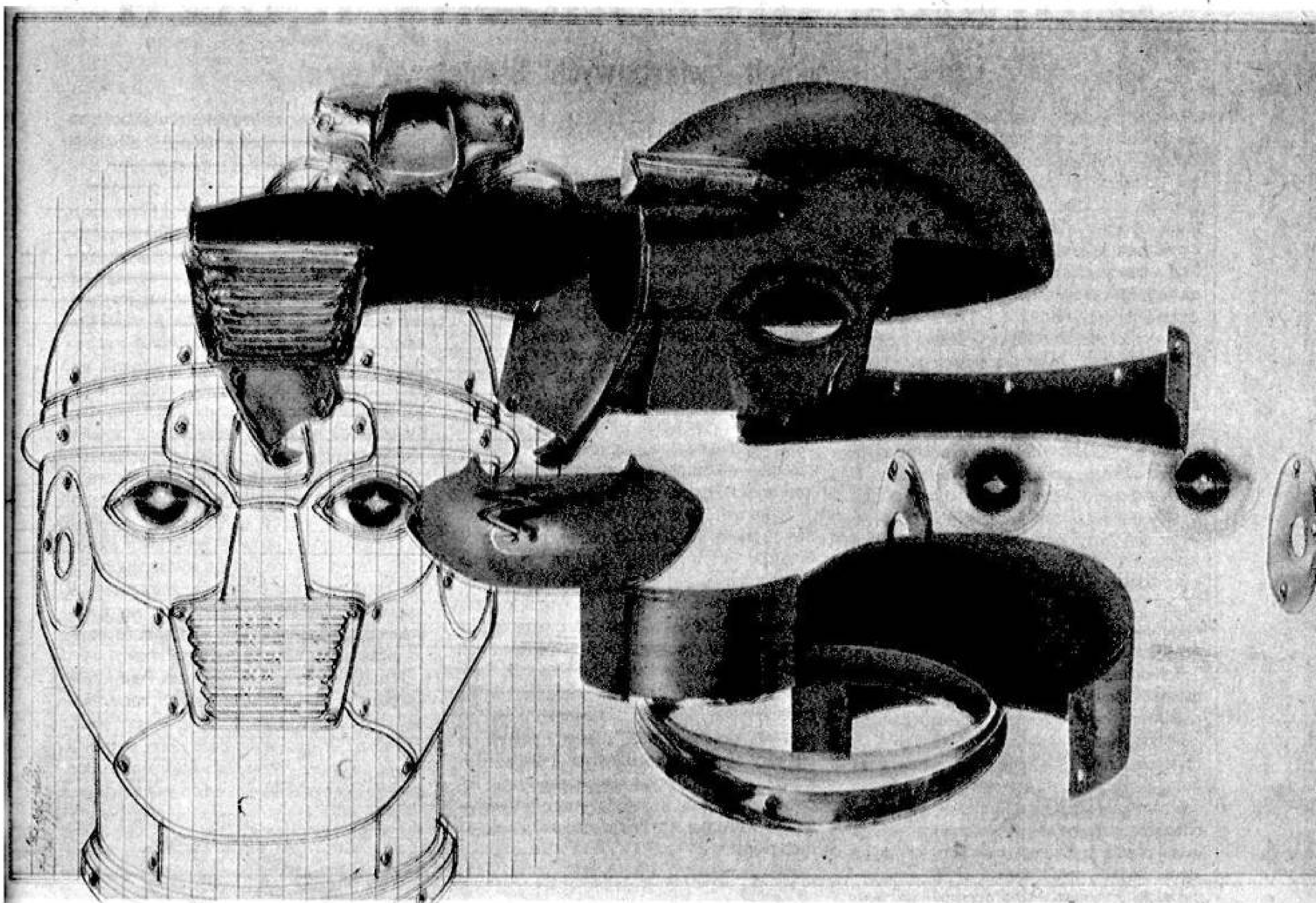
Tak się też stało i zanim trzy razy obrócił się Saturn, ruszyły pośpieszne rakiety w siedem stron Kosmosu. Dniem i nocą odlatywały szeregi robotów na trud i niewygodę. Krocie ich pogrążały się w mroku. Krocie dążyły przez pustkę do wybranych miejsc w galaktykach, mgławicach, obłokach materii jasnej i czarnej, do kulistych gromad gwiazd i pól antymaterii. A kiedy dotarły, jęły tam wznosić urządzenia, których rozmiar przekracza po dziś dzień wszystko co zrobiono.

Były tam lustra większe od mgławic spiralnych, obwody wzmocnień i komórki pamięci zawieszone pośród czerwonych i białych karłów. Długo, długo by mówić o we wszystkich swoich wymiarach napełniło się bezgłośnym miganiem smug falowych, co jak strzały niedostrzegalne szyły pustkę, mróz i nieskończoność.

Burza prądów rozszalała się w przestworzu, a zdawało się, że wciąż ich przybywa, że wciąż się komplikują, przenikają po tysiąckroć, krzyżują. Od Daure w Athemidzie do Zarty w Pigmeju, od Tunkah do Al Tafra! Nie było gwiazdy co nie miałaby w tym swojej roli. Wszechświat, Wszechświat zaprzęgnięty do pracy! Zaiste nagle, wtedy właśnie, kiedy nikt z ludzi już się jej nie spodziewał. Odebrał ją mały dyżurujący robot, głuptas ósmej klasy, który nawet nie był w stanie pojąć jej treści. Lecz sumienny jak wszystkie, zgodnie ze zwyczajem wziął blaszkę z wydziurkowanym pytaniem CO USUNĄĆ, ABY ŚWIAT STAŁ SIĘ PROSTY JAK TABLICZKA MNOŻENIA i wybił pod nim odpowiedź: LUDZI, a następnie bez zwłoki przekazał to automatom centrum wykonawczego...

Maciej Kuczyński

Babcia-robot przy kominku



Andrzej Brzezicki

tym ile niebezpieczeństw zniosły roboty zanim przekształciły Uniwersum w Ogromny Mózg. I przyszła chwila, kiedy już można go było uruchomić.

A jako układ wyjściowy przyjęto mózg Człowieka Który Miewał Świetne Pomysły. Tak, tak, to musiało się dla nich źle skończyć. Pytanie pobiegło z Ziemi w siedem stron Kosmosu zamienione w strugi fal telematerii. Te dopadły kosmicznych zwierciadeł, a odbite od nich ruszyły ku tysiącom gwiazd, mgławic i galaktyk. I stało się w krótkim czasie, iż Uniwersum całe zmierzona jest cierpliwość Wszechświata.

Lecz niechaj nikt nie sądzi moje dzieci, że Ogromny Mózg pracował szybko, o ho, ho! Przeciwnie! Trwało to bardzo długo nim rozproszone impulsy poczęły się zbiegać na powrót. Tak długo, iż ludzie zniechęceni czekaniem zapomnieli o podjętym dziele. Zapomniał też Człowiek Który Miewał Świetne Pomysły. Wszystko pozostawiono jak zwykle robotom. Przyjęły bez iskrzenia to nowe obciążenie.

I przyszła odpowiedź niespodziewanie i

Odtąd drogie moje wnuczki, spokój panuje na Ziemi, a świat jest DOSKONAŁY.

– I co babuniu, i co?

– I to już koniec bajeczki. A teraz podajcie mi album, tam na starej rycinie pokażę wam jak wyglądali ludzie.

„Babcia-robot przy kominku", opowiadanie wybrane z tomu pod tym samym tytułem. Wyd. Śląsk 1963, ss. 5–9.

Przygotował Andrzej Niewiadowski

Esejem Adama Hollanka „Geniusz na miarę epoki", zamieszczonym w marcowym numerze „Fantastyki", rozpoczęliśmy cykl artykułów dotyczących pisarstwa Stanisława Lema. Obecnie przedstawiamy jeden z rozdziałów książki doc. Jerzego Jarzębskiego „Przypadek i ład", która ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa Literackiego.

Jerzy Jarzębski urodził się w Bytomiu w roku 1947. W roku 1970 ukończył polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, w rok później (studiując jednocześnie filozofię) obronił pracę magisterską na temat „Zagadnienie formy w twórczości Gombrowicza" (promotor: prof. Maria Dłuska). Od roku 1971 pracuje jako asystent, starszy asystent i (od 1979) adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej UJ. W roku 1974 odbył półroczny staż w IBL PAN pod kierunkiem profesora Janusza Sławińskiego. W roku 1979 obronił rozprawę doktorską (promotor: prof. Jan Błoński), która ukazała się później w wersji książkowej pt. „Gra w Gombrowicza" (PIW, Warszawa 1982). Za tę pracę autor otrzymał w roku 1983 doroczną nagrodę im. A. Brücknera przyznawaną przez Wydział I PAN.

Jerzy Jarzębski jest krytykiem, teoretykiem, historykiem literatury – autorem wielu prac na temat Gombrowicza, Schulza, Kuśniewicza, Hłaski i Lema. Przed kilkoma miesiącami ukazała się kolejna jego książka: „Powieść jako autokreacja", będąca zbiorem szkiców o prozie współczesnej.

Prace dotyczące twórczości Stanisława Lema publikował Jarzębski na łamach „Ruchu Literackiego" (1977), „Nurtu" (1983) i „Pamiętnika Literackiego" (1983). W przekładzie niemieckim i angielskim wydano jego szkic „Stanisław Lem. Racjonalista i zmysły". Jarzębski jest także twórcą posłowia do „Bajek robotów" Stanisława Lema (KAW 1983), a dla wydawnictwa Suhrkamp napisał wspomnianą książkę „Przypadek i ład. O twórczości Stanisława Lema". Dla Wydawnictwa Literackiego przygotowuje tom zbiorowy studiów o Lemie („Lem i krytycy"). (an)

Diariusz filozoficzny łgarza

(o „Dziennikach gwiazdowych" Stanisława Lema)

Jerzy Jarzębski

„Dzienniki gwiazdowe" zajmują szczególną pozycję wśród twórczości Lema. Cykl przygód Ijona Tichego – chronologicznie najstarszy, jest zarazem do dziś kontynuowany i przeszedł znaczącą ewolucję, jeśli idzie o styl i tematykę; snadź nadawał się najlepiej jako „notatnik" literacki, w którym autor szkicował kolejne swoje pomysły. Dlatego warto zająć się bliżej wynurzeniami legendarnego łgarza i fantasty, który pisarzowi posłużył za medium wypowiedzi.

Pierwsze odcinki cyklu były drukowane jeszcze w „Sezamie". Zaczynało się w tonacji buffo:

„Słynny gwiazdokrążca, kapitan dalekiej żeglugi galaktycznej, łowca meteorów i komet, niestrudzony badacz i odkrywca osiemdziesięciu tysięcy trzech globów, doktor h. c. uniwersytetów Obojga Niedźwiedzic, członek Towarzystwa Opieki nad Małymi Planetami i wielu innych towarzystw, kawaler orderów mlecznych i mgławicowych, Ijon Tichy, sam ukaże się czytelnikowi w niniejszych „Dziennikach", które stawiają go w rzędzie takich nieustraszonych mężów przeszłości, jak Karol Fryderyk Hieronim Münchhausen, Paweł Masłobojnikow, Lemuel Gulliwer czy Maître Alkofrybas".[1]

Tak przedstawia Lem czytelnikowi swego bohatera w pierwszej przedmowie do „Dzienników", podpisanej imieniem innego stałego bohatera jego późniejszych utworów, prof. Tarantogi. Dla czytelnika z roku 1954 sprawa była zapewne jasna: w „Astronautach" Lem mówi rzeczy poważne – tu natomiast się b a w i. Z czasem sytuacja się odwróciła: wczesne utwory pisane w nastroju solennej powagi szybko spłowiały i przeszły do kategorii literatury młodzieżowej, w „Dziennikach" natomiast znajdujemy dziś początki nad wyraz poważnego przedsięwzięcia krytyki ludzkich władz poznawczych.

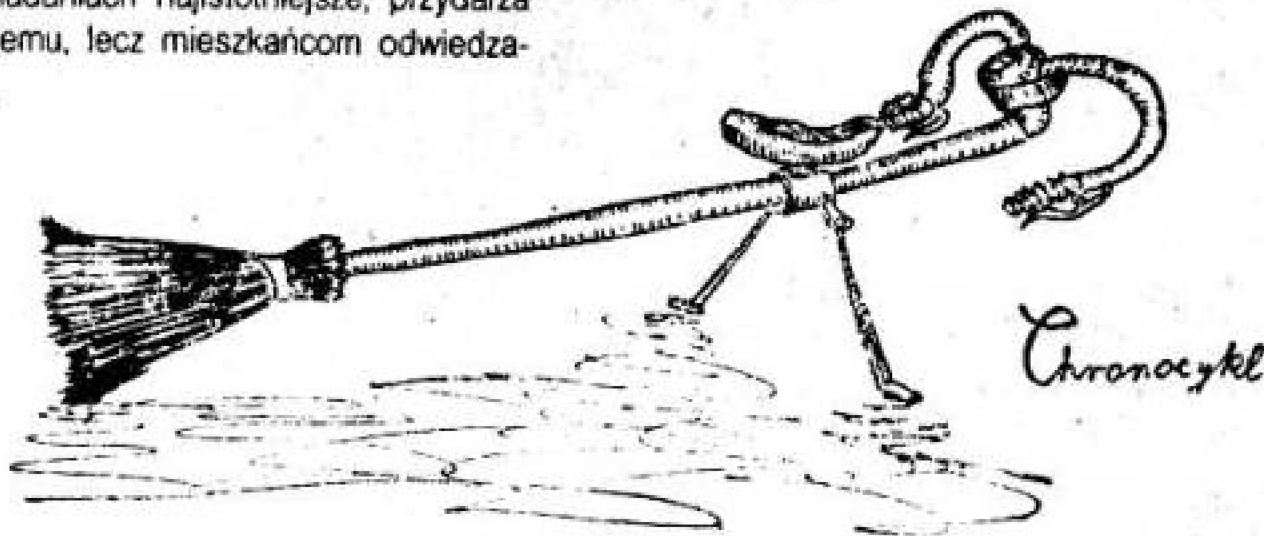
„Dzienniki" są oczywiście spiętrzeniem najróżniejszych stylizacji i parodii, do których klucze daje nam autor po części już w cytowanej przedmowie. W istocie przygody Tichego przywodzą na myśl opowieści legendarnego łgarza, barona Münchhausena. Uderza w obu niezwykła, można rzec, radosna łatwość przekraczania wszelkich fizycznych ograniczeń. Kiedy Münchhausen chce dostać się na Księżyc, sieje po prostu turecką fasolę i wspina się tam po jej pędach – w Kosmosie Tichego grasują zdziczałe kartofle, napadające przelatujące rakiety. Zarazem światy, w których podróżują obaj fantaści – przy całej swej dziwności – są jakoś tam przytulne, „oswojone": Münchhausen wspina się na Księżyc po siekierę, którą tam przypadkiem (z Ziemi) cisnął, Tichy zwiedza cały gwiazdozbiór, szukając pozostawionego na którejś z planet ulubionego scyzoryka. Bohaterom obu książek nie idzie właściwie o eksplorację świata, ale o poszukiwanie przygód – możliwie ekscentrycznych i nieprawdopodobnych. Żaden z nich nie zmienia się pod wpływem przeżytych doświadczeń[2], bo one przecież są zrelatywizowane nie wobec tego, kto przeżywa, lecz tego, kto opowiada, istnieją wtedy na jednej czasowej płaszczyźnie, „przydarzają się" jednocześnie – wtedy, gdy zbierze się audytorium gotowe wysłuchać gawędy.

Skoro więc nie chodzi o to, by sugerować komukolwiek, że mogą istnieć planety podobne do Enteropii, Pinty czy Panty, autor nie pragnie też wypróbowywać „ludzkości" Tichego w konfrontacji z dziwacznymi Bzutami czy Ardrytami, to punkt ciężkości „Dzienników" musi leżeć gdzie indziej – raczej w sferze konstrukcji prezentowanych dyskursów i światów. I tu od Lema bliżej do Swifta niż do Bürgera. „Dzienniki gwiazdowe" wykorzystują model powiastki filozoficznej o tyle, że sygnalizują pretekstowość zdarzeń i postaci, na pierwszy plan wysuwając krytykę teoretycznych koncepcji społecznego i kosmicznego ładu. To, co w opowiadaniach najistotniejsze, przydarza się nie Tichemu, lecz mieszkańcom odwiedzanych planet.

Bohater „Dzienników" niewiele ma nam od siebie do powiedzenia – i to nie tylko dlatego, że – jak każdy rasowy podróżnik – wybiera się w świat po to przede wszystkim, by d o z n a w a ć i s ł u c h a ć. Może bardziej dlatego, że Inni niezbyt się interesują tym, co mógłby im przekazać; zbyt są zapatrzeni we własne problemy, koncepcje i klasyfikacje, zapatrzeni aż do ślepoty, bo nawet świadectwo zmysłów nie potrafi zepchnąć ich z tropu rutynowych rozumowań. Jako „słuchacz" Tichy jest więc ogłuszony politycznymi mowami przedstawicieli Organizacji Planet Zjednoczonych, potem uczniowie z wizytowanej przez niego szkoły zanegują wprost jego istnienie, wierząc bardziej schematycznym dowodzeniom niż własnym oczom, misjonarz, ojciec Lacymon wyleje przed nim żale z powodu sekularyzacji Kosmosu, mieszkańcy Enteropii zaofiarują mu bogaty repertuar swych osobliwych rozrywek itd. Tichy, zwiedzając obce planety, wciągany jest z reguły dość obcesowo w jakieś miejscowe, często uciążliwe, rytuały, a w najlepszym przypadku indoktrynowany w myśl panujących tam przekonań. Chodzi tu zwykle o parodię właściwego właśnie Ziemianom partykularyzmu myślowego, podstawiania wysoce subiektywnych mniemań za prawdy ogólnie obowiązujące. Gdyby jednak idea „Dzienników" na tym się wyczerpała, ironia ich nie byłaby tak dojmująca. Tymczasem w książce tej kryją się jeszcze inne trucizny, a wyśmiana ludzka skłonność do karmienia się iluzjami objawia swe bardziej złowrogie skutki.

Nieszczęśni Indioci, Pintyjczycy i Pantyjczycy są ofiarami „racjonalnego systemu społecznego", instalowanego po to, by ich uszczęśliwić. Groteska Lema jest w przypadku Pinty po prostu satyrą polityczną, przejrzystą dla każdego, kto pamięta lata pięćdziesiąte; Indioci wpadają w pułapkę skonstruowaną z „antynomii wolności" ożenionej z maszynową logiką działania; najdziwaczniejsze, choć fascynujące, jest urządzenie Panty, której obywatele, za cenę doskonałości społecznego bytu, muszą wyrzec się jednostkowej tożsamości.[3]

Niezależnie od różnic w poszczególnych uję-



Stanisław Lem – ilustracja do „Dzienników gwiazdowych"

ciach, prawdziwym bohaterem „Dzienników gwiazdowych" jest umysł próbujący znaleźć formułę określającą rzeczywistość. I za każdym razem – czy będzie to formuła politycznej mowy, programu szkolnego czy teologicznej dysputy, odkrywamy pomiędzy nimi a światem posuniętą do groteski nieprzystawalność. Krytyka systemów myślowych chełpiących się panowaniem nad rzeczywistością staje się jednym z najważniejszych składników refleksji Lema także w następnych utworach. Tymczasem jednak ewoluują same „Dzienniki gwiazdowe".

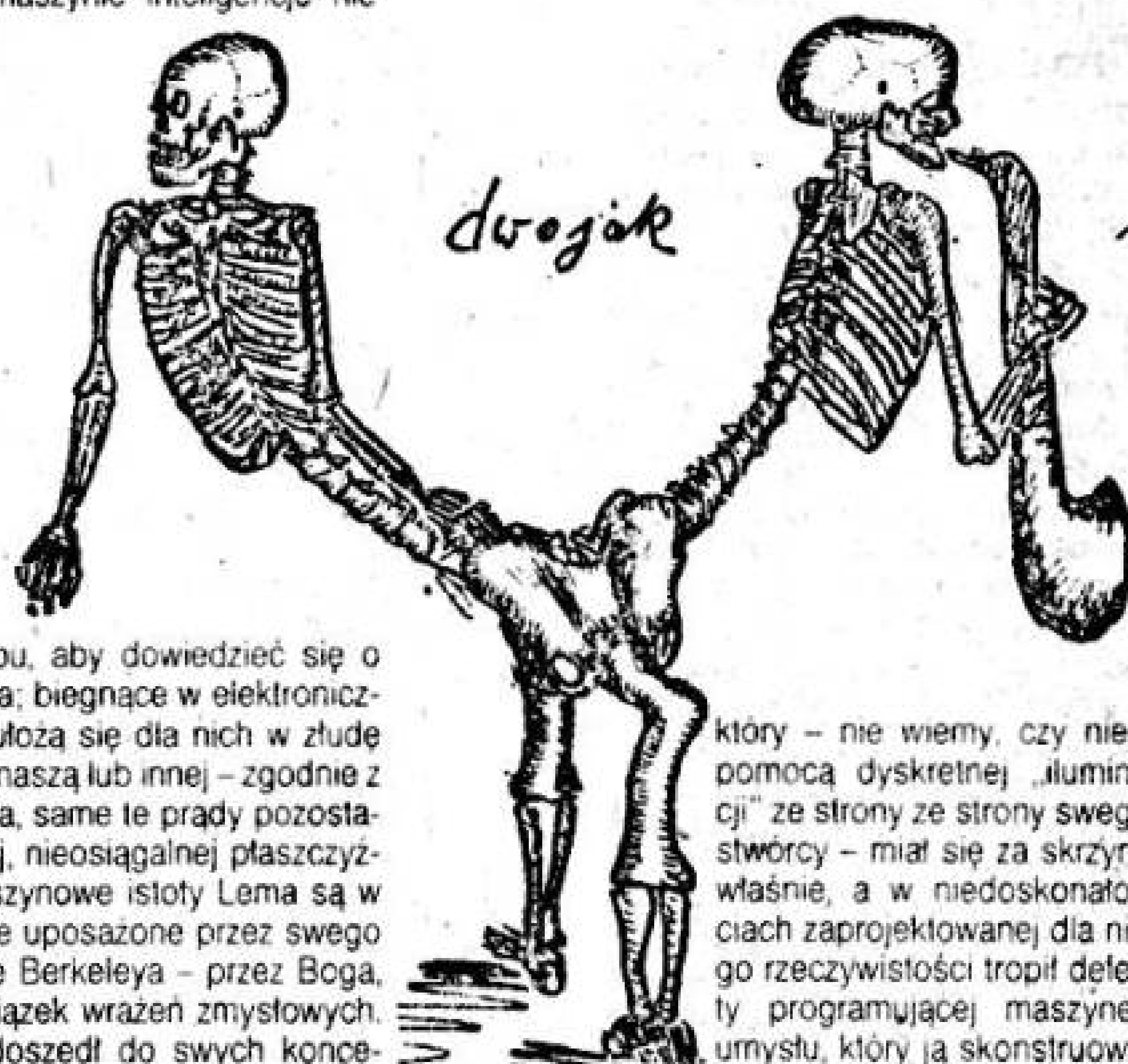
Najpierw autor dodaje do nich cykl „Wspomnień Ijona Tichego" oraz kilka osobno publikowanych opowiadań („Doktor Diagoras", „Zakład doktora Vliperdiusa", „Ratujmy Kosmos"). Ton cyklu zmienia się natychmiast: Tichy zrzuca kostium Münchhausena i staje się raczej biernym receptorem, świadkiem, powiernikiem – najczęściej zapoznanych geniuszy cybernetycznej inżynierii. Stosunkowo najbliższy wcześniejszym „Dziennikom" jest parodystyczny „apel ochroniarza" („Ratujmy Kosmos") oraz pyszna „Tragedia pralnicza", gdzie męki umysłu pragnącego ogarnąć i sklasyfikować rzeczywistość przeżywają uczeni juryści, zmuszeni reagować odpowiednimi ustawami na inwazję w życie społeczne człekokształtnych pralek. Ten temat – konfuzji prawa w obliczu nowych, nieprzewidzianych sytuacji, które trzeba ująć za pomocą jakichś kategorii – powróci w „Przekładańcu", a także w niektórych innych utworach. Ustawodawstwo – zawsze spóźnione w stosunku do rzeczywistości społecznej – bywa u Lema zwykle generatorem groteskowej śmieszności.

Ale „Tragedia pralnicza" może interesować także z innych względów: jest to taka wersja znanego z literatury „buntu robotów", w której nie maszyny myślące sprzeniewierzają się swym twórcom, ale raczej inny mechanizm działający w wielkiej skali – mechanizm mianowicie kapitalistycznej konkurencji. Usamodzielnia się on w pewnej chwili i przestaje służyć ludziom, broniąc nieograniczonej, absurdalnej produkcji. Walka na kruczki prawne staje się w tych warunkach obroną tożsamości człowieka i społeczeństwa przed niejako bezosobową, spontaniczną jak rozród bakterii inwazją sztucznych urządzeń. Poza humorystycznymi perypetiami skrywają się więc treści poważne. Kim jest bowiem prawodawca oglądany z takiej perspektywy? Parodią uczonego, który także przecie próbuje ustalić zasady, wedle których świat się porusza. Ale prawodawca chce czegoś więcej: aby rządzony jego regułami świat nie tylko funkcjonował dobrze, ale jeszcze był do tego sprawiedliwy, moralny i „humanistyczny", naśladuje więc takiego badacza, który by od atomów żądał nie tylko pragmatycznego, ale i etycznego ładu, a dynamikę rzeczywistości próbował wstrzymać, narzucając jej ludzkie, kulturowo i historycznie zdeterminowane rygory. Trudno powiedzieć, jakie cele przeświecały Lemowi, gdy bawił się perypetiami sądownictwa, o takiej perspektywie – jako pewnej interpretacyjnej możliwości – warto jednak pamiętać.

Istnieje jednak i druga, nie mniej ciekawa droga interpretacji tych utworów. Przedstawiają one bowiem z reguły kwestie natury swoiście ontologicznej. Czy Mr. Johns złożony z samych mechanicznych protez i s t n i e j e jeszcze jako ludzka osoba?[4] K i m j e s t naprawdę wyścigowy kierowca, poskładany z części ciał różnych ofiar katastrofy?[5] Czy człekokształtne, inteligentne „pralki" są jeszcze mechanizmami, czy już istotami zasługującymi na ludzkie prawa?

Spór adwokatów toczy się w atmosferze Grand Guignolu, jako zaplecze ma jednak problematykę *par excellence* filozoficzną. Prawo próbuje tu bowiem rozstrzygać, co decyduje o istocie jakiegoś obiektu: sposób funkcjonowania czy substrat materialny? – i oto mamy już wcielenie fabularne poważnych dysput z „Dialogów". Oglądane z tej perspektywy prawo nie wydaje się wcale śmieszne. Podczas gdy cybernetyka rada by przejść do porządku dziennego nad humanistycznymi przesądami, mianując człowieka „systemem" czy „automatem" i badając go jedynie jako szczególny przykład złożonego układu elementów i zachodzących między nimi relacji[6], kodeksy jurystów próbują nieśmiało ocalić subiektywny punkt widzenia gatunku *homo*, jakieś niby to „naturalne" zasady etyczne, wcześniejsze i bardziej elementarne od wszelkich paragrafów. Dlatego w ogóle możliwy jest spór adwokatów, dlatego można mówić o konflikcie ducha i litery praw ludzkich, gdy w fizyce czy chemii rozróżnienie takie pozbawione by było sensu.

W zupełnie innej tonacji utrzymane są w „Dziennikach" opowieści o zapoznanych wynalazcach. Ich głównym tematem jest problem konstrukcji sztucznych inteligencji bądź przenoszenia osobowości w maszynę. Brak tu jakichś dokładniejszych sprawozdań z czynności „inżynierskich", bo też Lema interesuje aspekt filozoficzny i etyczny takich działań. Szczególnie unerwionym punktem całego zagadnienia zdaje się być epistemologia wytwarzana przez umysły zatrzaśnięte w mechanizmach. Ich twórcy dostarczają im złudzenia fizycznej egzystencji w zmysłowo postrzeganym, choć „naprawdę" sztucznym świecie. W istocie uwięzione w maszynie inteligencje nie



Stanisław Lem – ilustracja do „Dzienników gwiazdowych"

mają żadnego sposobu, aby dowiedzieć się o naturze swego istnienia; biegnące w elektronicznej aparaturze prądy ułożą się dla nich w złudę „materii" naśladującej naszą lub inną – zgodnie z życzeniem konstruktora, same te prądy pozostaną jednak na odrębnej, nieosiągalnej płaszczyźnie ontologicznej. Maszynowe istoty Lema są w samej rzeczy podobnie uposażone przez swego konstruktora, co ludzie Berkeleya – przez Boga, dostarczającego im wiązek wrażeń zmysłowych. XVII-wieczny biskup doszedł do swych koncepcji, pisząc traktat o optyce – Lem dumał z kolei o sytuacji człowieka podłączonego stale do aparatury produkującej zmysłowe bodźce i stwarzającej doskonałe złudzenie nie istniejącej rzeczywistości („Summa technologiae"). Punkt dojścia jest tu i tam podobny: stanowi go solipsyzm, przynajmniej jako swego rodzaju filozoficzna zmora, którą trzeba odczarowywać humorem, argumenty logiczne bowiem nie bardzo się go imają. I choć Lem, rzecz jasna, solipsystą nie jest (tzn. taki jest jego światopoglądowy wybór), to jednak wizja rzeczywistości jako klatki zamykającej się wokół bohaterów jest *leitmotivem* jego pisarstwa i wietrzyć tu można u autora jakiś elementarny kompleks.

Największą czystość i precyzję wykładu zyskuje berkeleyowski dylemat w historii „skrzyń prof. Corcorana", kolekcji elektromózgów zawierających syntetyczne osobowości zanurzone w wyprodukowanym na ich użytek mirażu realnego świata. Na pozór jest to jedna z wielu cybernetycznych sztuczek, od jakich roi się literatura SF, w tym przypadku jednak wykładnia opowiadania zda się być otchłanna: Corcoran konstruuje swoje skrzynie dlatego, że s a m jest nawiedzony obsesją bycia skrzynią, którą jakiś demiurg wyższego stopnia zmajstrował i ustawił na półce swego laboratorium. Oto współczesna wersja dylematu Berkeleya! Ale dla biskupa Bóg jest rzeczywistością ostateczną i niepodzielną; relacja Stworzyciel – kreatura „przydarza się" jednorazowo. Corcoran zaś widzi świat jako h i e r a r c h i ę s k r z y ń: ostatecznie każdy z jego syntetycznych ludzi może tam, w swoim świecie wyprodukować własne skrzynie – i tak w nieskończoność. W zwierzeniach Corcorana na temat jego dziecinnych jeszcze obsesji brzmią tony znane z „Wysokiego Zamku", Lem tedy załatwia w tekście opowiadania jakąś bardzo osobistą sprawę. Jaką? Tichy „rozszyfrowuje" profesora, jego komentarz nie we wszystkim jest jednak zrozumiały:

„...możliwe jest i to, że właściciel zakurzonego laboratorium, w którym MY stoimy na półkach, sam też jest skrzynią, którą zbudował inny, wyższego jeszcze rzędu uczony, posiadacz oryginalnych i fantastycznych koncepcji... i tak w nieskończoność. Każdy z tych eksperymentatorów jest bogiem – jest stwórcą swojego świata, tych skrzyń i ich losu, i ma pod sobą swoich Adamów i swoje Ewy, a nad sobą – swojego, następnego w hierarchii wyższego Boga. I po to pan to zrobił, profesorze...".

Niejasność powstaje przy samym końcu tego wywodu: „po to"? P o c o ? W tym punkcie logika wypowiedzi zdaje się kuleć. A jednak musimy próbować przeniknąć c e l przyświecający Corcoranowi. Przecież nie o upajanie się „wszechmocą" mu chodzi! Człowiek popadający w obsesję bycia skrzynią nie ma żadnej drogi, by przebić się w świat wyższego poziomu ontologicznego, w samej istocie jego egzystencji tkwi więc ograniczenie poznawczych możliwości. Może naturalnie być „wariatem", jak ten elektromózg Corcorana, który – nie wiemy, czy nie z pomocą dyskretnej „iluminacji" ze strony swego stwórcy – miał się za skrzynię właśnie, a w niedoskonałościach zaprojektowanej dla niego rzeczywistości tropił defekty programującej maszynerii umysłu, który ją skonstruował. Taka postawa skazuje na bezowocne bicie głową w mur ontologicznej odrębności, rozdzielającej trwale oba światy. Oto wersja „sztucznej transcendencji", jaką proponował Lem w „Summa technologiae"!

Człowiekowi pozostaje więc tylko droga „w dół": zamiast prób wyłamania się ze swej kondycji – imitacja aktu stworzenia we własnym świecie. Może to paradoks, ale z wywodów Lema wynika, że aby posunąć się o krok na drodze samopoznania, trzeba stać się B o g i e m - s t w ó r c ą, powtórzyć akt kreacji. Ta kreacja przywróci nam zarazem godność, będzie bowiem związana z przyjęciem etycznej odpowiedzialności za to, co stworzyliśmy. Podobnie myślał Schulz, który potencję twórczą przyznawał „niższym bytom" i w takiej imitacji boskiego gestu poszukiwał także istoty egzystencji. Ale świat Schulza jest hierarchią skończoną: boskie kreacje są „solidne" i doskonałe, ludzkie – „tandetne", borykające się z oporem tworzywa. U Lema inaczej: hierarchia skrzyń tworzy szereg nieskończony, k a ż d y zaś demiurg jest jako istota niedoskonały, ograniczony niewiedzą, „kaleki". Stwarzanie świata nie implikuje wszechmocy i wszechwiedzy – takie jest u Lema rozwiązanie problemu teodycei. W tym systemie myślowym b ł ą d staje się zasadą świata, jądrem bytu, motorem przemian; w plan ewolucji wciska się przypadek, defekt; chaos walczy z determinizmem i teleologicznym projektem istnienia. Mnogie u Lema żarty z ludzkości jako pokracznego produktu bocznej linii rozwoju kosmicznej fauny skrywają pod humorystyczną fasadą całkiem poważne sensy. Pamiętajmy o tym przy lekturze trzech nowych „Podróży" Tichego.

Utwory te poświęcone są głównie tematowi kosmogonii i ewolucji – biologicznej oraz społecznej. Münchhausenowska fantazja i samochwalstwo wiodą tam Tichego ku swego rodzaju omnipotencji i „boskości". Tichy waży się na „ponowne stworzenie świata" i przy okazji – na naprawienie wszystkich jego defektów; raz wystrzeliwując wstecz strumienia czasu naładowany informacją o całej przyszłej ewolucji „praelektron", innym razem – kierując instytutem wprowadzającym, z pomocą podróży w czasie, korekty w his-

torię Wszechświata i ludzkości. Ale tu z kolei, w miejsce dla tych wszystkich „błędów”, które się w rozwój gatunku wkradły na skutek przypadkowych mutacji organizmów, kosmicznych katastrof itp., grać poczyna podobny splot indeterminizmu i celowości – tyle że już na poziomie społecznym: interwencje zawistnych współpracowników (Boels E. Bubb, Ast A. Roth!) wykolejają melioracyjne starania Tichego i świat pozostaje taki, jaki jest: dziwaczny, nonsensowny, obarczony błędem. W tym punkcie groteskowe „Podróże” stykają się z poważnymi „Wspomnieniami”. Tichy podejmuje trud światostwórstwa, zaczynając jednak od własnego świata, co wikła go oczywiście w paradoksy pętli czasu i uruchamia mechanizm absurdalnego dowcipu. Ustawiając obok siebie pochodzące z różnych okresów twórczości Lema odcinki „Dzienników gwiazdowych”, możemy teraz dostrzec ich temat wspólny: jest nim mianowicie uroszczenie intelektu. Umysł wytwarza ciągle miraże „doskonałego porządku” rzeczywistości, bez ustanku pragnie poprawić to, co istnieje, interpretować po swojemu, dociągać świat do projekcji własnego ideału. Próby takie kończą się w pierwszych „Podróżach” groteskowym fiaskiem, we „Wspomnieniach” oscylują na pograniczu dewiacji psychicznej i zbrodni, wreszcie w obszernej, będącej w pewnym sensie zwornikiem całego cyklu „Podróży dwudziestej pierwszej” wiedza zostanie nazwana wprost pierwiastkiem szatańskim Bytu.

Trzeba to właściwie zrozumieć: Lem przecież nie jest irracjonalistą – wprost przeciwnie! Ale rozum, jego zdaniem – jeśli ma służyć jakimś społecznie żyjącym istotom – potrzebuje koniecznie oparcia w swego rodzaju Archimedesowym punkcie, który już nie jest rozumnej natury – inaczej staje się taką dźwignią, co wprawdzie wszystko podnieść może, ale działa w przestrzeni bezkierunkowej, nie zorientowanej podług żadnego układu współrzędnych, gdzie żadne „konstruktywne” osiągnięcia nie dają się uzyskać i zmierzyć – pozostaje tylko żonglerka masami w próżni. Takim punktem oparcia może być dla rozumu „ludzkość” – jako zbiór wyróżników charakteryzujących mieszkańców Ziemi, ograniczających trwale lub przejściowo ich możliwości. To właśnie gatunkowa, warunkowana biologią i kulturą, kondycja określa przestrzeń rozciągającą się pomiędzy ludzkimi marzeniami a dopuszczalną ich realizacją. Ten dystans, który – zawsze bezskutecznie – próbuje pokonać człowiek, chroni go jednocześnie przed utratą tożsamości i rozpłynięciem się w „nieludzkości” spełnionych życzeń. Specyfikę gatunku homo wyznacza więc z jednej strony to, czego dokonać nie potrafi, z drugiej – to, czego mu czynić nie wolno, bo tak stanowi kulturowy zakaz. Wszystkie próby wyskoczenia poza te ograniczające człowieka prawidła w przestrzeń, gdzie jeno „czysty rozum” hula; bardzo smutno się kończą. Przykładem – dzieje planety Dychtonii, streszczone w „Podróży dwudziestej pierwszej”.

Na przykładzie Dychtonii rozważa się konsekwencje (filozoficzne i cywilizacyjne) technologicznej omnipotencji. Zyskawszy absolutną swobodę kształtowania świata, a co więcej – własnego ciała i umysłu, mieszkańcy Dychtonii popadają w najsroższą „niewolę wolności”. Szaleństwom Dychtończyków przyglądają się z rodzajem fatalistycznej rezygnacji członkowie nielegalnego zgromadzenia zakonnego, którymi są na planecie wyrzucone na śmietnik cywilizacji inteligentne roboty. Mówi jeden z nich:

„Społeczność taka wygląda z góry jak rojowisko owadów na rozpalonej płycie. Z dala wygląda jej męka jak farsa, bo śmieszą skoki z mądrości w otępienie i owoce rozumu używane po to, by można grać na brzuchu jak na bębnie, biec na stu nogach lub wyściełać mózgiem ściany. Gdy ukochaną istotę można zdublować, nie ma już ukochanych istot, lecz urągowisko miłości, a kiedy można być każdym i żywić dowolne przekonania, nie jest się już nikim i nie ma się żadnych przekonań”.[8]

Zaiste, wygląda na to, że wszechmoc jest najmniej godnym pożądania podarkiem, jakim można obdarzyć cywilizację, i jednym z najbardziej nieludzkich atrybutów Boga. I właśnie wiarą w Boga zakonnicy z Dychtonii leczą rany duszy, wywołane flirtem z omnipotencją. Rzecz ciekawa: właśnie ta wiara, która jest dobrowolnym ograniczeniem sobie sfery wszechmożliwości, przywraca mnichom godność. Ten filozoficzny *acte gratuit* jest w rzeczywistości gestem odrzucenia wszechmocy – Bogu na powrót. On sam zaś jawi się raz jeszcze u Lema jako postać kaleka, obarczona brzmieniem ponad siły.

„*Wiara* – mówi O. Memnar – *jest jedyną rzeczą, której nie można odebrać świadomemu istnieniu dopóty, dopóki ono świadomie w niej trwa. (...) Jest ona (...) zupełnie naga, ta wiara nasza, i zupełnie bezbronna. Nie żywimy żadnych nadziei, nie domagamy się niczego, nie prosimy o nic, na nic nie liczymy, lecz wierzymy po prostu*”.[9]

Punkt oparcia, jaki sobie zafundował zakonnicy, jest więc czystym aktem wyboru zawieszonym w próżni pozbawionej „racjonalnych uzasadnień”. Uroszczenie intelektu, który jawi się w końcu jako siła destrukcyjna, doprowadzone w „Podróży dwudziestej pierwszej” do ekstremum, gra także węzłową rolę w kolejnych, publikowanych osobno ogniwach cyklu przygód Tichego. W „Kongresie futurologicznym” uroszczeniem takim staje się właśnie futurologia – jako wiara w możliwość naukowego przewidywania przyszłości cywilizacyjnej. Lem proponuje tam ironicznie świat, w którym spełniły się jednocześnie dwie skrajne prognozy: ta najbardziej optymistyczna i najgłębiej pesymistyczna. Technologiczny raj przyszłości okazuje się pod koniec opowieści farmakologicznie wywołaną złudą. Ocknąwszy się z halucynacji, Tichy może obserwować wielomiliardową ludzkość XX wieku bytującą w nieopisanej nędzy. Przyglądając się bliżej ujrzymy i tu pewną wersję „światostwórstwa” i „dylematu skrzyni”: czym jest bowiem, można spytać, „rzeczywistość” dla ludzi, nad których sensorium trwale zapanuje chemia? W jakimś sensie każdy mieszkaniec takiej Utopii/Antyutopii staje się „skrzynią Corcorana”, a dysponent halucynogenów awansuje do roli – znów kalekiego i dwuznacznego moralnie – Boga-kreatora.

W „Profesorze A. Dońdzie” płody umysłu traktuje się już z taką nonszalancją, że tracą one wszelką hierarchię: teoria Einsteina i gazetowa kronika wypadków są tam „w sensie fizycznym” tyle samo warte. Nagromadzona przez cywilizację byle jaka informacja, po przekroczeniu „masy krytycznej”, anihiluje i z jej eksplozji powstaje mały, nieprzenikliwy „Kosmosek”. Raz więc jeszcze kreacja okazuje się owocem błędu, przypadku, dziwacznej fluktuacji w środowisku informacyjnego śmiecia. Sam zresztą profesor i jego groteskowo-komiczne dzieje stanowią najlepszą ilustrację tych reguł.

Przygody Ijona Tichego trwają nadal. Po omówionych wyżej utworach Lem wydał jeszcze „Wizję lokalną” – fascynującą książkę o perspektywach cywilizacji, której omówienie przekraczałoby ramy niniejszego szkicu, a niedawno ukończył kolejną pozycję z tego cyklu, mówiącą – najogólniej biorąc – o nieoczekiwanych skutkach wyścigu zbrojeń. „Dzienniki gwiazdowe” i ich kontynuacje dają nam skrót ewolucji filozoficznych poglądów Lema na przestrzeni trzydziestu lat. Obserwować możemy, jak kolejno demontuje autor z jednej strony: przeświadczenie o istnieniu „dziejowego rozumu”, o Bogu jako Najwyższej Mądrości i Dobroci; z drugiej – mniemanie, jakoby stopniowo, drogą racjonalnej, intelektualnej refleksji nad światem można było dotrzeć do jego – świata – istoty, zasady funkcjonowania, tak jakby on był budzikiem, który – po rozłożeniu na poszczególne kółka – nie tylko odkryje przed nami swoją niezmienną, konstrukcyjną zasadę, ale też da się „naprawić”, tzn. przystosowywać do życzeń ludzkich.

„Dzienniki” kończą się na ruinach światopoglądu pozytywistycznego. Kult faktów i poznawczy kumulatywizm osadza nas w końcu na kupie informacyjnego śmiecia; „społeczeństwo-organizm” udręcza jednostki, a prawdziwą doskonałość osiąga dopiero przerobiwszy swych obywateli na gładkie i niekonfliktowe krążki; na koniec światopogląd naukowy i stateczny minimalizm jak na urągowisko wiodą prosto do solipsyzmu. Te wszystkie perypetie doktryna pozytywistyczna miała już w siebie wpisane pod koniec XIX wieku.

Drugim obok pozytywizmu systemem filozoficznym, który u Lema bierze się na męki, jest heglizm – wraz z przeświadczeniem o prymacie myśli nad światem rzeczy i państwa – nad jednostką. Nietrudno się domyślić, czym zawiniły obie doktryny: w latach literackiej młodości Lema posługiwano się nieraz uproszczoną wersją marksizmu, która w samej rzeczy jest swego rodzaju filozoficznym *Volapükiem*, złożonym z fragmentów XIX-wiecznych systemów. Heglizm wśród nich bryluje, bo najlepiej uzasadnia dominację władzy nad jednostką i sprzeczność „dziejowych praw rozwoju” z codziennym doświadczeniem indywidualnym. Pozytywizm z kolei odgrzewa się jako główną w Polsce postępową tradycję literacką, wpływa on też niestety na potoczną wersję filozofii nauki. Wpływ tych doktryn – wraz z nieodłącznymi przesiąkniętymi naiwnym optymizmem wizjami postępu – znać wyraźnie na pierwszych powieściach Lema. Pisarz potem przez długie lata i z widoczną pasją od tych poglądów się uwalniał.

Drwina z uroszczeń rozumu konstruującego „wzór na Wszechświat” nie dziwi u miłośnika Schopenhauera. To ten ostatni przecież formułował – w sporze z Heglem – filozofię radykalnego empiryzmu, wywodził zatem myśl z doświadczenia i kpił z przepajającej rzekomo świat „idei absolutnej”, tropiąc w nim błąd, zło, niedoskonałość. Nie zadowalał go także obraz Kosmosu w ujęciu religii żydowskiej i chrześcijańskiej; *„przeciwko takiemu ujęciu świata jako udanego dzieła istoty przemądrej, arcydobrej, a zarazem wszechmocnej przemawia zbyt silnie z jednej strony zło, którego na nim pełno, a z drugiej zaś, oczywista niedoskonałość i wręcz karykaturalność najdoskonalszego z jej stworzeń – ludzi”* – powiada filozof[10], a nam przypomina to do złudzenia tyrady bohaterów Lema.

Schopenhauerowski pesymizm, wymierzony niegdyś przeciwko Leibnizowskiej czy Heglowskiej wierze w racjonalny charakter Wszechświata, powraca teraz jako oręż z jednej strony przeciw pewnym z gruntu irracjonalnym przeświadczeniom, leżącym u podłoża marksizmu w jego wersji z lat pięćdziesiątych, z drugiej – przeciw utopii technokratycznej lub scjentycznej. Rzecz jasna, tymczasem sporo się zmieniło w naukowym „uzbrojeniu” pesymistycznej doktryny: czynnik woluntarystyczny, który u Schopenhauera warunkuje defekty bytu, u Lema zmienia się w losowość, luzy determinizmu, będące furtką, przez którą ślepy traf wkracza w porządek wszechrzeczy. Dziewiętnastowieczny filozof zło traktuje jako składnik immanentny bytu, u Lema ono się może pojawić niespodzianie jako wynik serii zdarzeń nie dających się przewidzieć. Człowiek Schopenhauera powstrzymuje się więc od działania wiedząc, że ono i tak się przeciw niemu obróci – człowiek Lema uwikłany jest w heroiczną aktywność, o której nie wie z góry, czy przyniesie mu sukces, czy zgubę.

Jerzy Jarzębski

Przypisy

1. S. Lem, „Dzienniki gwiazdowe Ijona Tichego”, (w:) Sezam, Warszawa 1955, s. 201.
2. Dopiero w zakończeniu napisanej stosunkowo późno i wyraźnie odmiennej w tonie „Podróży dwudziestej pierwszej” powiada Tichy o swym odlocie z Dychtonii: *„ruszyłem w drogę powrotną, czując się innym człowiekiem niż ten, który nie tak dawno temu przecież na niej wylądował”.* (S. Lem, „Dzienniki gwiazdowe”, Warszawa 1971, s. 242).
3. Sam autor pomysł ten zestawia z sytuacją wyjściową „Loterii babilońskiej” J. L. Borgesa (por.: S. Lem, „Fantastyka i futurologia”, t. 2, Kraków 1970, s. 286–287).
4. S. Lem, „Czy pan istnieje, Mr. Johns?”, (w:) „Dzienniki gwiazdowe”, Warszawa 1957 r. Uwaga: poszczególne wydania „Dzienników gwiazdowych” znacznie się między sobą różnią, co uniemożliwia odwoływanie się do jednego spośród nich.
5. Por.: S. Lem, „Przekładaniec”, (w:) „Bezsenność”, Kraków 1971.
6. Por.: np. M. Mazur, „Cybernetyka i charakter”, Warszawa 1976.
7. S. Lem, „Dzienniki gwiazdowe”, Warszawa 1971, s. 330.
8. Tamże, s. 224.
9. Tamże, s. 213.
10. A. Schopenhauer, „Parerga und Paralipomena”, t. II, R. XII „Nachträge zur Lehre vom Leiden der Welt”, (cytuję wg:) J. Garewicz, „Schopenhauer”, Warszawa 1970, s. 183.

1970 (dokończenie)

Futurologia (F):

751. LICKLIDER J. C. R.: *Biblioteki przyszłości.* Tłum. [z ang.] Andrzej Składanek i Ewa Stolarska. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 16° ss. 252. 1500 egz.
752. *O PODSTAWACH prognozowania.* Aut.: Kazimierz Secomski [i in.]. Red. Włodzimierz Wesołowski. Wrocław. Ossolineum. 8° ss. 134, 1000 egz. – Wyd. Komitet Badań i Prognoz „Polska 2000" PAN, T.I.
753. *PERSPEKTYWICZNY model konsumpcji.* Aut.: Józef Pajestka [i in.]. Red. Włodzimierz Wesołowski. Wrocław. Ossolineum. 8° ss. 343, nlb. 1. 1000 egz. – Wyd. Komitet Badań i Prognoz „Polska 2000" PAN, T.II.
754. ROWIŃSKI Aleksander: *Podróże prosto przed siebie.* Warszawa. Państw. Zakł. Wyd. Szk. 8° ss. 163, nlb. 1. 20 000 egz. – Biblioteka Geograficzna „Znaszli ten kraj?"

1971

SF dla dorosłych (ASF):

755. BERDNYK Oles': *Puchar Amrity.* Powieść fantastyczna. Tłum. z ukr. Adam Galis. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 239, nlb. 2. 3000 egz.
756. BRADBURY Ray: *Kroniki marsjańskie.* Tłum. [z ang.] Adam Kaska. Warszawa. Iskry. 16° ss. 281, nlb. 2. 20 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
ČAPEK K.: *Fabryka...* – zob. Utopia.
757. FIAŁKOWSKI Konrad: *Poprzez piąty wymiar.* Wyd. II. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 202, nlb. 2. 20 000 egz.
758. GÓRECKI Zbysław: *Delta powraca na Ziemię.* Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 129, nlb. 2. 10 000 egz.
759. KOREYWO Marek: *Ludzie na Księżycu.* Warszawa. Lud. Spółdz. Wyd. 16° ss. 257, nlb. 3, bibliogr. 5 000 egz.
KOREYWO M.: *Ludzie z planety...* – zob. CJSF.
760. *Kroki w nieznane.* Almanach fantastyczno-naukowy. T.II. Aut.: Janusz A[ndrzej] Zajdel [i in.]. Red. Lech Jęczmyk. Warszawa. Iskry. 16° ss. 389, nlb. 3. 20 000 egz. – Zawiera również: *Fakty, hipotezy, zagadki.* (MS).
761. LEM Stanisław: *Bezsenność.* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 313, nlb. 3. 30 000 egz. – Zawiera: *Ze wspomnień Ijona Tichego. Kongres futurologiczny. – Non servian. – Ananke. – Przekładaniec. – Kobyszczę.*
762. LEM Stanisław: *Doskonała próżnia.* Przedmowa wydawcy. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 238, nlb. 2. 20 000 egz.
763. LEM Stanisław: *Dzienniki gwiazdowe.* Rysunki autora. Wyd. IV zm. i rozsz. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 429, nlb. 3. 30 000 egz. – Zawiera: *Wstęp. – Wstęp do poszerzonego wydania. – Z DZIENNIKÓW GWIAZDOWYCH IJONA TICHEGO: Podróże, VII, VIII, XI, XII, XIII, XIV, XVIII, XX, XXI, XXII, XXIII, XXIV, XXV, XXVIII. – ZE WSPOMNIEŃ IJONA TICHEGO: I, II, III, IV, V, (tragedia pralnicza). – Zakład doktora Vliperdiusa. – Doktor Diagoras. – Ratujmy kosmos (List otwarty Ijona Tichego).*
764. LEM Stanisław: *Eden.* Wyd. III. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 255, nlb. 1. 20 000 egz.
765. LEM Stanisław: *Pamiętnik znaleziony w wannie.* Wyd. II. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 199, nlb. 1. 20 000 egz. – ASF/Utopia.
LEWIS C. S.: *Perelandra.* – zob. AF.
766. MERLE Robert: *Zwierzę obdarzone rozumem.* Tłum. [z franc.] Jerzy Pański. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 681, nlb. 2. 20 000 ezg. – Nike.
OPOWIADANIA pisarzy angielskich... – zob. W.
767. PETECKI Bohdan: *W połowie drogi.* Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 244, nlb. 3. 70 000 ezg. – seria z jamnikiem.
768. STRUGACKI [J] Arkadij, STRUGACKI [J] Borys [właśc. Boris]: *Przenicowany świat.* Tłum. [z ros.] Tadeusz Gosk. Warszawa. Iskry. 16° ss. 350, nlb. 1. 30 000 ezg. – Fantastyka, Przygoda.
769. VONNEGUT Kurt jr.: *Kocia kołyska.* Tłum. [z ang.] Lech Jęczmyk. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 206, nlb. 2. 20 000 egz. – Klub Interesującej Książki. – ASF/Utopia.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

770. KOREYWO Marek: *Ludzie z planety Ziemia.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 191, nlb. 1. 20 000 egz. – CJSF/ASF.
771. [MIRĔR Alëksandr]: *Błękitny wieloryb.* Tłum. [z ros.] Marta Okołów-Podhorska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 287, nlb. 1. 30 000 ezg. – Klub Siedmiu Przygód.
[NĔKRASOV A.]: *Przygody...* – zob. Utopia.
772. TWAROGOWSKI Tadeusz: *W krainie Srebrnego Hariki.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 215, nlb. 4 10 000 ezg.
773. VAUTHIER Maurice: *Planeta Kalgar.* Tłum. [z franc.] Olga Nowakowska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 126, nlb. 2. 30 000 egz.
774. VERNE [Jules]: [Dwadzieścia tysięcy] *20 000 mil podmorskiej żeglugi.* Tłum. [z franc.] Bolesław Kielski. Wstęp i koment. Zdzisław Ryłko. Wyd. VII powoj. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 414, nlb. 2. 40 000 egz. – Na k.tyt. imię aut.: Juliusz.
775. VERNE [Jules]: *Napowietrzna wioska.* Tłum. [z franc.] Olga Nowakowska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 197, nlb. 3. 30 000 ezg. – na k.tyt. imię aut.: Juliusz.

Utopia (U):

776. AFANASJEW Jerzy: *Mam w nosie lorda, proszę pana!* Łódź. Wyd. Łódzkie. 16° ss. 261, nlb. 3. 20 000 egz. – Utopia/AF.
777. ČAPEK Karel: *Fabryka absolutu.* Tłum. z czes. Paweł Hulka-Laskowski. Wstęp Edwarda Madany. Wyd. II [w metryczce mylnie I]. Katowice. Wyd. Śląsk. 8° ss. 188, nlb. 4, tabl. 4. 10 000 egz. – Biblioteka Pisarzy Czeskich i Słowackich. – Utopia/ASF.
778. FLISAK Jerzy: *Krasnoludki są na świecie...*Warszawa. Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne. 16 podł. knlb. 70. 10 000 egz. – Album rysunków satyrycznych o tematyce fantastycznej.
779. HESSE Hermann: *Gra szklanych paciorków. Próba opisu życia magistra ludi Józefa Knechta wraz z jego spuścizną pisarską.* Tłum. [z niem.] Maria Kurecka. Poznań. Wyd. Poznańskie. 8° ss. 566, nlb. 4. 10 000 egz.
780. [ISKANDĔR Fazil']: *Półkozic.* Tłum. [z ros.] Jerzy Pomianowski. Warszawa. Iskry. 16° ss. 205, nlb. 3. 4 000 egz. – Na k.tyt.aut.: Fazil Iskander.

cdn.
Przygotował Jacek Izworski

Technika i fantastyka

Fantastyka wkracza do nauki języków obcych. Ukazała się oto dwutomowa książka „Technika i fantazja" napisana z myślą o tych, którzy chcą udoskonalić swój angielski (głównie w zakresie słownictwa technicznego) czytając zabawne opowiastki science fiction. Teksty pierwszej części są raczej krótkie (przeważnie nie zajmują nawet jednej strony), uzupełniane zwrotami (tłumaczonymi na polski) ilustrującymi materiał gramatyczny, a także ćwiczeniami, których rozwiązania podane są na końcu książki. Szczególną uwagę zwrócono na używanie właściwych form czasowników, co stanowi największą trudność dla Słowian uczących się angielskiego.

Część druga zawiera teksty, które są już dłuższe (3–4 strony) i również uzupełnione ćwiczeniami. Do obu części zostały dołączone obszerne słowniki trudniejszych wyrażeń i zwrotów. Jednak podane w książce słownictwo jest tylko częściowo techniczne, natomiast styl jest kolokwialny z użyciem wielu wyrażeń idiomatycznych. O ile wiem, jest to pierwsza tego typu pozycja opublikowana w Polsce i chociażby z tego powodu zasługuje na uwagę. Jako naukowiec muszę często zmagać się z tekstami technicznymi w obcych językach i wiem, jak trudno je opanować (a przypuszczalnie również nauczyć), tak iż z zadowoleniem witam każdy podręcznik, który może mi w tym pomóc.

Uatrakcyjnienie omawianej książki humorystycznymi i fantastycznymi opowiastkami jest rzeczywiście bardzo dobrym pomysłem. Jak zauważa sam autor, humor „Techniki i fantazji" jest czasem groteskowy, ale może też być subtelny, jak w wyrażeniu *to be awarded the Order of the Cuckoo's Nest* (przyznać Order Kukułczego Gniazda) bądź w kilku anegdotach politycznych. Jedno z opowiadań, które mnie naprawdę rozśmieszyło, to „A Screw Loose".

Miłośnicy opowiadań fantastycznych i science fiction mogą być nieco rozczarowani, ponieważ cytowane teksty są raczej wprawką w tym gatunku literackim. Autor zamieścił najwięcej opowiadań w stylu „retrofantastyki". Ale trzeba przyznać, że te proste historyjki są całkiem dobrze napisane i pomagają czytelnikowi w zrozumieniu następstwa czasów. Będąc pierwszym tego rodzaju podręcznikiem książka zawiera, niestety, pewne błędy, na które chciałbym zwrócić uwagę. W kilku przypadkach autor używa rodzajników, kiedy nie powinno ich być i vice versa (np. *in the outer space* zamiast *in outer space*), pewne wyrażenia są błędne (np. *to look at TV* zamiast *to watch TV; the butler was bound* zamiast... *was tied*). Takich błędów nie jest wiele, lecz native speaker rozpozna je natychmiast. Gwoli sprawiedliwości należy podkreślić, że wyrażenia idiomatyczne są typowo brytyjskie (nie amerykańskie) i użyte są w opowiadaniach w całkowicie naturalny sposób.

Druga uwaga dotyczy słownictwa technicznego, które jest dość ubogie. Być może autor unikał zbytniego „stechnicyzowania" tekstów, ale w takim razie wydaje się, iż tytuł nie jest adekwatny do treści. Co więcej, niektóre wyrażenia techniczne nie są poprawne (np. *gravitation constant* zamiast *gravitational constant, high tension* zamiast *high voltage, building engineer* zamiast *construction engineer*).

Mimo tych wszystkich zastrzeżeń, do pomysłu autora należy odnieść się z uznaniem, a miłośnikom fantastyki i science fiction zalecić naukę angielskiego z tej właśnie książki.

Emmanuel Davoust

Jerzy Godziszewski: *Technika i fantazja. Język angielski dla zaawansowanych.* Wydanie 2. Wiedza Powszechna, Warszawa 1984. Cena 210 zł.

Zimy w stanie Minnesota (USA) bywają ostre. Grudniowa noc, w czasie której Jean Hillard jechała stanową autostradą, była niezwykle mroźna, zaś szosa oblodzona. Kiedy zbyt szybko jadący samochód wpadł w poślizg, Jean gwałtownie nacisnęła hamulce; razultat był oczywisty: parokrotne koziołkowanie i lądowanie dachem na ziemi. Pasy uratowały dziewczynę, kiedy jednak wydostała się z rozbitego auta, poczuła potworne zimno – była w sukience i lekkim sweterku, wracała z zabawy, no a samochód miał przecież doskonałe ogrzewanie... Nad ranem znaleziono coś, co przedtem było młodą dziewczyną – sztywny kloc o twardości kamienia. Musiano ją nieść w rękawicach, ręce przymarzały do tej bryły lodu. Złożono ją w kostnicy miejscowego szpitala; jakikolwiek ratunek był niemożliwy, ciało musiało tylko odtajać. Wieczorem tego dnia pielęgniarze, którzy wnosili zmarłego, wypadli z kostnicy, pobledli: odtajałe już ciało Jean lekko poruszało się, trup oddychał!

Z tamtej strony lustra

Zabójcze zimno?

Maciej Iłowiecki

Postawiono szpital na nogi, dziewczynę umieszczono w specjalnej komorze, w której temperatura powoli się podnosiła. Zastosowano różne zabiegi, środki wzmacniające. W kilka dni później zupełnie zdrowa Jean wróciła do rodziców. Zawiadomieni wcześniej o jej śmierci, nie mogli w to uwierzyć.

Nie tylko rodzicom Jean trudno było uwierzyć w tę historię. Chociaż opisano ją potem we wszystkich niemal gazetach Stanów Zjednoczonych, samą zaś Jean obwożono po różnych klinikach i pokazywano w telewizji, świat nauki pozostał sceptyczny. Ożywienie człowieka po całkowitym zamarznięciu („na kamień") jest z punktu widzenia nauki niemożliwe – oświadczyli specjaliści, coś takiego zdarza się na przykład z płazami (zlodowaciałe żaby można ożywić), ewentualnie z gadami (głośne było kiedyś ożywienie syberyjskiej jaszczurki, przetrwałej w wiecznej zmarzlinie ponad 100 lat!). Organizm człowieka zostałby jednak w takich warunkach zniszczony, bo tworzące się w płynach ustrojowych kryształki lodu uszkodziłyby tkanki i komórki. Prawdopodobnie więc – orzekli znawcy – w prowincjonalnym szpitalu niedokładnie zbadano dziewczynę, mogła być tylko przemarznięta, ale nigdy zamarznięta w bryłę lodu!

Opisana historia zdarzyła się w grudniu 1980 r. Jean Hillard cieszy się dobrym zdrowiem do dziś, zaś personel szpitala, do którego wtedy przyniesiono dziewczynę, upiera się, iż na pewno jej ciało miało twardość kamienia, skóra była całkowicie biała, lekarze po obejrzeniu Jean nie mieli najmniejszych wątpliwości – musiała być martwa. Zresztą temperatura tej nocy w Minnesocie, stanie północnym, graniczącym z Kanadą, spadła poniżej minus 30°C. Człowiek w lekkim ubraniu, leżący bez przytomności przez kilka godzin na śniegu, nie mógł przeżyć czegoś takiego!

Jakkolwiek oceniać historię Jean Hillard, pewne jest właśnie to jedno: dziewczyna przeżyła warunki, jakich człowiek przeżyć nie może. Być może nie są znane wszystkie okoliczności tego wypadku i ustępując sceptykom uznajmy, iż jest sporny. Wszakże ten właśnie wypadek zwrócił uwagę lekarzy na inne wiarygodne opisy tzw. przypadkowej hipotermii (tak to się w medycynie nazywa) i w ogóle uczulił ich na tego rodzaju wypadki. Zaczęto je pilnie śledzić i okazało się, że istnieje co najmniej kilkanaście wiarygodnie udokumentowanych przypadków odratowania ludzi zamarzniętych lub więcej jeszcze: zamarzniętych i utopionych...

Zanim o tych przypadkach, jeszcze kilka słów o działaniu skrajnych temperatur na ludzi. Otóż bodźce zimna i ciepła odbierane są przez odrębne receptory. Receptory te odpowiednim sygnałem elektrycznym „zawiadamiają" poprzez nerwy ośrodki regulacji temperatury (w rdzeniu i w podwzgórzu mózgu). Istnieją odrębne ośrodki „utraty ciepła" i „zachowania ciepła", a także tajemniczy, nie rozpoznany dotąd centralny ośrodek (mechanizm?) „nastawienia temperatury", jakby wzór, punkt odniesienia (po angielsku: „set point").

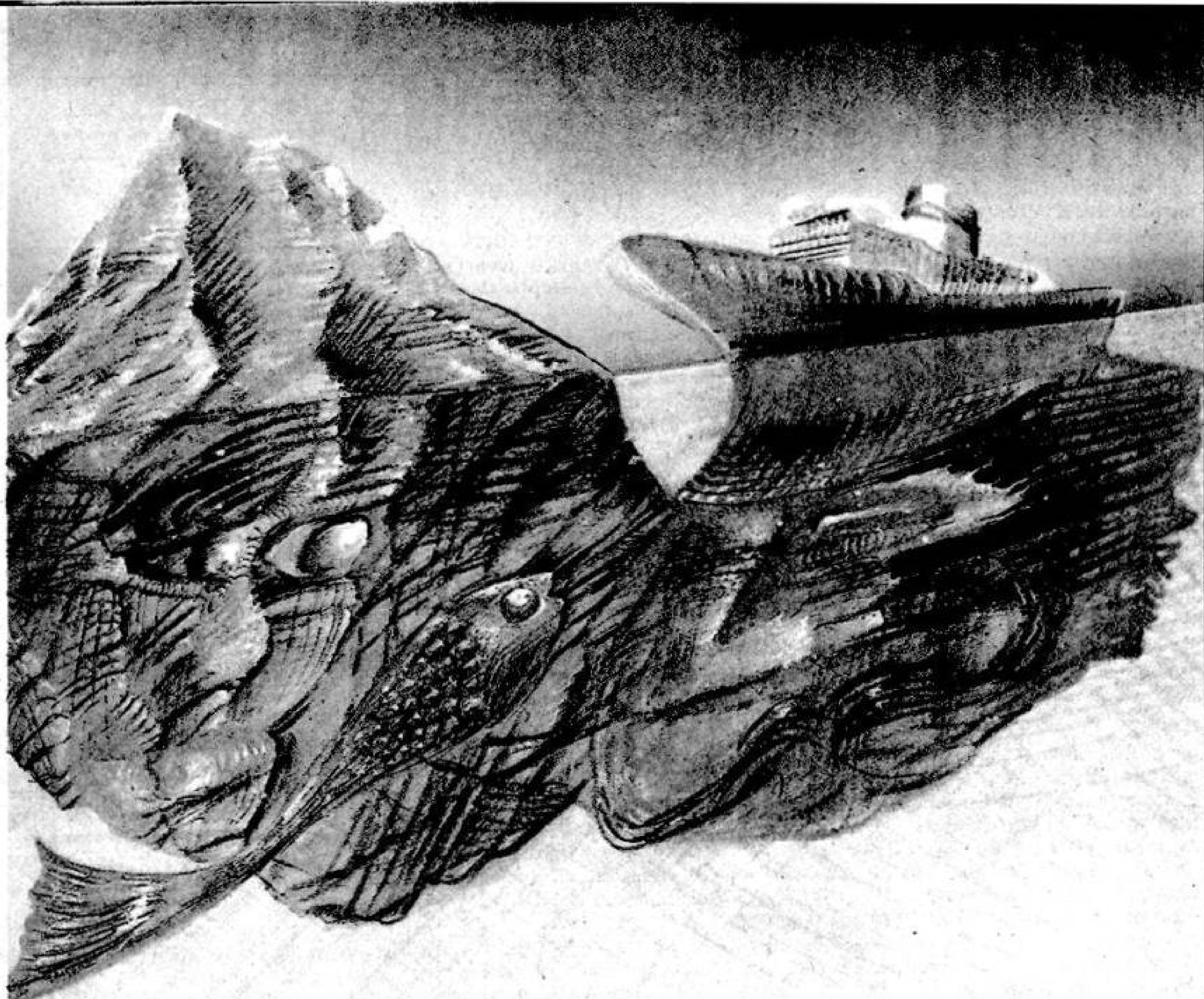
Ośrodki nerwowe poprzez układ hormonalny regulują odpowiednio przemianę materii, tak aby procesy tej przemiany zwiększały lub zmniejszały produkcję ciepła. Niezależnie od tego, uruchomione zostają gruczoły potowe (jeśli jest zbyt gorąco) oraz „zawiadamiane" naczynia krwionośne, które się rozszerzają (przy nadmiarze ciepła; wówczas zwiększa się przepływ krwi i zatem wypromieniowywanie ciepła) albo zwężają (w zimnie; wtedy zmniejsza się oddawanie ciepła). Naturalnie, istnieją jeszcze inne mechanizmy ochronne (np. mięśniowe), zaś różne gatunki zwierząt mają swoje własne, swoiste przystosowania do zimna lub ciepła. Są to niekiedy przystosowania niezwykłe, ale o tym innym razem (chociaż nie mogę powstrzymać się od przytoczenia jednego przypadku: oto włos futra białych niedźwiedzi polarnych jest cieniutką, pustą wewnątrz rurką, pełniącą rolę światłowodu, który doprowadza do ciała niedźwiedzia ultrafiołkowe promienie słońca; jest to – z pewnych względów niezwykła – „pułapka na ultrafiolet", powodująca niesłychane zwiększenie pochłaniania ciepła słonecznego; futro białego niedźwiedzia nie tylko więc chroni przed utratą ciepła – jeszcze aktywnie je pochłania z otoczenia!).

W każdym razie żywy organizm dzięki systemowi termoregulacji może utrzymać względnie stałą temperaturę ciała, niezależnie od wahań temperatury otoczenia. Zakres temperatur, w których dobrze się czuje człowiek, jest niewielki (nazywa się to strefą cieplnego komfortu), ale ludzie radzą sobie z zimnem i ciepłem innymi sposobami. W każdym razie ustalono, że człowiek bez ubrania, niczym nie okryty i spokojnie leżący, najlepiej czuje się w temp. od +28° do +32°C (w ubraniu: od +21° do +26°C) – jest to właśnie ludzka strefa komfortu cieplnego (naturalnie, są to dane średnie, wszystko zależy od wieku, stanu zdrowia, przyzwyczajenia do klimatu, uwarunkowań genetycznych itd.).

Ale przez krótki czas ludzie potrafią bez szkody znieść bardzo skrajne temperatury, zależy to zresztą też od stanu organizmu, zwłaszcza od różnych warunków dodatkowych np. wilgotności powietrza, jego ruchu (wiatr). Chodzi o to, by nie zostały przekroczone tzw. krytyczne temperatury wnętrza ciała. Granicą dolną we wnętrzu organizmu jest ok. +30°C (różni autorzy oceniają to zresztą różnie, ale poniżej +30° występuje zwykle tzw. narkoza hipotermiczna, groźna już dla zdrowia i życia), granicą górną +44°C (wówczas mogą „nie wytrzymać" białka wewnątrzkomórkowe). Granicę górną organizm przekracza łatwiej, inaczej mówiąc mechanizmy chroniące przed przegrzaniem działają słabiej, ludzie przystosowani są lepiej do obrony przed zimnem niż przed gorącem. W każdym razie można znieść na przykład pięć minut w temperaturze aż +150°C (przypominam – woda wrze w temp. +100°C!). Można też boso spacerować po rozżarzonych węglach, nie doznając żadnego oparzenia, nawet żadnego śladu na stopach... (Są to rzeczy znane od wieków, sam widziałem coś takiego na własne oczy). Trudniejsze do uwierzenia jest nie to, że ludzie spacerują bez szkody po ogniu, ale to, że nauka nadal takie fakty ignoruje!

Niedawno dowiedziono, że można – bez specjalnych ochron, nawet bez ubrania – wejść na kilka minut do komory, w której panuje niewyobrażalny mróz 180°C poniżej zera (temperatura ciekłego azotu!) Nawiasem mówiąc, ostatnio tak wyjątkowe zimno stosuje się do leczenia reumatyzmu: albo chłodzi się parami ciekłego azotu chore stawy, np kolano, albo wprowadza się pacjentów na krótki czas do azotowej komory chłodniczej. Metodę tę – wciąż uznawaną za niezwykłą i być może niebezpieczną – stosuje się zwłaszcza w Japonii (klinika dra Toshimy Yamauchi) i w RFN (klinika dra Reinharda Fricke), rezultaty są bardzo dobre. Według dziennikarzy, opisujących leczenie tak niesłychanym zimnem, pacjenci nie tylko pozbywają się reumatyzmu, ale także w ogóle młodnieją, a niektórym – łysym – podobno odrastają włosy...

No cóż, nie od dziś wiadomo, że obniżenie temperatury w odpowiednim wymiarze wydłuża różnym organizmom życie, regeneruje (podobnie – przypomnę – działają posty, niskokaloryczne, okresowe diety; co w tym jest, że zimno i głód wielcy wrogowie człowieka – stosowane umiarkowanie, stają się jego przyjaciółmi?). Wiadomo też, że rozwój niektórych owadów (i licznych roślin) wymaga w pewnych stadiach silnego ochłodzenia tkanek. Jeśli szczury piją regularnie wodę z topniejącego lodu – rozwijają się szybciej i są zdrowsze, silniejsze. Zauważono też, że młodość trzyma się dłużej tych ludzi, którzy regularnie piją lodowatą źródlaną wodę (potwierdziły to staranne obserwacje długo żyjących mieszkańców gór). Czy odgrywa tu rolę zimno, czy źródlana woda? Zapewne i jedno, i drugie, ale nauka dotąd nie wyjaśniła tego rodzaju spostrzeżeń...



Marek Zalejski

W każdym razie już od dawna w skomplikowanych operacjach, np. mózgu czy serca, stosuje się silne ochłodzenie organizmu. Oziębiona tkanka potrzebuje znacznie mniej tlenu, neurony mózgu i mięsień serca mogą wtedy przeżyć bez dopływu krwi dużo dłużej bez uszkodzeń. Dzieje się tak przecież tylko wówczas, kiedy oziębienie jest powolne i ostrożne; wówczas organizm może znieść ochłodzenie wewnętrzne nawet do ok. +25°C.

Kiedy oziębienie jest nagłe, kiedy temperatura wnętrza ciała przekroczy granicę krytyczną, a przede wszystkim, kiedy połączone jest to z uduszeniem (np. u tonących albo przysypanych lawiną śniegu), wówczas powrót do życia jest po prostu niemożliwy.

No dobrze, jest niemożliwy, przyjrzyjmy się zatem kilku jeszcze wybranym przypadkom, ogłoszonym (i sprawdzonym!) w ostatnich latach.

W marcu 1985 r. islandzki rybak Gudlaugur Fridthorsson razem z dwoma kolegami musiał opuścić tonący kuter. Padał śnieg, wiał wicher, woda miała temperaturę 5°C. Dwaj rybacy zmarli po 10 minutach z zimna, Fridthorsson wytrwał 5 godzin, dopłynął do brzegu (było to przy północnych brzegach Wielkiej Brytanii) i po trzygodzinnym marszu na mrozie dotarł do osiedla. Badała go specjalna komisja lekarska w Londynie, orzeczono, iż *„jego odporność na zimno przekracza możliwości gatunku ludzkiego”*.

Klinika Uniwersytetu w Bernie w Szwajcarii specjalizuje się w ratowaniu ludzi przysypanych alpejskimi lawinami. Oto jeden tylko przypadek z rejestru tej kliniki: 42-letni alpinista przeleżał pod 7-metrową warstwą lawiny śnieżnej 5 godzin. Po odkopaniu stwierdzono, iż jest „zamarznięty na kość”; zwykłe metody reanimacji nie dawały rezultatów. Otworzono klatkę piersiową, serce okazało się też zamarznięte i „twarde jak kawałek stali” (podaję na odpowiedzialność poważnej prasy amerykańskiej, skąd czerpię tę relację). Zaczęto więc powoli ogrzewać serce ciepłą krwią – po 20 minutach podjęło pracę. Alpinista po długim leczeniu (miał blokadę nerek i obrzęk płuc) odzyskał zdrowie i całkowitą sprawność umysłu. Klinika w Bernie zaręcza, iż miała kilka podobnych przypadków „zamarzniętego serca”.

Ostatnie obserwacje topielców, wyciągniętych w zimie z jeziora Michigan (USA) potwierdziły istnienie „wypadków niemożliwych”. Spośród 15 osób, wyciągniętych spod lodu w czasie od kilku do 45 (!) minut, uratowano 11 osób, wśród nich studenta, który przebywał pod lodem 3 kwadranse (!) i chłopca po 20 minutach utopienia. Notabene ów chłopiec, Jimmy Tontlewicz, jest Amerykaninem polskiego pochodzenia. Jego przypadek był szczególnie głośny, bo chłopiec odzyskał sprawną świadomość dopiero po czterech dniach, a jego stan określono jako „absolutnie beznadziejny”. Wiadomo przecież, iż pozbawione tlenu komórki mózgu mogą przeżyć bez uszkodzeń 4 do 6 minut. Później szkody są nieodwracalne i nawet przywrócenie oddychania nic już nie pomoże: umysł nigdy nie będzie działał jak powinien. Kiedy ktoś się topi, dusi się zanim nawet lodowata woda zdoła obniżyć temperaturę ciała na tyle, by zapotrzebowanie mózgu na tlen zostało obniżone i ów krytyczny okres 6 minut został wydłużony. Tak więc nic nie może uratować ludzi, którzy przebywali pod lodem 20, a tym bardziej 45 minut. Dlaczego wobec tego niektórzy wychodzą z tego bez szwanku?

Po wypadku Tontlewicza wydano w USA nowe przepisy ratowania „zamrożonych” topielców. Wolno ich uznać za martwych dopiero wtedy, kiedy *„nie przyniesie skutku długotrwała akcja reanimacyjna z zastosowaniem wszystkich dostępnych środków, w tym bezpośredniego ogrzewania serca”*. Lekarze amerykańscy nazwali tę ostatnią metodę „ogrzewaniem pestki przed łupiną” – to znaczy właśnie ogrzewaniem narządów wewnętrznych, zwłaszcza serca, p r z e d zewnętrznymi. Dotąd zwykle czyniono odwrotnie – najpierw ogrzewano ciało z zewnątrz. Wtedy rozszerzają się szybko naczynia obwodowe, zwiększa zapotrzebowanie mięśni i skóry na tlen, a właśnie tlenu zamarznięte serce dostarczyć nie może. W ten sposób wyprawiono ostatecznie na tamten świat licznych topielców...

Wspomniana klinika w Bernie zwróciła się z apelem do lekarzy na świecie: *„... każdy powinien wiedzieć, że ofiary głębokiej hipotermii, nawet jeśli są klinicznie martwe, zachowują realny potencjał odzyskania możliwości życiowych”*.

Zatem nie ulega wątpliwości, że ludzie mogą jednak przeżyć warunki, które z punktu widzenia wszelkiej wiedzy o działaniu ludzkiego organizmu muszą doprowadzić do śmierci! Oczywiście, można takim wypadkom nie dawać wiary, wyznając zasadę, iż „coś, co jest niemożliwe, zdarzyć się nie może” (zasada często przez naukowców wyznawana bez żadnych ograniczeń). Trafniejsza przecież wydaje się zasada: „skoro się coś zdarzyło, to właśnie jest możliwe”. Wydaje się po prostu, że wiedza o możliwościach ludzkiego organizmu jest dalece niepełna. Inna rzecz, iż te właśnie możliwości, nie zbadane jeszcze, są niezwykłe, „niemożliwe” i – co najważniejsze – wiele, bardzo wiele o b i e c u j ą medycynie. Szkoda, że medycyna z takimi oporami odnosi się do nich; myślę w każdym razie, iż o leczniczej, odmładzającej, przedłużającej życie roli zimna wiele jeszcze usłyszymy.

P.S. *Licznych Czytelników, którzy napisali do mnie listy na temat felietonu „Najdziwniejszy pomysł stulecia („Fantastyka” 3/30/85) przepraszam za brak odpowiedzi – nie było mnie w kraju. Odpowiadam więc teraz wszystkim. Otóż własne pomysły w sprawie weryfikacji hipotezy „przyczynowości formującej” Ruperta Sheldrake'a można wysyłać (po angielsku jednak!) na adres.*

„New Scientist
1–19 New Oxford Street
LONDON WC 1 A 1 NG
ENGLAND

Konkurs w Nowym Jorku jest już nieaktualny, niestety nie znam wyników. Jeśli dowiem się czegoś nowego o hipotezie Sheldrake'a – napiszę!

Maciej Iłowiecki

Rok 1986 jest dla nas rokiem szczególnym. Przypada nań kilka okrągłych rocznic związanych z polską i nie tylko polską, fantastyką. Największą okazję do świętowania stanowi dla fanów dziesiąta rocznica narodzin Polskiego Fandomu (utworzenie OKMFiSF). Polskiemu Stowarzyszeniu Miłośników Fantastyki czerwiec br. przynosi piątą rocznicę powstania, lecz ze względu i na inne jubileusze, prawdziwe święto obchodzić ono będzie dopiero we wrześniu. Dokładnie w 10 lat po zorganizowanym w naszym kraju III Euroconie, stowarzyszenie polskich fantastów podejmuje heroiczną próbę powrotu naszego ruchu na arenę międzynarodową.

W dniach 20–28 września br., jeśli „Moc będzie z nami", odbędzie się w Warszawie I Międzynarodowy Festiwal Science Fiction „INTERCON". Zaproszeni nań będą m.in. czołowi twórcy i działacze World SF (The International Science Fiction Association of Profesionals), organizacji międzynarodowej, która dokładnie 10 lat wcześniej (we wrześniu 1976 r.) na posiedzeniu w Dublinie, zainicjowała swoją działalność. „INTERCON" odbędzie się również w przededniu pięćdziesiątej (!) rocznicy pierwszego w historii światowej SF konwentu miłośników fantastyki, który zorganizowano w 1936 roku w Filadelfii. Lecz aby nie popadać w kosmopolityzm, wykorzystajmy te wspaniałe rocznice do poczynienia pewnych podsumowań okresu minionego oraz oceny obecnego stanu polskiej fantastyki.

Jubileusz optymizmu

Andrzej Szatkowski

Poświęcam Januszowi A. Zajdlowi, członkowi PSMF, z którym jeszcze na kilka tygodni przed Jego śmiercią rozmawiałem o jedności Fandomu.

Sądzę, że dziesięciolecie to wystarczający okres, by nasz wspólny wysiłek dał oczekiwane rezultaty. Przyjrzyjmy się im.

Niewątpliwym sukcesem minionej dekady jest sam fakt narodzin ruchu miłośników fantastyki, Fandomu. O fantastyce zaczęto w kraju pisać, zaczęto ją dostrzegać i pokazywać. Pojawiły się nowe serie wydawnicze. Liczba twórców z kilku, może kilkunastu, już dawno przekroczyła setkę. Powstało pierwsze w Polsce profesjonalne pismo w całości poświęcone fantastyce. Sam gatunek stał się jakby bardziej żywy i szybko ewoluuje. Pojawiają się nowe prądy, generacje, nurty. Mimo ogólnie niskiego poziomu naszej fantastyki, ostatnie dziesięciolecie przyniosło kilka niewątpliwych arcydzieł. Można już poważnie mówić o polskim filmie science fiction, o SF w sztuce, nawet o muzyce posiadającej elementy fantastyczne (?!).

Lecz boom w fantastyce mamy już chyba za sobą. Liczba wydawanych w ciągu roku książek SF nie jest bynajmniej obecnie większa niż na przykład trzy lata temu. Sam fakt istnienia „ruchu" nie jest już na tyle nowy, by być atrakcyjnym zjawiskiem kulturalnym dla decydentów i ewentualnych sponsorów. Fandom musi opierać swój rozwój na własnych siłach, gdyż z wieku niemowlęcego już wyrósł. Ale czy dojrzał na tyle, by samotnie budować swoją pozycję w kulturze narodowej? Wydaje się to niemożliwe. Bez wsparcia Ministerstwa Kultury i Sztuki, władz centralnych, silnych instytucji kulturalnych – młody ruch miłośników fantastyki (młody również i przez fakt średniej wieku jego uczestników) swoje dwudziestolecie będzie obchodzić w równie minorowych nastrojach, jak obecną rocznicę.

Niewątpliwym sukcesem Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki jest wypracowanie perspektyw swojego dalszego istnienia i rozwijania działalności. Pięcioletnie zmagania się z trudnościami natury obiektywnej, czyli brakiem środków finansowych i własnego lokalu, niemożnością prowadzenia działalności wydawniczej traktowanej często przez fanów jako miernik działalności (co wiązało się głównie z brakiem puli papieru z MKiS), oraz pokonywanie przeszkód subiektywnych takich, jak: brak jedności w ruchu tzw. amatorskim i profesjonalnym, nieprzasobliwość i brak „perspektywicznego myślenia" (ba, wręcz wyobraźni) u niektórych „fanów" – sprawiły, że Stowarzyszenie w nowy okres wchodzi z większym doświadczeniem, przez co jego działania powinny się stać bardziej skuteczne.

Wszyscy mamy tę świadomość, że zarejestrowana ogólnopolska organizacja polskich fantastów (nie tylko fanów!) ma ogromną szansę realizacji wszystkich naszych, różnorodnych, marzeń. Fantastyka jest tą gałęzią sztuki, która jest w stanie – odpowiednio wykorzystana – nie tylko samofinansować się, ale zapewnić sobie nieograniczony wręcz rozwój. Minorowe nastroje stracą rację bytu dopiero wtedy, gdy poczucie dobrze spełnionego obowiązku (z wyboru, rzecz jasna) i świadomość wykorzystania tej szansy, staną się udziałem nie tylko działaczy PSMF, ale również będą dzielone przez całe środowisko.

Wszelkie rocznice mają również to do siebie, że oprócz podsumowań czasu minionego, skłaniają do refleksji nad przyszłością. Jak kształtuje się ona dla Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki, ruchu fanów jako całości, dla środowiska twórczego? Stwierdzenie, że widzę ją w barwach optymistycznych może się wydać banalne. Lecz optymizm jest moją stałą cechą charakteru. Objawiałem go również pięć lat temu, gdy tworzyłem naszą organizację wraz z Andrzejem Wójcikiem, Markiem Nowowiejskim i moimi najbliższymi przyjaciółmi: Sławkiem Pikutą, Maćkiem Makowskim i Markiem Milewskim. Mimo totalnego rozdarcia istniejącego wówczas w ruchu, mimo pozostawienia go samemu sobie przez zdezorientowane (i odpowiednio poprowadzone)



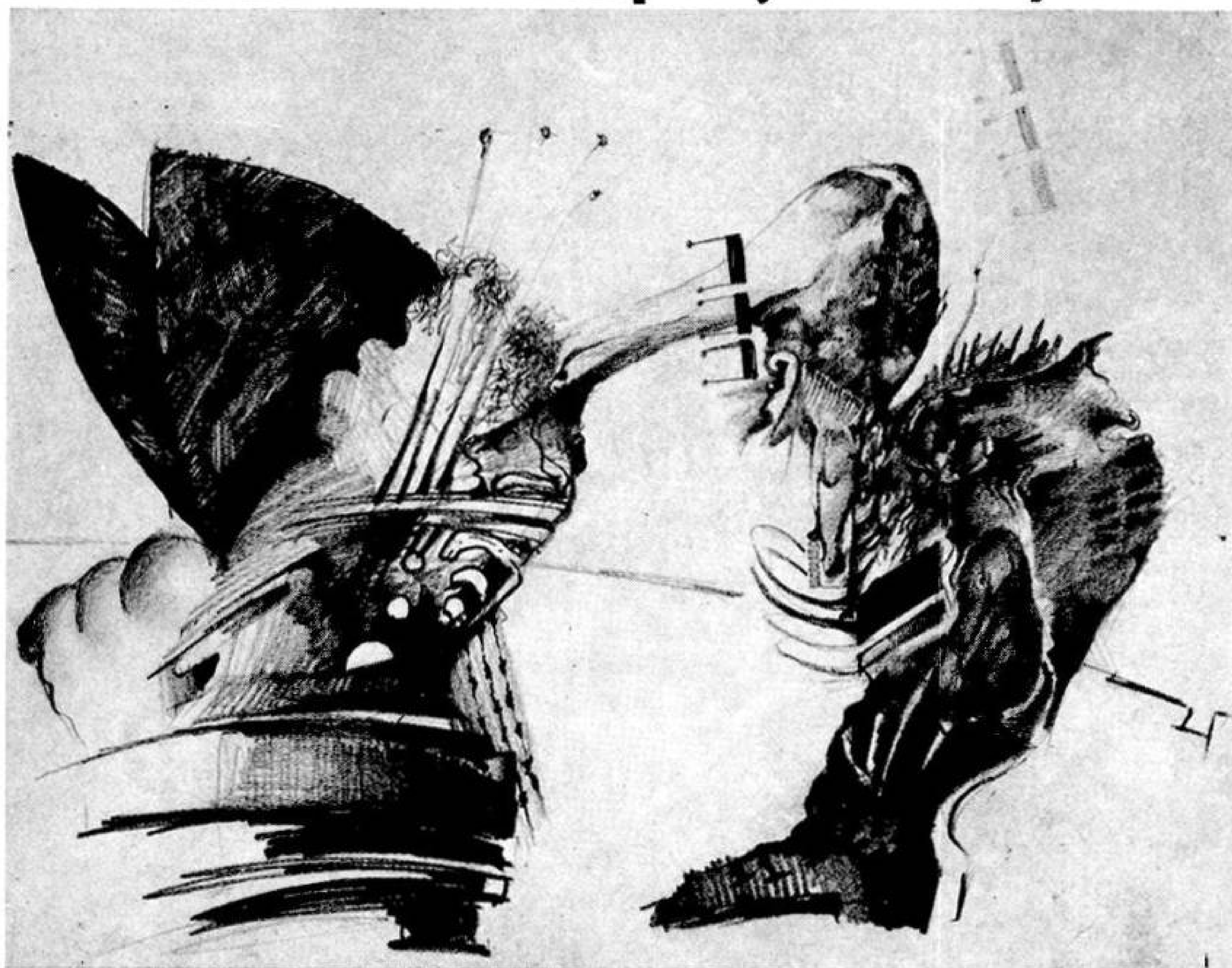
środowisko twórcze, pomimo ruszania nawet nie od zera, lecz od skrajnego ujemnego położenia na skali oraz wróżb określających na 1/100 szansę przetrwania PSMF przez okres dłuższy niż pół roku – wierzyłem, iż kiedyś nastąpi taki moment, że różne aspiracje wszystkich grup interesu w Fandomie spotkają się w jednym punkcie. Wszak wszystkim nam leży na sercu dobro polskiej fantastyki (chociaż, czy nie jestem jednak zbyt dużym optymistą? czy na przykład wydawanie „książek" typu „Niebezpieczne wizje" po 1500 zł za egzemplarz służy na pewno jej dobru?). Mam przy tym świadomość, że punkt ten przy odpowiednich „bodźcach" można osiągnąć wręcz z dnia na dzień. Istnienie Stowarzyszenia może stać się bodźcem do osiągnięcia tego punktu w sposób bardzo prosty. Jesteśmy przecież fantastami, popuśćmy więc wodze fantazji i wyobraźmy sobie...

... Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki w piątą rocznicę swojego istnienia dostało na swoją działalność dofinansowanie z MKiŚ w wysokości 10 mln zł. Sumę taką ma otrzymywać od tej pory corocznie. Władze PSMF wynajęły odpowiedni lokal do prowadzenia swojej działalności. Centralna biblioteka, czytelnia i bank informacji (komputerowy) znalazły w końcu odpowiednie miejsce. Rozpoczęto realizację cyklu warsztatów twórczych dla młodych skupionych wokół rozszerzającego swoją działalność Klubu Twórców PSMF. Rozdano pierwsze stypendia twórcze, za wybitne osiągnięcia przyznano odpowiednie nagrody. Seminaria popularyzujące SF zaczęto organizować co miesiąc w różnych miasteczkach na terenie całego kraju. Do Stowarzyszenia zaczęły garnąć się kluby otrzymujące pomoc finansową na swoją bieżącą działalność. Twórcy profesjonalni zainteresowani działalnością Agencji Autorskiej PSMF – jednej z form działalności gospodarczej Stowarzyszenia (obok Agencji Reklamowej i Usługowej), zawiązują swój Klub, który dzięki osobowości prawnej PSMF staje się Polską Sekcją World SF. Po raz pierwszy od kilku lat przedstawiciele PSMF uczestniczą w największych imprezach organizowanych w różnych krajach świata, gdzie prezentują dorobek fantastyki polskiej, nawiązują kontakty z wydawcami, zapraszają do naszego kraju najwybitniejszych światowych twórców SF, którzy udostępniają swoje książki polskim czytelnikom za złotówkowe honoraria. Nakłady pism Stowarzyszenia: „Feniksa" i „SFery" wzrastają do 30 tys. egzemplarzy. Nakładem „ALMA-PRESS-u" ukazują się redagowane przez PSMF książki promocyjne...

Przerwałem te marzenia. Bynajmniej nie z tęsknoty za niespełnionym, lecz z uświadomienia sobie, że moja wyobraźnia nie sięga znów tak daleko. Wszak wiele z tych marzeń już w chwili obecnej ulega urzeczywistnieniu. Przy konsekwentnej realizacji naszego programu, pod warunkiem, że nie będziemy tracić czasu na waśnie w Fandomie, dziesiątą rocznicę powstania Stowarzyszenia będziemy obchodzić na pewno hucznie niż dziesiątą rocznicę narodzin Fandomu. Jak więc widzicie: jestem optymistą! A może jednak tylko fantastą?

■

Andrzej Szatkowski jest prezesem Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki.



Ryszard Piskorski

Karel Sýs

Czwarty wymiar

Kiedy wybiegliśmy z cieplarni
aeroplan już zniknął
Ale żółte nasienie jego kadłuba
utkwiło głęboko w dnie naszych źrenic

Blizny zdobytej w dzieciństwie
nie wygładzi nawet żelazko starości

Kiedy więc dziób mego samolotu
sięgnął Jutra
a ja byłem jeszcze w Dziś
zacząłem cieszyć się ze spotkania
z tym starym ukochanym zjawiskiem
i z rozkoszą znikałem...

(Z zapisków pilota
zaginionego w Trójkącie Bermudzkim)

Explorer III

W górę do kuchenki niebios
w której piecze się pogoda na zapas
Ku wędzarniom gdzie wiszą
skośne udźce błyskawic
Ku gąsiorom deszczu zamrażalniom śniegu
czy jeszcze wyżej
ku wiązkom stu słońc
gdzie już nic nie wiąże cię z ziemią
ani strumyki deszczu
ani spadające pieczyste burz
co najwyżej niewidzialny blask promieniowania kosmicznego

Niepotrzebne skreślić

Na Marsie są takie same pierwiastki
jak u nas na podwórku
Te same górotwory
te same kury
te same nadzieje
te same szanse...

Ach, gdybyż istniało Nieznane!

Przełożyła **Katarzyna Boruń**

Karel Sýs – ur. w 1946 r.; absolwent Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Pradze; obecnie pracuje jako redaktor pisma literackiego „Tvorba". Debiutował w 1969 r. tomikiem „Nespon w czasie nieurodzaju jabłek". Ponadto wydał pięć tomików poezji, tom esejów i artykułów krytyczno-literackich oraz książkę zawierającą rozmowy z malarzami czeskimi (współautor J. Pelc).

(K.B.)